


HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

WRZESIEŃ 2021/5

magazynhisteria.pl



CZAS ODEJŚĆ
CZY W OGÓLE NADEJDZIE KONIEC?
DLACZEGO NIE MAM FACEBOOKA
JARMARK
ODDECH MIŁOŚCI
OPOWIEŚĆ O PEŁNI KSIĘŻYCA
PIWNICA
UPIÓR Z WIDMOWEGO LASU
W NOCY SIĘ ŚPI
ZOSTANĄ PO NAS ZDJĘCIA

SPIS TREŚCI:

CZAS ODEJŚĆ	Bartłomiej Mucha	5
CZY W OGÓLE NADEJDZIE KONIEC?	Michał J. Sobociński	15
DLACZEGO NIE MAM FACEBOOKA	Sara Osiecka	32
JARMARK	Jakub Filipkowski	46
ODDECH MIŁOŚCI	Rafał Łoboda	60
OPOWIEŚĆ O PEŁNI KSIĘŻYCA	Artur Jastrzębowski	68
PIWNICA	Lidia Gręda	76
UPIÓR Z WIDMOWEGO LASU	Antoni Nowakowski	85
W NOCY SIĘ ŚPI	Kuba Wnęk	97
ZOSTANĄ PO NAS ZDJĘCIA	Adam Raglan	104

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki
Okładka: Marcin Halerz
Skład: Maciej Zawadzki
Ilustracje: Roman Panasiuk, Małgorzata Siłkowska, Zvyrke
Korekta: Aleksandra Knap, Joanna Korytko, Magdalena Paluch

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.



CZAS ODEJŚĆ

Bartłomiej Mucha

Stał w kuchni, gdy zaczął zdawać sobie sprawę, że wariuje. Elżbieta zmarła już wiele miesięcy temu. Od tej pory niezmiennie nawiedzały go wspomnienia. Niedawno widział w telewizji młodą dziewczynę, która siedziała na kanapie w studiu, tytułując się magistrem psychologii. Temat zahaczał o śmierć bliskich. Wspominała, że dobrze jest przeżyć stratę i jakkolwiek by to nie zabrzmiało, spróbować się z nią oswoić.

Znajomi, kiedy jeszcze żyli, nie mogli się nadziwić, jak dobrze się między nimi układało. W ich pożyciu brakowało kłótni, niedomówień i problemów. Ze wszystkim radzili sobie wspólnie, zawsze dochodząc do odpowiednich wniosków.

Przeżyli razem ponad pięćdziesiąt lat i gdyby Bóg dał, trwaliby ze sobą nadal. Zmarła niespodziewanie, ponieważ pomimo ponad osiemdziesięciu lat trzymała się bardzo dobrze. Choroba jednak nie wybiera, zwłaszcza nowotwór.

Pani Pazur żyła z panem Zatorskim na kocią łapę, nie zamierzając łączyć się związkiem małżeńskim. Zajmowała się nie tylko domem, ale dbała również o sprawy urzędowe. Między innymi dzięki jej ingerencji stosunkowo szybko udało się dostać przydział na nowe mieszkanie. Pan Zatorski był jej bardzo wdzięczny i jeszcze tego samego dnia kupił jej goździki, kwiaty, które uwielbiała.

Starszy pan prędko przeszedł na rentę, a później na emeryturę. Po tym jak całe dnie spędzał w domu, nie potrafił wysiedzieć w jednym miejscu. Chadzał na spacer, słuchał śpiewu ptaków, zachwycając się otaczającym światem.

Przeprowadzka tchnęła w nich jeszcze więcej energii i w ten sposób sześćdziesięcioletnia para przeniosła się w zupełnie nowe otoczenie.

Jeszcze tego samego dnia pani Pazur upiekła ciasto. Partner założył swój jedyny garnitur i wypastował buty, po czym postanowili przejść się po okolicy.

Nie wiedzieli nic o nowym otoczeniu. Zamieszkali w niskim, jednopiętrowym bloku, z czterema mieszkaniami na jednym poziomie. Zdawali sobie sprawę, że nie jest to apartament, ale wierzyli, iż złapią dobry kontakt z sąsiadami. Ci jednak albo nie otwierali, albo nie było ich w domach. Otworzył jeden facet z dołu, który na wyjaśnienia staruszki, że będą teraz nowymi sąsiadami, zrobił minę, jakby zupełnie nie rozumiał, co do niego mówi. Całkiem miło natomiast zostali przyjęci przez bezpośrednich sąsiadów z piętra. Otworzył im krótko obcięty mężczyzna, który również wydawał się zaskoczony ciastem.

– To ja w takim razie tylko kawałeczek – powiedział szybko i zniknął w mieszkaniu.

Powrócił z nożem i talerzykiem. Ukroił mały trójkątny kawałek i wrócił do siebie, tłumacząc się, że musi mieć dziecko na oku, podczas gdy żona jest w pracy.

Pan Zatorski zerknął na swoją kobietę i pierwszy raz od dawna nie zobaczył ni cienia uśmiechu na jej twarzy. Otoczył ją wciąż silnym ramieniem, po czym wrócili do siebie. Głośny szcęk zamka rozszedł się po pustej klatce schodowej. Ten dźwięk miał im towarzyszyć coraz częściej.

Pomimo wieku oboje byli energiczni i kiedy nie udało im się zasymilować z sąsiadami, postanowili zainteresować się działkami.

Nie potrafili zrozumieć, jak bardzo zmienili się ludzie. Jak dotąd nigdy nie mieli problemów z kontaktami międzyludzkimi, lecz osiedle, na które trafili, składało się w większości z o kilkadziesiąt lat młodszych od nich, często bezdzietnych małżeństw.

Oszczędzali całe życie i gdy udało im się znaleźć stosunkowo niską ofertę sprzedaży działki, uznali to za dar od losu. Wyłożyli praktycznie wszystko, co mieli, by pozyskać kawałek ziemi znajdującej się na początku ogrodów działkowych. Na zakupionym terenie stała już całkiem ładna altanka. W starszą parę ponownie wstąpiła nadzieja.

Całe dni spędzali na działce. Pani Pazur zajęła się ogródkiem, a Pan Zatorski naprawił ogrodzenie i dach altany, który ostatecznie nie okazał się tak doskonały, jak im się wcześniej wydawało.

Pierwszy rok w nowym miejscu zleciał jak z bicza strzełił. Słuchali radia, spacerowali i odpoczywali. Wtedy jeszcze nie wiedzieli, że nowotwór zaczynał się rozrastać, a także że nie będzie to ich jedyny problem. Gdy nadeszło lato działka wyglądała już praktycznie tak, jak sobie założyli.

– Nie mogę się doczekać jabłek zerwanych prosto z drzewa – powiedział pan Zatorski.

Pani Pazur natomiast wzięła się za zbieranie jarzyn. Uważała, że bez nich każda zupa jest bez sensu. Kiedy uzbierała całą masę koperku, marchewek, pietruszki i innych warzyw, postanowiła, że spróbuje je wykorzystać. Przeszła się po sąsiadach i spytała, czy nie chcieliby może wziąć od niej kilka i to zupełnie za darmo. Poznała już okolicznych mieszkańców i spodziewała się ich reakcji, choć niektórzy miło ją zaskoczyli i przyjęli podarek. Pani Pazur, dzięki swej determinacji, zaczęła zyskiwać coraz większą popularność na osiedlu.

Pewnego dnia, jakiś miesiąc po tym, gdy spróbowała po raz enty zaprzyjaźnić się z sąsiadami, rodzinę spotkała tragedia. Jak zawsze, z samego rana, staruszkowie udali się na działkę, gdzie ich oczom ukazał się obraz, który zapadł im głęboko w pamięci. Rośliny i kwiaty, posadzone, a później pielęgnowane z pietyzmem, zostały wyrwane i zniszczone; małą jabłoń połamano, podobnie jak gruszę posadzoną za altaną. Ktokolwiek to uczynił, nie kwapił się z tym, by po sobie posprzątać.

– Jak... jak to się mogło stać? – zapytał z niedowierzaniem Zatorski.

– Nie wiem. Po prostu nie mogę w to uwierzyć – odparła Pazurowa.

Ten akt wandalizmu został zgłoszony na policję, która ostatecznie nie zrobiła nic w tej sprawie, powołując się między innymi na niską szkodliwość społeczną.

Zatorski postanowił wszcząć własne dochodzenie i przez tydzień kręcił się wokół działki częściej niż zwykle. Nie udało mu się nic zaobserwować, ale poznał faceta, który mieszkał na jednej z parceli.

– Na pewno nic pan nie słyszał? – zapytał Zatorski.

– Nic. Ale mogę coś panu poradzić, kto wie, może to pomoże – powiedział mężczyzna.

– Tak?

– Wydaje mi się, że w okolicy kręci się dużo dzieciaków. Miej pan na nich oko.

Zatorski podziękował mężczyźnie i wrócił do domu. Pierwszym poważnym problemem, który ciągnął się przez lata, były kontakty z mieszkańcami, a szczególnie z ich dziećmi.

Para nie wdawała się więcej w szczegóły tego, kto zdewastował ich działkę. Wystarczyło im, że mieli pewne podejrzenia. Zatorski, co prawda, nadal kręcił się przy ogródkach działkowych, ale pewnego dnia, po powrocie do domu, stwierdził, że nie ma to większego sensu.

Kilka tygodni później, w nocy, coś uderzyło z hukiem w drzwi wejściowe. Zerwali się z łóżka, przerywając błogi sen, ale kiedy podejrzany dźwięk się nie powtórzył, z powrotem przytulili się do siebie. Kolejne uderzenie ostatecznie postawiło ich na nogi. Zatorski wstał, wsunął kapcie, po czym ruszył do drzwi.

– Zenon, tylko uważaj – powiedziała Pazurowa.

Mężczyzna kiwnął głową i na w pół śpiący, na w pół rozbudzony, poszedł do przedpokoju. Nie zaświecił światła, gdyż miał przeczucie, że żartowniś nadal znajdował się w pobliżu, a nie chciał przed nim zdradzać swojej obecności.

Kiedy dotarł do drzwi, przyłożył do nich ucho i zamknął oczy. Odetchnął kilka razy głęboko i wstrzymał oddech, nie wiedząc czemu, zachowując się jak w wojsku.

Wyobraził sobie, że trzyma w dłoniach strzelbę i mierzy zimną lufą w otchłań, skąd spodziewa się natarcia wroga. Tym razem wróg nie nadchodził, a Zatorski obawiał się, że wszystko mogło wydarzyć się jedynie w ich głowach. Spojrzał na zegarek i po tym, jak upewnił się, że jest późna godzina, odwrócił się od drzwi. Dokładnie w tym samym momencie uderzenie się powtórzyło. Szybko, na ile pozwolił mu wiek, włączył światło, otworzył zamek i wyszedł na klatkę schodową. Zdażył zobaczyć dwójkę uciekających postaci. Podszedł do okna na półpiętrze, dzięki czemu widział, gdzie pobiegły. Zaciśnął mocno pięść, ostatkiem sił powstrzymując się, by nie puścić się za nimi w pogoń, po czym wrócił do domu.

Tego wieczora już nikt ich nie niepokoił. Starsza pani zasnęła od razu, natomiast on nie potrafił.

Rankiem razem wyszli na klatkę, by obejrzeć szkody. Ktoś rzucił w ich drzwi kamieniem. Jeden z ostro zakończonych, wyglądających na rzeczne, kamyków leżał na wycieracze.

– Co robimy? – zapytała przejęta kobieta.

– Mam już tego dość – odparł Zatorski. – Widziałem dwójkę dzieciaków. Po dwunastej w nocy walili kamieniami w nasze drzwi. Rzucali z niższego piętra dołu, bo zanim wyszedłem z mieszkania, zdążyli już wybiec z klatki schodowej.

– Ale co możemy zrobić?

– Cokolwiek. Musimy zrobić cokolwiek.

Zatorski domyślał się, kim były dzieciaki. Widział, w kierunku którego bloku uciekały.

Przez kilka dni nic się nie działo. Zatorski często nie mógł spać. Zazwyczaj leżał w łóżku i nasłuchiwał, podczas gdy Pazurowa dawno już chrapała. Pewnej nocy usłyszał śmiechy na klatce schodowej. Ubrał się czym prędzej i podszedł do drzwi, by zerknąć przez wizjer. Dwójka lub trójka dzieciaków wchodziła po schodach. Mylił się, gdyż myślał, że rzucali z dołu. Widział, że jakaś dziewczyna zatrzymała się na półpiętrze, natomiast dwóch młodych chłopców podeszło do samych drzwi. Trzymali w dłoniach kamienie i głupio chichotali. Nagle zamachnęli się i rzucili z całych sił w drzwi. Zatorski wystraszył się huku i przez chwilę nie wiedział, co zrobić, ale prędko odzyskał rezon i wybiegł na klatkę. Dzieciaki zbiegały po schodach. Chłopcy wpadli na dziewczynę, która nie była w stanie zbiegać tak szybko, jak oni i cała trójka uderzyła w drzwi na parterze. Zatorski, pod wpływem adrenaliny i chęci wymierzenia sprawiedliwości, poruszał się znacznie szybciej niż powinien i niemalże zbiegał w dół. Trójka dzieciaków, zobaczywszy, że szalony starzec wkrótce ich dopadnie, przestała się śmiać, szybko zerwała się na nogi i rzuciła do ucieczki. Zatorski niemal złapał jednego z chłopców za kaptur, jednak ten zdołał mu się wyślizgnąć i wypaść za znajomkami na zewnątrz. Mężczyzna pobiegł za nimi, skupiając się na jednym chłopcu. Reszta się rozbiegła, tym razem nie popełniając wcześniejszego błędu, gdyż wybrali różne kierunki. Zatorski biegł za młodzieńcem przez moment, lecz gdy przenieśli się na otwartą przestrzeń, chłopiec zostawił go daleko w tyle. Starzec opadł na kolana i zaczął się dusić. Płuca paliły go jak diabli. Czuł, że powietrze krzepnie mu w gardle. Położył się plackiem na ziemi, z trudem robiąc kolejne wdechy. Nie słyszał już dzieciaków, ale myślał, że z pewnością tym razem napędził im stracha, podtrzymywała go na duchu. Miał problemy z podniesieniem swojego zmęczonego ciała, ale gdy mu się to udało, powłókł się do domu.

Z samego rana Zatorski udał się do rodzin, z których, jak mu się wydawało, pochodzili nocni wandale.

W pierwszym bloku nikt mu nie otworzył, pomimo że wyraźnie słyszał, iż ktoś znajduje się po drugiej stronie. W drugim, gdzie spodziewał się zastać rodziców dziewczyny, również. Idąc do klatki obok, zaczęło go ogarniać z wątpienie i coś jakby wyrzuty sumienia. W nocy nastraszył ich nie na żarty i z pewnością musieli to zapamiętać. Może powinien dać im chwilę do namysłu? Czyż jednak nie zrobił tego wcześniej? Jaki miał z tego pożytek? Wyłącznie taki, że sytuacja się powtórzyła, poza tym zdewastowana działka musiała być ich sprawką, a tego nie mógł odpuścić. Czując przypływ emocji, wszedł dziarskim krokiem do środka i zapukał do pierwszych drzwi, ponieważ nie wiedział do końca, gdzie mieszkał ostatni z chłopców.

– Dzień dobry. Czy mieszka tu gdzieś młody chłopiec? Mam do niego sprawę – zaczął.

Otworzyła mu starsza kobieta, której nawet nie znał. Mieszkał już trochę na osiedlu i wciąż nie poznał połowy mieszkańców.

– Dlaczego pan pyta?

Kobieta ostentacyjnie żuła gumę, co wyglądało groteskowo, biorąc pod uwagę, że mogła mieć ponad sześćdziesiątkę na karku. Zatorski zastanawiał się, czy powiedzieć prawdę.

– Szukał pracy. Chciałem złożyć mu ofertę – odparł, myśląc, że jeśli trafił na jego matkę lub babcię, to ją zainteresuje.

– Niech go pan nie bierze. To najgorszy leń i obibok. Już ja swoje wiem.

– Czyli zna go pani? Mieszka w tej klatce?

– Tak. Pod czwórka – powiedziała i zamknęła drzwi, zostawiając zdziwionego Zatorskiego.

Mężczyzna ruszył na piętro i zapukał pod odpowiedni numer. Stał trochę z boku, żeby nie było możliwości zobaczyć go przez wizjer. Otworzyła mu około trzydziestoletnia, krótko obcięta kobieta. Zwrócił uwagę na jej zaawansowane żylaki.

– Dzień dobry. Ja do pani syna – powiedział.

– Do Daniela? W jakiej sprawie.

Chciał załatwić to z nim osobiście, ale mając przed sobą jego matkę, stwierdził, że nie ma co owijać w bawełnę.

– Pani syn wczoraj rzucał kamieniami w moje drzwi. Działo się to wczoraj w nocy i to nie po raz pierwszy.

Kobieta przymrużyła oczy.

– A skąd niby pan wie, że to on? Daniel całą noc siedział w domu. To dobre dziecko. Jakim prawem przychodzi pan w biały dzień do mojego domu i oskarża go o coś takiego?!

– Widziałem, jak biegł do tej klatki. Poza tym goniłem go wczoraj i wiem, że to on – odpowiedział.

– Gonił pan młodego chłopca i na dodatek w nocy widział pan, jak wygląda? Chyba sobie pan żartuje.

– Nie żartuję. Wolałbym nie zgłaszać tego na policję – wytoczył ostatnie działo Zatorski.

Kobieta momentalnie poczerwieniała na twarzy. Mężczyzna przez chwilę zastanawiał się, czy nie zapomnieć o całej sprawie i zawrócić, ale nie należał do osób, które łatwo odpuszczają i zależało mu na sprawiedliwości.

– Proszę stąd iść albo to ja wezwę policję! – rzuciła nagle kobieta. – Na pewno nie można tak w biały dzień nachodzić bezbronnej kobiety. Proszę stąd wyjść!

Wypchnęła mężczyznę za próg. Zatorski poślizgnął się na plastikowej wycieraczce i niemal stracił równowagę. Wtedy kobieta zamknęła drzwi i nie otworzyła ponownie, kiedy Zatorski zapukał.

W końcu zrezygnowany poszedł do siebie, rozmyślając, co powinien z tym wszystkim zrobić.

Sytuacja chwilowo się uspokoiła, ale, tak jak wcześniej, Zatorski miał przeczucie, że to tylko cisza przed burzą. Postanowił, że gdy dzieciaki znowu coś nabroją, będzie musiał wezwać policję.

Nie spał po nocach. Ciągle czuwał, licząc na to, że usłyszy, jak któryś z dzieciaków kręci się po okolicy, co pozwoli mu złapać go na gorącym uczynku. Bachory, mające pojawiać się codziennie, dziwnym trafem tego nie robiły, a kiedy już przechadzały się chociażby w pobliżu ich klatki, Pazurowa wychodziła do okna, a jeśli było późno to Zatorski ubierał się i wychodził na zewnątrz.

Zdarzało się, że Zatorski szarpał się z nastolatkami, nie potrafiąc znieść jawnych obelg, co sprawiło, że pewnego dnia jeden z ojców go odwiedził na działce. Staruszek po którymś otrzymanym ciosie z kolei, padł na ziemię, prawie nadziewając się na stępioną siekierkę. Napastnik już zamierzał zamachnąć się po raz kolejny, by ostatecznie wybić staremu capowi zastraszenie całego osiedla, kiedy to Zatorski złapał za siekierkę i zamachnął się nią, jak za starych czasów. Ostrze rozcięło koszulę mężczyzny i na moment zatrzymało się w ramieniu. Facet nie spodziewał się takiego obrotu sprawy i mając przed sobą sponiewieranego starca trzymającego siekierę, patrzącego weń opętańczym wzrokiem, uciekł, bojąc się o własne życie. Zatorski pogonił go przez kilka metrów, po czym zatrzymał się i padł na trawę porastającą ścieżkę między działkami.

Z dnia na dzień starszycy oddalali się od społeczeństwa coraz bardziej. Mijały lata, a dzieci, które jako pierwsze rozwścieczyły Zatorskiego i Pazurową, dorosły i założyły własne rodziny. Po pobiciu Zatorskiego na działkach, nawet najbardziej nieprzychylni sąsiedzi orzekli, że to przesada. Małe osiedle sprzyjało rozsiewaniu plotek. Mieszkańcy uważali, by po prostu omijać szaloną parę szerokim łukiem.

Pazurowa zachorowała nagle i niespodziewanie. Owszem, walczyła z nadciśnieniem i podwyższonym cholesterolem, ale to zupełnie nie przeszkadzało jej w codziennym funkcjonowaniu. Kobieta nie ufała lekarzom i unikała ich jak ognia, aż do momentu, gdy ogromna fala bólu zaczęła ją wręcz paraliżować. Rak przez lata zdążył się rozwinąć. Jediną możliwością uratowania jej życia była kosztowna operacja i tak nie dająca gwarancji sukcesu. Para nie miała na to pieniędzy, ani nie miała do kogo zwrócić się o pomoc. Sąsiedzi nie istnieli, rodzina dawno wymarła. Kilka miesięcy później zmarła również Pazurowa, pozostawiając swojego mężczyznę.

Kiedy trumna opadała, Zatorski podążył za nią beznamiętnym wzrokiem. Jego twarz pozostawała niewzruszona, również wtedy gdy kurtuazyjnie dziękował zgromadzonym za kondolencje.

Tryb dnia Zatorskiego pozostawał niezmienny. Wstawał wcześniej rano, jadł śniadanie, szedł na zakupy, a następnie na działkę. Wracał z niej późnym wieczorem. Zimy i jesień także spędzał poza domem, jeśli tylko miał taką możliwość i dobrze się z tym czuł. Wędrował po lasach, zbierając grzyby lub po prostu się przechadzając. Dni upływały mu w spokoju. Czasami miał problemy, by dociągnąć do końca miesiąca za swoją emeryturę, dlatego jeśli mógł, zbierał jak najwięcej plonów z działki. Robił przetwory i składował je w piwnicy, by mieć co jeść w chudsze miesiące. Gdy już musiał, chadzał do okolicznego kościoła, gdzie rozdawano dary. Wychodził z dwiema reklamówkami wypełnionymi ryżem, makaronem i mlekiem w proszku. Nie był zły ani szczęśliwy z tego powodu. Raczej nie żył, a trwał, zupełnie wyzbywając się resztek emocji.

Raz do roku chadzał na cmentarz. Nie kupował zniczy. Wystarczyło mu, że uprzątnął miejsce i położył kilka jodłowych gałązek na kopczyku, usuwając wcześniej poprzednie.

Nie marzył o śmierci, czy o kolejnym dniu. Budził się, jadł i chodził spać. Wszystko co miał, zupełnie mu wystarczało.

Noce przychodziły szybciej. Starał się zasypiać tuż po zmroku. Kładł się do łóżka i momentalnie zasypiał. Nie zapadał jednak w głęboki sen, a półsen, dzięki czemu wciąż był gotowy na każdą ewentualność, która nie nadchodziła, aż do czasu.

Usłyszał uderzenie w okno. Momentalnie otworzył oczy i dopadł do firanki. Szybko ją odsłonił i zauważył, jak dzieciaki chowają się za szopą. Nie uciekały tak jak kiedyś, a czaiły się, jakby chciały ponowić atak. Po kilku minutach stłumionych śmiechów, zobaczył, jak dwójka chojraków wychyla się zza winkla. Szli pewnym krokiem, nie zdając sobie sprawy z tego, że mogą być obserwowani. Chłopcy trzymali w dłoniach małe kamyczki i obracali je w palcach, jakby miało to poprawić ich celność. Zatorski otworzył okno i wydarł się na całe gardło, czym spłoszył dzieciaki, które tym razem zniknęły za blokiem. Starzec spojrział na zegarek. Było po dziesiątej. Leżał w łóżku od kilku godzin i spodziewał się, że w końcu młodzi wandalę nadejdą.

Ktoś pomyślałby, że Zatorski oszalał i być może miałby rację; pomyślałby, że zbyt ulega emocjom i tu nie do końca trafiłby w sedno. Owszem, gdy należało działać – robił to, ale każde działanie polegało na wcześniejszych planach i trzymaniu się ich.

Zaczął się ubierać. Nałożył na stopy kalosze. Spał w grubych wełnianych skarpetach, więc szukanie ich pośród szafek i szuflad, miał już z głowy. Ściągnął piżamę i ubrał się w to, co zawsze wisiało na wieszaku, przyszykowane na dzień następny.

Przypadł do okna, trzymając w dłoni klucze od domu. Cały plan miał dokładnie ułożony w głowie. Z daleka dojrzał, że dzieciaki wracają. Piątka około piętnastoletnich chłopców. Czym prędzej ruszył do drzwi, by zdążyć wyjść z mieszkania, zanim podejdą do bloku.

Ominął chłopców bokiem. Mógł zakraść się do nich i z pewnością by go nie zauważyli, ale nie tak sobie to zaplanował. Gdy ich mijał, kierując się na działkę, usłyszał jak szepczą, rzucają kamieniem, po czym uciekają. W tym czasie Zatorski zdążył przejść pustą ulicą na działkę, skąd zabrał siekiere, która ostatnim razem go uratowała. Nie zamierzał popełnić tego samego błędu. Oko za oko, ząb za ząb.

Kiedy zbliżał się do swojego bloku, dostrzegł, że na ziemi leży trochę szkła. Rozejrzał się, czy w pobliżu nie ma chłopców, ale nie było po nich śladu. Podszedł pod okno i podniósł głowę. Wtedy dostrzegł, że któryś z kamyków musiał rozbić mu okno. Przez ułamek sekundy przeszło mu przez myśl, że miałby doskonały dowód, który mógłby pokazać policji. Mógłby też złapać jednego z dzieciaków, tego najbardziej niezdarnego, stojącego za innymi i wtedy

wezwać służby. Pamiętał jednak, co działo się wcześniej, gdy próbował tak postąpić. Musiał trzymać się planu.

Zaczął się przy szopie. Stał w drzwiach, dokładnie tam, gdzie najbardziej pochłaniał go cień. Ciemne ubrania, które założył sprawiały, że idealnie wtapiał się w otoczenie.

Dzieciaki przyszły tak jak się spodziewał. Odkąd tu mieszkał, nie pamiętał, by któreś z nich zachowywały się aż tak skandalicznie jak ci młodzi chłopcy. Nie dość, że rzucili kamieniami i to nie po to, by go obudzić, a po to, by zbić szybę, to jeszcze przyszli z powrotem, chyba specjalnie po to, by się na niego napatoczyć. Wściekłość wręcz go rozrywała, gdy widział, jak przechodzą tuż obok niego, skradając się pod okno. Już miał się na nich rzucić, ale musiał jeszcze trochę poczekać, by w pełni zrealizować plan.

Jeden z przywódców, stojący na czele pięcioosobowej bandy, rzucił kamieniem. Ten poleciał i uderzył w szybę tak mocno, że rozsypała się w drobny mak i wypadła z okiennicy. Dzieciaki zerwały się i uciekły w kierunku szopy, gdzie czekała na nich niespodzianka.

Zupełnie się go nie spodziewali. Zatorski zamachnął się siekierą w pierwszego dzieciaka, drugiego z tych pewnych siebie. Ostrze prześlizgnęło się po ramieniu chłopca, który w ostatnim momencie zdążył się odsunąć. Zatorski zaklął pod nosem i rzucił się w pogoń.

Dzieciaki nie miały krzty rozumu, gdyż biegły w kupie. Nie potrafił za nimi nadążyć, ale dokładnie widział, że kierują się w stronę pozostałych, nieco oddalonych bloków. Skręcił, przecinając drogę, by złapać ich po drugiej stronie osiedla. Biegł truchtem, trzymając siekierę oburącz. Paliło go w płucach i mięśniach – były to uczucia, które ostatnio zdarzały się coraz częściej, a teraz zaatakowały ze zdwojoną siłą.

Ledwo zdążył dobiec na miejsce, gdy usłyszał, że się zbliżają. Natrafił na dwójkę chłopców, która musiała się oderwać od reszty. Wziął kilka głębokich wdechów, starając się wtłoczyć w zmęczone życiem płuca jak najwięcej tlenu, po czym zaatakował. Pierwsze wyłoniło się ostrze. Stał za płotem i włożył w uderzenie całą siłę. Chłopiec, który najwięcej gadał, okazał się łatwym celem. Głowica broni wbiła się w klatkę piersiową chłopca w okolicy mostka. Drugi z nich zaczął się powoli cofać, z niedowierzaniem patrząc, jak starzec wyciąga z jego kolegi siekierę pojedynczym szarpnięciem. Robił niezdarne kroki do tyłu, ani nie kontrolując drogi, ani oprawcy. Potknął się o wystający korzeń, co prędko wykorzystał Zatorski, uderzając z góry. Trafił w brzuch. Tym razem stał całkowicie pokryta się krwią. Starzec patrzył na skąpane w czerwieni ostrze, przez moment nie reagując na czołgającego się chłopca, walczącego o życie. Krew była hipnotyzująca, a zarazem

wzmacniająca. Dawała siłę i władzę. Decydowała o tym, czy nagradzać, czy karać. Zatorski zacisnął zęby i zamachnął się jeszcze raz, celując w plecy pełzającego truchła.

To, że chłopcy się rozdzielili, zadziało na jego korzyść. Miał teraz tylko trzech do załatwienia. Udał się w stronę bloków, gdzie ich znalazł. Stali we trójkę. Najniższy z nich przybił z pozostałymi piątkę i poszedł do klatki.

– Co teraz robimy? – zapytał jeden.

– Nudzi mi się. Jeszcze raz pójdziemy do tego starego pierdziela.

– Chyba już przesadziliśmy. Nie jestem przekonany, że to dobry pomysł.

Dopiero podchodząc bliżej, Zatorski dostrzegł, że ten bardziej wycofany to brunet, a ten drugi, cwaniaczek, to farbowany blondyn. Miał na włosach jakieś dziwne kropki, jakby pasemka.

– Stary mi o nim opowiadał. To niezły skurwiel. Trzeba dać mu nauczkę – kontynuował blondyn.

Drugi z chłopców nie był zbyt zadowolony z tego faktu, ale nie miał siły przebicia.

– To chodźmy. Później lecimy do domu – odparł.

Nie spieszyli się, więc Zatorski miał czas, by ich dogonić, chociaż wcale nie było mu łatwo. Oddychał z trudem. Ciężki oddech przerodził się w charczenie. Wiedział, że słyhać go na kilometr, dlatego musiał załatwić sprawę szybko.

Zatrzymał się przy metalowym garażu. Mocniej zacisnął palce na stylu siekiery i wstrzymał oddech. Tym razem nie poszło tak łatwo, jak poprzednio. Sam cios był nie za dobry. Ostrze śmignęło w powietrzu, jakby miało przestraszyć chłopców, a nie ich zranić. Dzieciaki odsunęły się od starca i z bezpiecznej odległości obserwowały, co planuje. Brunet chciał uciekać, ale blondyn zatrzymał go, nie spuszczać oczu z mężczyzny.

– Czekaj. Stary chce się zabawić.

Zatorski zdawał sobie sprawę, że nie dosięgnie gnojków, póki ich nie zaskoczy lub sami nie zaatakują, więc wciąż czekał na ich ruch. Blondyn cofnął się, ciągnąc kolegę za bluzę. Starzec ruszył ich krokiem, rad, że schodzą z linii światła. Blondyn kucnął i ni stąd, ni zowąd podniósł z ziemi kilka kamyków, połowę oddając brunetowi. Nie zastanawiając się, zrobił zamach i trafił największym w pierś mężczyzny. Zatorski zatoczył się i zanim zorientował się, że to on jest atakowany, otrzymał kolejne dwa razy. Blondyn trafił w nogę, ale za to z piekielną siłą, a brunet, ocknąwszy się, rzucił w ramię. Starzec nagle poczuł, jak spoza fali

bólu, promieniującego z trzech miejsc naraz, wyłania się inna siła, zagłuszające wszystkie pozostałe. Ruszył przed siebie z rykiem, zapominając o zmęczeniu, mając tylko jeden cel.

Dzieciaki tym razem uciekły. Brunet biegł przed siebie, ile sił w nogach, podczas gdy blondyn zachowywał od staruszka odpowiedni dystans, co jakiś czas rzucając losowym wyzwiskiem. Kiedy wpadł na krzaki, Zatorski prawie go dogonił. Chłopcy minęli bloki i pobiegli w kierunku lasów. Zatorski na chwilę stracił ich z oczu. Rozglądał się bacznie w obie strony, by niczego nie przeoczyć. Za blokami rozciągały się pasma jeżyn. Gdzieś tam walały się pojedyncze opuszczone, drewniane szopy, już dawno przeżarte przez pleśń i zupełnie zniszczone. Ścieżka robiła się coraz węższa i skręcała głębiej w las, za którym nie było nic poza drzewami. Usłyszał coś za plecami, lecz nie zdążył odwrócić się na czas. Blondyn wpadł na niego całym impetem, tak że wytrącił starcowi broń. Młodzieniec miał niemałą krzepę, gdyż w pojedynkę zdołał usiąść okrakiem na klatce piersiowej nadal silnego starca i przycisnąć mu nadgarstki do ziemi.

– Bierz tę siekierę – zawołał blondyn, kiedy uzyskał przewagę.

Za plecami stał jego kolega, zupełnie sparaliżowany tym, co się działo. Starzec ciężarem swojego ciała zdołał zrzucić z siebie dzieciaka. Doczołgał się do wciąż czekającej na swojego właściciela siekiery, po czym jeszcze na leżąco zadał nią cios. Brunet wreszcie odzyskał rezon. Popatrzył na ostrze zatopione w swoim udzie. Ostatnim, co pomyślał, było to, że mógł dostać w tętnicę udową, po czym zemdlął na w pół z szoku, na w pół ze zmęczenia.

– Zajebałeś go, ty świrze. Nie daruję ci – powiedział blondyn i rzucił się na mężczyznę.

Zatorski zdążył się jeszcze zamachnąć, ale tym razem nie trafił. Młodzieniec, wypełniony furją, rzucił się na swojego przeciwnika i przygwoździł go do ziemi. Starzec ledwie odczuwał pojedyncze ciosy, spadające na twarz. Blondyn miał siłę i za każdym razem uderzał, by wyrządzić jak największą krzywdę. Twarz Zatorskiego zamieniła się w papkę tkanek i krwi. Kątem oka dostrzegł, że ktoś kuca przy drugim chłopcu, następnie dopada do blondyna i ściąga go na trawę, chociaż mogło mu się to wydawać – niczego nie był już pewien.

Oddech mu się uspokoił, chociaż chwilę wcześniej czuł, jak w gardle zbierają się skrzepy i gęsta flegma, niemożliwa do przełknięcia. Całe napięcie, agresja i wściekłość, wreszcie znalazło ujście i zostało uwolnione. Umierając, pierwszy raz od bardzo dawna, czuł się spokojny i spełniony. Czas odejść.



CZY W OGÓLE NADEJDZIE KONIEC?

Michał J. Sobociński

*Joannie za jej medyczne wywody, które
równie dobrze mogłaby opowiadać w języku suahili.*

1 lipca

Od brzegu jeziora dochodziły radosne krzyki przyjezdnej gówniarzerii. Gromkie hałasy, których nie zagłuszała wylewająca się z głośników muzyka, irytowały Stefana. Przyobiecał wówczas sobie, że w życiu, za żadne skarby i inne zasiłki socjalne, dzieci mieć nie będzie. Jakiś gołowąs darł się, że zgubił piłkę. Inny siusiumajtek ryczał, niby rażony włócznią tur, z nie wiadomo jakiego powodu. Kolejny kaszojad śmiał się do rozpuku, gdy ściągał młodszej koleżance majtki.

Do tego ta muzyka, pomyślał Stefan. Połączenie Zenona Martyniuka słuchanego przez starszych i dziwnej łupaniny nazywanej trapem, słuchanej przez młodszych.

Pomodlił się do nieistniejących bogów o zatopienie miejscowości Sława. Im wcześniej, jak dodawał w myśli, tym lepiej.

– Ludzie płacą, by wysłuchiwać tych wrzasków – powiedział, wysiadając z Volkswagena T4. – Do wieczora wysoki sopran dzieciaków, a wieczorem ciężki, napierdolony bas ich ojców. Krótko mówiąc: urlop nad jeziorem.

– A nad ranem kac – zaśmiał się Marcin, również wychodzący z busa. – Nie jęcz. Przecież nie będziemy tutaj przebywać. Na nas czekają komary lęgnące się w szuwarach i wędkarze.

– Co masz do wędkarzy?

– Co? – Marcin wzruszył ramionami. – Nic. Mój stary był fanatykiem wędkarstwa.

Cały pokój...

– Marcin, daj spokój. To było zabawne w późnym paleolicie.

– Och, to ty daj spokój! Będzie fajnie, zobaczysz!

– Póki co nie wiemy, jak trafić do domku.

– O, wracają – rzucił Marcin, zakładając okulary przeciwsłoneczne.

Z tłumu ledwo ubranych ludzi, którzy za nic nie wyglądali tak, jak się zwykle prezentowali na Instagramie, wynurzyła się dziewczyna w zwiewnej sukience koloru bursztynu. Kasztanowe włosy uplotła w kok, z którego niczym węże uchodziły kosmyki. Podkreślały jej ostre rysy twarzy i nieco migdałowe oczy.

Paulina podobała się Stefanowi już od pierwszego roku studiów. Okłamywał się w myślach, że to nie z jej powodu trzymał się ich trio. Wmawiał sobie, że lubi frywolny styl Marcina, że imponuje mu swoboda kolegi. Tłumaczył, że zadufanie Roberta to przywara wszystkich geniuszy, że w duchu nie jest chamskim dupkiem. Do Pauliny próbował się jakoś zbliżyć, ale studiowali inne kierunki. On historię. Ona medycynę. On kończył studia za rok,

ona za dwa lata. On nie rozumiał większej części jej wokabularza, ona nie rozumiała, dlaczego warto wiedzieć to, co było dawniej.

W te wakacje albo nigdy, zarzekał się.

Słońce grzało jak szalone, kakofonia dziecięcych okrzyków szła ku kreszendo, Martyniuk walczył o uwagę z Solarem i Białasem.

Kobieta wpatrywała się w duży ekran smartfona i mówiła coś do idącego za nią kolegi. Robert wyglądał, przynajmniej według Stefana, jak typowy przedstawiciel swojego gatunku. Nosił obcisłe spodnie do kostek, tenisówki vans z szachownicą na przyszywnicy. Niezbyt bujne kręcone włosy układał w sztorc, tak że wyglądały jak języki płomieni.

– Tak, tato. Dobrze. Rozumiem. Józefów. – Robert zakończył rozmowę telefoniczną, gdy doszedł do busa. – I co, Paulina? Dowiedziałaś się czegoś?

– Wszystkie domki są zajęte, zostaje nam pole namiotowe – odpowiedziała, zakładając okulary na nos.

– Czyli spanie tutaj odpada – westchnął Robert. – Domek mojego ojca jest w Józefowie, po drugiej stronie jeziora. Podobno przy drodze jest znak. Musiałeś go przeoczyć, Stefan.

Wywołany do odpowiedzi mężczyzna ani myślał korzyć się przed kolegą. Wzruszył ramionami i wyciągnął paczkę Westów Ice z kieszeni. Zapalił papierosa i oparł się o drzwi samochodu.

– Trafimy tam, spokojnie. Jest dwudziesty pierwszy wiek, internet i Google Maps – podsunął, jak zwykle optymistycznie, Marcin.

– Jeźdzmy już, leje się ze mnie. Cała się kleję i najchętniej bym się wykapała.

Nie zwlekając dłużej, wsiedli do auta, a Stefan odpalił silnik. Ostrożnie, z precyzją i uwagą, wyminął tabuny ludzi kręcących się po parkingu.

Wyjeżdżając na główną ulicę Sławy, wyrzucił peta przez okno. Zerknął na Marcina, którego głowa z chwilą zajęcia miejsca w aucie powędrowała ku ekranowi smartfona. W lusterku zauważył rozpromienioną Paulinę wystawiającą twarz do słońca. Robert z zaciętą miną stukał w ekran telefonu.

Potem Stefan przypomniał sobie o ilości bagaży, które trio zaparkowało na tygodniowy pobyt.

2 lipca

Pierwsza zasada każdego biwaku brzmi: Rozłóż namiot, zanim zaczniesz pić. Rozochoceni przyjeziornym klimatem przyjaciele rzucili się w wir radosnej beztroski od razu po wyjściu z auta. Choć nie nocowali w namiocie, a w leśniczówce na wyjątkowym zadupiu, zupełnie nie zastosowali się do ludowej mądrości.

Dlatego rozpakowali się na drugi dzień, a spakowali się, jakby mieli spędzić w tym domku przynajmniej rok.

– Stefan, chcesz paracetamol czy ibuprofen?

Wychodzący z domku, Marcin miał podkrążone oczy i zboląłą minę. Pomimo że wczorajszej nocy wypił znacznie mniej od swojego kolegi, wyglądał gorzej. Student historii nie mógł odnaleźć się wśród okołomedycznych tematów, zatem by zabić czas, wypijał kolejne piwa. Później, gdy pula obgadywanych wykładowców na wydziale medycznym się skończyła, zaczęli rozmawiać na normalne tematy. Jakies pół godziny, bo towarzystwo szybko znudziło się nimi i wybrali się do łóżek, aby gadać dalej o studiach.

– A co za różnica? – odparł Stefan, ściągając z głowy mokry ręcznik. – Daj i to i to.

– Nie jesteś na coś uczulony? – Marcin drążył dalej, podchodząc bliżej kolegi.

– Kurwa mać, Marcin. Mam kaca, jestem niewyspany, bo zamiast pójść spać gładziliście do piątej rano. Nie jestem na nic uczulony. Kiedyś kichałem na kocią sierść. To ma jakiś związek?

– Ma to związek z tym, że jesteś niemiłym gnojkiem. – Marcin uśmiechnął się szeroko. – Daj spokój, są wakacje. Lecz kaca, bo po obiedzie jedziemy do Biedronki po następną skrzynię piwa. Dasz radę prowadzić?

– Dam, dam. Tylko łeb mnie napierdala, jakby ktoś w mojej głowie urządził imprezę Heliogabala.

Aluzji, czego domyślał się Stefan, Marcin nie rozumiał. Historyk nie miał tego za złe koledze i podejrzewał, że gdyby nie ich zła kondycja, wypytałby go o szczegóły. Z trojga studentów to właśnie z Marcinem potrafił rozwinąć nić porozumienia, nie plątając przy tym supła niezgody. Robert był zbyt delikatny, zachowywał się dziewczynka, której należy się cały świat tylko i wyłącznie dlatego, że się urodził. Paulina, co uświadomił sobie dokładnie, Stefanowi się po prostu podobała. Bimbał sobie zatem na jej ewentualne wady i przykrywał je grubym kożuszkim zalet.

– Podoba ci się tu? – rzucił Marcin, rozkładając się na leżaku obok.

– Podoba. Wiesz, że te lasy są naturalne? To znaczy nikt ich nie sadził. Po wojnie ludzie, którzy przybyli tu mieszkać, masowo sadzili lasy.

– Po co? Ekologia?

– Zaraz tam ekologia – parsknął Stefan. – Stąd jest blisko do granic z Niemcami. Fakt, że NRD było w sojuszu z ZSRR nie zmienił faktu, że Polacy obawiali się potencjalnej agresji. Gęste lasy stanowiły świetny kamuflaż przed zwiadami samolotów. Gomułka, jako minister Ziem Zachodnich, wydawał więc rozporządzenia, by sadzić lasy. Las, w którym przyszło nam być teraz, jest naturalny. Pamięta pewnie czasy Henryka Brodatego. Zresztą, cały Dolny Śląsk wzbogacał się w średniowieczu właśnie z karczowania lasów.

– Przecież to jest województwo lubuskie.

– Tylko administracyjnie. Historycznie jesteśmy na Dolnym Śląsku.

Marcin rozejrzał się po okolicy. Mężczyźni siedzieli chwilę w ciszy mąconej śpiewem ptaków, bzyczeniem owadów i piosenką Zenona Martyniuka, którą niosła woda z przeciwnego brzegu. Było parno, zaczynało być duszno. Kac, co tu dużo gadać, puszczał, acz powolutku.

– Myślisz, że są tu jakieś uroczyska?

Pytanie zaskoczyło Stefana.

– Masz na myśli miejsca kultu? Jakies pogańskie gaje?

– No... tak – poddał nieśmiałym głosem Marcin. – Mówisz, że te lasy są stare, więc czemu nie? Znasz może jakieś podania na ten temat?

– Wiesz co? Dokładnych podań nie znam, ale pod koniec siedemnastego wieku we wsi Kolsko było polowanie na czarownice. Cała historia była dość typowa i zaczęła się od wskazania winnej tubylczej wiedźmy.

– Wiedźmy? – Zdziwiony Marcin usiadł na leżaku.

– Wiedźmy. Wiedźma to ta, która wie. To nazwa zwyczajowa, dopiero w renesansie zaczęła się źle kojarzyć. Wcześniej „wiedzące baby” zajmowały się ziołolecznictwem, sporządzaniem maści, mikstur...

– No i co? Co z tym polowaniem?

– Nic. Ludzie nie mogli zrozumieć, dlaczego inni łapią choroby, dlaczego innym się lepiej powodzi. Z jakiego powodu komuś idzie lepiej w interesach, czemu pszenica lepiej rośnie na jego polatku. Często też chodziło o zwykłą zazdrość. Jakaś dziewczucha odrzuciła konkury niedoszłego kochanka i bach! Oskarżenie o czary.

– Strasznym ciemnogrodem było to średniowiecze.

– Renesans – poprawił Stefan. – W średniowieczu ludzie też wierzyli w magię, ale jeśli leczyła, sprawiała dobro, to uważali, że musi pochodzić od Boga. Dopiero odrodzenie, czyli renesans, otworzył się na człowieka. W tym na torturowanie go.

– I co się stało z wiedźmami z Kolska?

– Tylko nie myśl, że wśród nich były jedynie kobiety – tłumaczył dalej student. – Byli tam również mężczyźni. A co się stało? Tortury, śledztwo i stosy. Ogólnie zginęło lub zostało spalonych około trzydziestu dziewięciu osób.

Marcin zapatrzył się w zwartą ścianę lasu. Przymknął oczy i uśmiechnął się blado. Stefanowi również udzielał się kojący nastrój dzikiego miejsca.

– Chyba się nieco ożywiłeś – stwierdził po chwili student medycyny. – Idę obudzić Paulinę i Roberta. Nie chcę wysłuchiwać, że pojechaliśmy do miasta, nie mając na uwadze ich próśb. W aucie jest chyba alkomat. Dmuchnij sobie, to może szybciej pojedziemy do miasta.

4 lipca

Było już ciemno, choć nadal parno, gdy znajomi usiedli przy ognisku.

Za każdym razem, gdy trio zaczęło rozmawiać o medycynie, Stefan wyłączał się. Odpływał gdzieś w nieznane nikomu zakamarki własnej rzeczywistości i malował. Malował obrazy różnych sytuacji, w których umieszczał siebie i znanych mu ludzi. Czasami na bohomazach wyobraźni widniały sceny patetyczne. Rzadko zupełnie normalne. Niekiedy odpływał na prawdziwe głębiny, osadzając się w wydarzeniach zupełnie fantastycznych. Czasem, no może nie tak rzadko, wyobrażał sobie oblane sierpniowym słońcem pole pszenicy. Wśród kłosów Paulina, ubrana jedynie we wstyd. Na niej on, w podobnej kreacji. Zaraz po tym uśmiechał się po kretyńsku.

Gździć się na polu, pomyślał. W samo południe? Wśród robactwa i spiekoty? Dobrze sobie.

Trójka znajomych z jednego roku snuła opowieści związane z ich kierunkiem. Opowiadali o profesorach, doktorach, zabiegach, chorobach, których nazwy zupełnie nic nie mówiły młodemu historykowi.

Dlatego znów odleciał w jemu tylko znane przestrzenie. Wpatrywał się w mrok ściany lasu. Wiekowe dęby, fantazyjnie powykręcane, zdawały się toczyć bój o przestrzeń ze starymi robiniami. Z rzadka słyszane odgłosy lasu, skutecznie tłumione przez wybuchy śmiechu medyków, pobudzały wyobraźnię Stefana. Wyobrażał sobie, co może się dzieć za naturalną

fasadą drzew. Przez osnowę wyobraźni przebijały się zgarbione postaci czarownic, smukłe rusałki tańczące w szuwarach, czuwający nad borem leszy kroczył chyłkiem między olchami, a z nieba krzyczał żar-ptak. Zaraz po tym skojarzył, że podobne rozterki mogli mieć ludzie żyjący tu przed wiekami. Tylko że oni wierzyli w magię, a każdy podejrzany dźwięk dębiny natychmiast kojarzyli z czymś nienaturalnym.

– Hej! Stefan! – odezwał się Robert piskliwym głosem. – Nie śpij. Słyszałeś co mówię?

– Co? Uch... Przepraszam. Zamyśliłem się. Co mówiłeś? – Stefan poprawił się na leżaku i wziął łyk piwa.

Robert poprawił okrągłe okulary i poklepał prostokątne zawiniątko trzymane na kolanach. Minę przy tym miał tak chytrą, niby mała dziewczuszka robiąca koledze psikusa. Ostrożnie rozwinął paczkę, a w blasku migoczących refleksów ogniska historyk dojrzał książkę. Gruby inkunabuł był oprawiony w brunatną skórę, na przodzie której widniał symbol oka. Żrenica przypominała węża zjadającego swój ogon, co Stefan natychmiast skojarzył z Uroborosem.

– Co to jest? Skąd to wziąłeś? – zapytał wyraźnie zaskoczony. Czuł, jak ekscytacja zaczyna rozsadzać jego wnętrzności.

– Mówiłam wam, że to go zainteresuje! – zaśmiała się Paulina.

– Mój ojciec ma fioła na punkcie staroci i ogólnie historii. – Głos Roberta wypełniła doza obrzydzenia, tak jak za każdym razem, gdy mówił o innej dyscyplinie niż jego własna. – Jego kolega, bodajże doktor Górski, dał mu to do zobaczenia, a ojciec dał mi, kiedy dowiedział się, że na wycieczkę jedzie z nami historyk. Zobacz sobie.

Stefan z nabożeństwem przyjął grimuar. Ważył więcej, niż się spodziewał. Do tego jej stan sugerował, że mógł mieć do czynienia z falsyfikatem. Był zbyt czysty, a obwoluta wcale zniszczona. Odłożył puszkę piwa, wyprostował się na leżaku i ostrożnie otworzył księgę.

Delikatnie pomacał kartę i określił, że jest gruba. Wykonana z celulozy i nieregularna powierzchnia wskazywała na niedoskonałość narzędzi produkcyjnych. Karta, znacznie grubsza niż obecnie stosowane, posiadała nieco beżowy odcień.

Cholera, to chyba oryginał, pomyślał.

Stefan nie był biegły w rozpoznawaniu falsyfikatów. Jego specjalnością była starożytność i nawet jeżeli nie władał wymarłymi językami, potrafił dopasować alfabet do konkretnej kultury. Równe ściegi liter przypominały mu nieco skandynawskie runy, ale wyróżniał akcenty alfabetu greckiego, zwłaszcza przy okazji nowych akapitów. Wertując kolejne strony, wyłapał pewien schemat. Najpierw kilkanaście wersów podobnych do run. Na

następnej stronie, zawsze lustrzanej, występowała niby greka z rysunkiem przypominającym dłoń. Ułożenie palców, co Stefan sam sprawdził kilkakrotnie, było bolesne, ale możliwe do wykonania. Zupełnie nie przejmował się kpiącymi uśmiezkami znajomych, obserwujących go niby małą odkrywającą zastosowanie kija na innej małpie.

Zamknął książkę, zważył ją w rękach po raz wtóry i otworzył na pierwszej stronie. Na pozostałej stronie znajdował się napis. Alfabet ludzako przypominał litery łacińskie okraszone wpływami cyrylicy. Stefan spróbował go przeczytać, ale nie udało mu się odczytać nawet dwóch pierwszych słów.

– Ylistysiah ron Morgahunil, yoka oli ensimmäinen, yoka sitoo Vaeltajienah sielut Kuolleidenah ruumiisiin – wyrecytowała z łatwością stojąca nad nim Paulina.

Historyk spojrział na nią zaskoczony. Wiedział, że dziewczyna ma talent do języków, a naśladowanie różnorodnych dialektów przychodzi jej z łatwością. Mimo to nie mógł wyjść z podziwu.

– Widziałam ją już wcześniej. Nauczyłam się tego zdania, żeby zrobić na tobie wrażenie – zaśmiała się słodko. – Chciałam też zobaczyć twoją zdziwioną minę!

– Jezu... To powinno leżeć w muzeum – odparł Stefan, wpatrując się we wracającą na swój leżak Paulinę.

– I leży, nie bój żaby – rzucił bez troski Robert.

– Przepraszam was na chwilę – powiedział Marcin i wstał. – Paulina? Możesz pójść ze mną?

Zniknęli za progiem domku letniskowego. Odprowadzający ich wzrokiem Stefan zgrymasił się brzydko. Nie uszło to uwadze Roberta.

– Co jest? – spytał.

– Nic, nic – odparł natychmiast Stefan, kierując uwagę w stronę kolegi. – Co wiesz jeszcze o tej księdze?

– Tak jak mówiłem. Księga znajduje się w depozytach Uniwersytetu Zielonogórskiego. Oficjalnie, bo nieoficjalnie krąży sobie wesoło z rączek do rączek różnych profesorów czy doktorków. Ojciec mówił, że znaleziono ją w ołowianej skrzyni podczas prac archeologicznych na trasie Nowa Sól–Zielona Góra. Podobno zawsze wpuszcza się archeologów, jak mają zbudować jakąś trasę czy coś w tym stylu. Pewnie dlatego tak długo buduje się drogi, nie? Co myślisz?

– Nie wiem, może – rzucił gwałtownie Stefan. – Muszę się odlać.

Nie wytrzymał. Nie mógł znieść niewiedzy. Wstał i poszedł do domku.

– Nie możesz iść w krzaki?

Nie odpowiedział. Po cichu, niby przyuczajony na mysz kot, wszedł do środka. Wyteżył słuch i wyłowił kilka niezrozumiałych zdań. Paulina i Marcin rozmawiali w kuchni. Historyk przykleił się do framugi i zerknął ostrożnie. Czuł się niesamowicie głupio. Serce zdawało się zaraz rozbić mostek i upaść na drewnianą posadzkę.

Para znajomych stała blisko siebie. Pomieszczenie, oświetlone jedynie wpadającym przez małe okno blaskiem księżyca, było ciasne i przytulne. Stefanowi wydawało się, że trzymają się za ręce. Przełknął gorzką ślinę i otworzył usta.

Paulina w jednej chwili oderwała wzrok od Marcina i spojrzała przez jego ramię na wejście do kuchni.

– Stefan?

– Przepraszam – wyjęczał żałośnie. – Przyszedłem po piwo.

I rozczarowanie, dodał w myśli.

6 lipca

Noc pachniała robinią. Gładka tafla wody, nietrącana podmuchami wiatru, mieniła się w blasku księżyca. Nawet ptaki czy żaby zdawały się respektować spokój.

Na przeciwległym brzegu trwała w najlepsze impreza. Tej nocy na miejskiej plaży w Sławie odbywała się uroczystość – Nocy Kupały. Stefan wiedział, że jak co roku trupa aktorów z niedalekiej Nowej Soli inscenizuje pogańskie obrządki. Jeszcze wczorajszego dnia sam chciał wsiąść w auto i pooglądać występy artystów, ale wczorajsze zachowanie Marcina i Pauliny zupełnie popsuło jego nastrój.

Co zresztą sobie myślałem, poddawał w duchu. Ona będzie lekarzem, on będzie lekarzem. Ja co najwyżej nauczycielem w jakiejś szkole, zarabiającym grosze. Niby czemu miałyby na mnie spojrzeć? Do czego mógłbym być jej potrzebny? Mówi się, że ludzie dobierają się wedle przeciwieństw, ale jest to kłamstwo dla frustratów. To podobieństwa nas łączą i kształtują. A ja tu z nimi, w tą letnią, lipcową Noc Kupały. Pal sześć, że Noc Kupały powinna być w czerwcu, a nie na początku lipca, ale kto by się przejmował dokładnością? Potrzebuję być sam. Potrzebuję czerpać radość głosów z drugiego brzegu, by podlewać swój smutek.

Okłamał znajomych, stwierdzając, że boli go brzuch, głowa, nogi, ręce i wszystko, co uniemożliwiało wyjazd do miasta. Pojechali sami, a Stefan wziął czteropak piwa i poszedł posiedzieć na brzegu jeziora.

Odkładając trzecią puszkę na bok, usłyszał za plecami hałas. Zerwał się na równe nogi i z braku lepszego oręża, złapał za kamień.

– To tylko ja.

Wyszła zza krzaka ubrana w tą błękitną sukienkę. W tą samą, w której widział ją kilka lat temu, w ostatnie ciepłe dni września, gdy krążyła korytarzami uczelni. Ona szukała dziekanatu, on czekał na poprawę egzaminu z dydaktyki.

– Co tu robisz? Nie jesteś w Sławie? – zapytał Stefan, wypuszczając kamień z dłoni.

– Chłopaki pojechali, a ja zostałam. Siedziałam w domku, bo... Chciałam cię przeprosić.

– Przeprosić? Mnie? Za co?

– Strasznie dużo pytań zadajesz – uśmiechnęła się szeroko. – Jakbyś przeprowadzał wywiad medyczny.

Już na samo napomknięcie o procedurach szpitalnych Stefan poczuł w gardle żółć. Widząc szczerą uśmiech Pauliny, domyślił się, że zrobiła to specjalnie.

– Przyszłam cię przeprosić – powtórzyła, zbliżając się do niego.

– Nie rozumiem. Ty jesteś wolna, Marcin jest wolny...

– Marcin jest wolny i nieistotny – dokończyła.

Świat w oka mgnieniu zawirował i rozbrzmiał śpiewem zwycięskiej armii. Pocałowała go szybko, bez namysłu i pytania o zgodę. Gdy nie przerwał, a ujął ją w talii, kontynuowała. Był od niej wyższy, więc stanęła na palcach i nie przestawała. Dłonie mężczyzny zaczęły powoli, ale konsekwentnie zmierzać w kluczowe partie ciała Pauliny. Ta nagle przerwała, oderwała swoje usta od jego i otworzyła oczy.

– Przepraszam, nie wiem, co mnie napadło – powiedział szybko Stefan, opuszczając wzrok.

Nic nie odpowiedziała. Zamiast tego sięgnęła do kieszeni w sukience i wydobyla z niej zwiniętą w kulkę chusteczkę. Ostrożnie ją odwinęła i wyciągnęła garść różowych tabletek.

– Weź.

– Yyy... Co to? – zapytał skonfundowany Stefan.

– Metylenodioksymetamfetamina – odpowiedziała raptownie, a historykowi przypomniała się piosenka „Macarena”. – Extasy – dodała z uśmiechem na twarzy. – Nie brałeś nigdy tego?

– Nie miałem okazji ani potrzeby.

– Dziś jest okazja.

– A potrzeba?

– Weź po prostu. Zobaczysz, będzie nam lepiej.

Wziął. Nie chciał tchórzyc ani zwlekać przed tym, na co czekał tyle czasu. Nie czekał długo, aż substancja spowoduje zmiany w jego organizmie. Poczł euforię, a potem dziwną lekkość.

A potem nie poczuł już nic.

7 lipca

Stefan powoli otworzył oczy. Czuł, jakby jego mózg drażyło milion śrubek. Świat, a dokładniej wiatrak na suficie domku letniskowego, rozmywał się. Był mleczny, niewyraźny, poruszające się skrzydła zdawały się ciągnąć za sobą feeryczne smugi. Równocześnie słyszał śpiew pokłāsawki i czuł zapach deszczu.

Było lato, czasem padało, przypominał sobie. Byłem na plaży z Pauliną. Ale jak się tu dostałem? Pewnie Marcin z Robertem wrócili ze Sławy i mnie tu przynieśli. Co za wstyd...

Otworzył lekko usta i poczuł, że w gardle ma wiór. Strasznie chciało mu się pić, więc postanowił wstać.

– Hej! – Usłyszał głos Roberta. – Budzi się!

– Podaj mu morfinę, szybko! – zakomenderował Marcin.

Stefan poczuł ukłucie, a po chwili słodką błogość.

Może coś mi się stało, przeszło mu przez myśl. Może upadłem na kamień, paskudnie złamałem nogę, a teraz opiekują się mną? Morfina? To przeciw bólowi. Może w pełni świadomości nie zniósłbym bólu?

Wiatrak krążył. Jego łopaty zataczały raptownie kręgi, aż w końcu zlały się w całość.

8 lipca

Obudziła go monotonna melorecytacja Pauliny. Dziewczyna zawsze miała ucho do języków. Dialekty, nawet te najbardziej egzotyczne, potrafiła udawać z łatwością. Stefan z wysiłkiem zdołał uchylić prawe oko. Niewiele się zmieniło. Była noc, ale czuł, że minęło nieco czasu. Kobieta mówiła w dziwnym, melodyjnym języku, który przypominał Stefanowi fiński. Historyk znał jedynie brzmienie, ale ani jednego słowa w tym trudnym języku.

– Elävältäh myeheltä nouse kuolemationeh ihminenor. Antakaarh kurjakus tuhka elävältä myeheltä! – mówiła powoli Paulina.

– Anna sen nousta! – krzyknął Robert.

– Anna sen nousta! – powtórzył Marcin.

Przerażony Stefan spróbował gwałtownie wstać. Próba zakończyła się porażką. Nie drgnął nawet.

Zespół zamknięcia! Mam zespół zamknięcia! Czuję się dobrze, nic mnie nie boli... Szlag, nic nie czuję. Co się dzieje?! Nie... To nie ten zespół... To są żarty! To mi się śni! Co się dzieje?! Boże, nie mogę się ruszyć!

– Aivan quten Morghanun quetusihar dverkusi elämään, niineah sytker! – Spokojny głos Pauliny przeobraził się w krzyk.

– Niineah sytker! Niineah sytker! – Zawtórowali mężczyźni.

Historyk spróbował znowu się poruszyć, ale zamiast tego poczuł przerażający ból w klatce piersiowej. Epicentrum agonii wędrowało ku górze. Zaciśnięte niby żelaznym imadłem gardło w żaden sposób nie chciało oddać wrzasku cierpienia. Gdy gehenna znalazła się w okolicach oczu, obraz rozbłysł setkami kolorowych refleksów, by w następstwie zlać się w jeden. Stefan zauważył nad sobą sylwetki Marcina i Roberta. Obaj mężczyźni stali nad nim, dotykając jego głowy i torsu. Nad studentem stała okrakiem Paulina, trzymając w dłoniach tę starą księgę, którą przywiózł Robert.

Co się dzieje, do cholery?!

12 lipca

Kolejne dni mijały szybko. Stefan nie odzyskał wzroku ani możliwości kontaktu ze światem zewnętrznym. Słyszał, że inkantują nad nim dziwne, a zarazem melodyjne słowa.

Rytuał powtarzał się każdej nocy. O porze dowiadywał się z rozmów, jakie studenci medycyny toczyli między sobą. Mówili bezbarwnym, pozbawionym empatii tonem przynoszącym wrażenie typowego konsylium lekarskiego.

Stefan był przerażony. Nie rozumiał swojego położenia, ale cieszył się, że nie sprawiają mu już bólu. Po fazie mizernej radości przyszło mu na myśl, że troje przyjaciół przeprowadza na nim coś w rodzaju eksperymentu. Po każdym rytuale podawali mu dożylnie różnorakie medykamenty, chcąc sprawdzić, jak historyk zareaguje na substancje.

Z zasłyszanych rozmów pojął, że nie reaguje w ogóle. Tak, jakby nie żył, a przecież żył.

15 lipca

– Wypadły mu wszystkie włosy.

Obudził go łagodny głos Marcina. Stefan spróbował otworzyć oczy, ale nie mógł. Nie czuł bólu, a jedynie mrowienie w każdym calu jego skóry. Uczucie porównywał do łagodnego odrętwienia, gdy człowiek ma wrażenie, jakby jego własna ręka nie należała do niego.

– Wszystkie? Wszędzie? – dopytywał Robert.

– Tak, wszystkie. Sprawdzałam rano – potwierdziła Paulina.

Kroki. Podeszli do niego.

– Ma bardzo słaby puls. Wręcz niewyczuwalny. Powinien już nie żyć – ocenił Robert, dotykając szyi Stefana.

– Oddycha – zauważył Marcin – i to całkiem łapczywie. O czym to może świadczyć?

– O tym, że proces zmierza w dobrą stronę – skwitowała Paulina. – Ten znajomy twojego ojca, ten historyk znaczy, przetłumaczył przecież cały rozdział. Na końcu jest napisane, że „twór” ma nie żyć, ale poruszać się i wykonywać polecenia.

– Jak zombie? – spytał nieśmiałym głosem Robert.

– Trochę tak. Ale zombie na filmach to trupy, które się poruszają. A nasz Stefanek będzie żył, nie będzie musiał jeść i nie będziegnił. Tak obiecuje księga.

– Co z nim zrobimy później? – dopytał Marcin, spoglądając na ciało Stefana.

– Zakopimy go – zaproponował Robert. – Następny rozdział mówi o stworzeniu istoty nazwanej „nehayrt”. Tworzy się ją na bazie... tego – rzekł i poklepał Stefana w czoło. – Skoro nie zgnieje na powietrzu, to w ziemi też. Zajmiemy się tym na następne wakacje.

– Kończmy na dziś – zawyrokowała Paulina. – Niedługo świt, a nam potrzebny jest księżyc.

Stefan krzyknął, przynajmniej tak mu się wydawało. Jego myśli darły się wniebogłosy, płakały symfonię rozpacz i bezradności. Wył i zawodził, choć wiedział, że ani drgnął. W pewnym momencie Paulina zerknęła na niego inaczej. Jakby ze współczuciem, jakby usłyszała jego wołanie, które stopniowo milkło.

A potem zrobiło się zupełnie cicho.

16 lipca

Paulina zakończyła śpiew donośnym śmiechem.

- Nie oddycha! Nie oddycha! – krzyczał uradowany Marcin.
– Wiem! – odpowiedziała z entuzjazmem kobieta. – Zrobiliśmy wszystko jak należy!
Skoro nie oddycham, zastanawiał się Stefan, to dlaczego jeszcze tu jestem?

17 lipca

Najpierw zauważył wąskie pasma światła podobne poświacie wpadającej do zmrużonych oczu. Rozmazany obraz powoli nabierał ostrości. Wkrótce zauważył nad sobą pochylone sylwetki Pauliny, Marcina i Roberta. Trójka medyków bujała się w rytm zaśpiewów kobiety.

Usłyszał potworną kakofonię najrozmaitszych tonów. Chciał krzyknąć, ale nie był w stanie wydobyć z siebie jakiegokolwiek dźwięku. Ból w okolicach skroni ustępował wraz z następnymi sekundami.

– Antakaraha henkoah erilläntir rumynysta! – melorecytowała Paulina. – Antakaraha hänen paeta ja huolehtia siitä, mikäyaha on mineri palvelijani!

– Antakaraha senira kulkeah pois! – powtarzali mężczyźni. – Antakaraha senira kulkeah pois!

18 lipca

Świat powoli tracił swoją rzeczywistą formę. Stefan czuł to, a czuł to dokładnie pomimo tego, że jego ciało zdawało obumierać. Wydawało mu się, że z każdym dniem przebija kolejną ścianę rzeczywistości, a jego myśli zdają się ulatywać w nieznane. Dokładnie tak jak wtedy, gdy jego znajomi rozmawiali o rzeczach nieinteresujących historyka. Ból, który zdawało mu się odczuwać, wzrastał się podczas tych dziwnych rytuałów, a poza tym z przerażeniem konstatawał, że nie czuje nic. Pozostawała mu jedynie mizerna radość istnienia.

Ściana została złamana... Złamałem ją. Czuję, że złamałem pewną barierę. Przestałem należeć do tego miejsca, nawet do tego wymiaru. Mimo to nie mogę stąd odejść, nie umiem wytłumaczyć dlaczego. Jestem pewien, że mam zamknięte oczy, a widzę tak, jakbym cały czas miał je otwarte.

Moi, jak mi się kiedyś zdawało, znajomi kontynuowali pracę. Każdego dnia gromadzili się przy moim ciele. Cykl powtarzał się dokładnie. Najpierw Robert i Marcin smarowali moje nagie ciało solą, potem pocierali mięsem. Chyba zgniłym, bo okrutnie się

przy tym krzywili. Ja nic nie czułem. Posiadam jedynie wzrok. Wydaje mi się, że uszkodzili mój układ nerwowy, ponieważ nie czuję ich dotyku. Zresztą, to bez sensu. W dalszym ciągu próbuję racjonalizować to, co mnie spotyka. Ich działania, a co gorsza efekty, przeczą temu w zupełności.

19 lipca

Tej nocy nie przyszli do mnie. Zdziwiłem się, bo odkąd rozpoczęła się moja udręka, poświęcali mi każdy wieczór. Moja świadomość została uruchomiona wraz z zapadnięciem zmroku. Było trochę tak, jakby ustawiający się na widnokręgu księżyc powoływał mnie do życia. Żałowałem, że moi oprawcy nie pokusili się o wytłumaczenie, dlaczego tak się dzieje. Dla nich było to pewnie jasne. Jasne jak letnie słońce, którego od wielu dni nie było dane mi oglądać. To przykre, że nie odczuwałem z tego powodu ani żalu, ani złości. Nic. Tak jakby znajomi, odcinając mnie od mego ciała, pozbawili mnie ludzkich uczuć. Pomimo wszechogarniającej pustki zauważyłem, że zaczyna doskwierać mi głód. Nie potrafiłem określić, czego pożałowałem. Ale to było coś nieopisanego, nieznanego mi wcześniej.

Leżałem, nie wiedząc, co mnie czeka.

Nagle zauważyłem migoczące światła. Mieszanina barw niebieskiej i czerwonej tańczyła na ścianach i suficie domku letniskowego. Po chwili z hukiem do pokoju wbiegł Marcin i narzucił na mnie koc. Obraz zgasł.

Doszły do mnie odgłosy szamotaniny. Znów odzyskałem zdolność widzenia. Zrozumiałem, że zasłona spadła ze mnie. W kącie mego postrzegania zauważyłem, jak Marcin szarpie się z wyższym od niego mężczyzną. Nieznajomy człowiek miał długie dredy, czarnego longslima i jeansy. Przewrócił Marcina na ziemię i wyciągnął broń.

– Nie ruszaj się, skurwysynu! – zaryczał wściekłym głosem.

To policjant, domyśliłem się. Usłyszałem coraz więcej nawoływań.

– Policja! Policja! – wybrzmiewały męskie głosy.

Czyżby ocalenie?

Do pokoju wbiegł następny mundurowy. Może w moim wieku.

Zerknął na mnie i zwymiotował.

20 lipca

Teraz, leżąc na szpitalnej kozetce z lustrem nade mną, widzę owoc pracy Pauliny, Marcina i Roberta.

– Nigdy czegoś takiego nie widziałam – powiedziała stojąca obok mnie pani doktor. – To wygląda na rozległe bielactwo, zaawansowaną łuszczycę, porfirię i poparzenia. Nie wiem, co mogę tu dodać. On nie ma pulsu, a delikatnie oddycha. Z medycznego punktu widzenia to jest niemożliwe.

Pani doktor miała rację. Stwierdzenie, że wyglądam okropnie, było eufemizmem. Wyglądałem jak potwór. Jak pozbawione włosów, warg, naturalnej barwy ciała monstrum.

– Zauważ, że ma chyba... kły – dodała do stojącego naprzeciw niej policjanta w dredach.

22 lipca

Słyszę, jak pani doktor cierpliwie tłumaczy, dlaczego należało mnie odpiąć od respiratora. Mówi, że przyczyną zgonu były poparzenia, a bladość skóry wynika z okultystycznych praktyk.

Matka zanosi się falami spazmów. Ojciec tkwi jak posąg, zaciskając pięści.

A ja słyszę i widzę sufit pomimo tego, że nie oddycham i nie żyję.

1 sierpnia

Widzę niebo. Przelatujące ponad mną ptaki są niczym spadające gwiazdy. Nie jestem w stanie określić, dlaczego nie umarłem. Przecież słyszałem, co mówi lekarz: On nie żyje, przykro mi. Dalsza praca respiratora jest nieuzasadniona. Te słowa huczą mi w głowie.

Zaczęły się śpiewy. Słyszę je dokładnie. Chowają mnie. Czy jestem zdziwiony? W żadnym wypadku. Skoro współczesna medycyna określiła, że nie żyję, to dalszym, naturalnym wręcz krokiem jest pochówek.

Najpierw pożegnali się ze mną rodzice. Czerwona od płaczu matka, ojciec ze skamieniałą twarzą, pod którą gotował się od emocji. Potem ciotki, wujowie, bliźni znajomi, dalsi znajomi. Pożegnał się nawet ten policjant w dredach, którego widziałem w domku. Ciekawe, dlaczego przyszedł na pogrzeb.

Wiek zamyka się nade mną. Bezkresna ciemność zastępuje bezmiar błękitu nieba.

Mechanizm opuszcza trumnę w dół.

Metr.

Drugi.

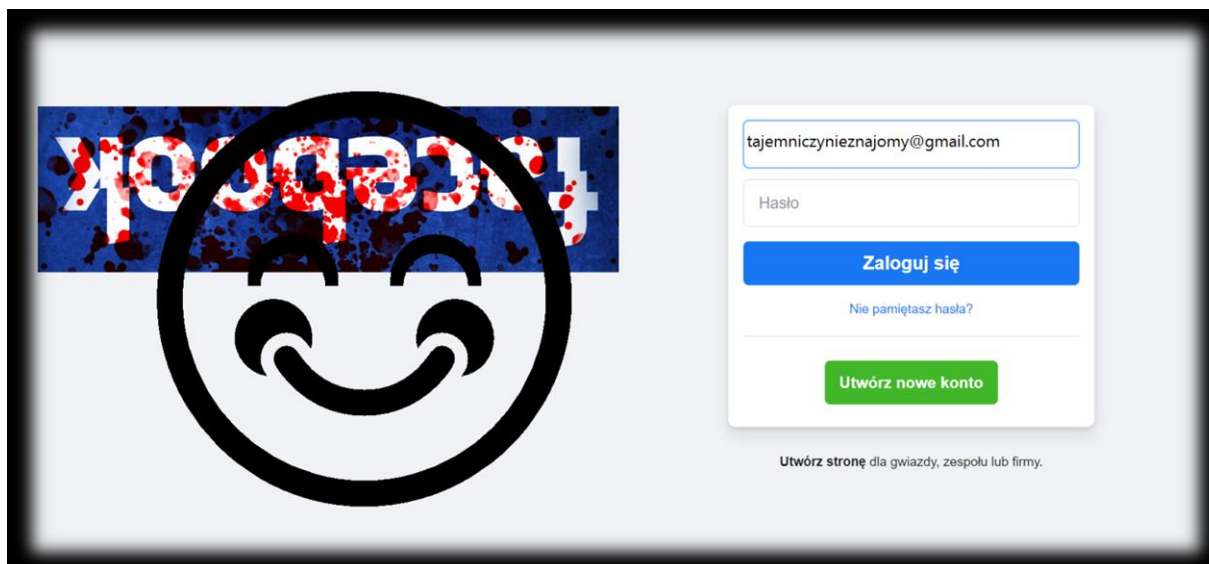
Trzeci.

Stop.

Zastanawiam się, co się stanie z moją jaźnią, gdy zgnije ciało.

Kiedy nadejdzie mój koniec?

Czy w ogóle nadejdzie koniec?



DLACZEGO NIE MAM FACEBOOKA

Sara Osiecka

Wszyscy mnie pytają, czemu nie mam Facebooka. „Jeśli nie masz konta na Facebooku, to nie żyjesz” – mówią, a ja wybucham wtedy śmiechem pełnym goryczy. Nie mówię im prawdy. Zawsze powtarzam, że tam nie ma dla mnie nic interesującego. Prawda nadal jest dla mnie zbyt bolesna, zresztą wątpię, żeby ktokolwiek był gotowy na opowieść o tym, co się stało. Wierzyłam, kiedy wszyscy radzili mi, by opowiadać o tym ciągle i ciągle od nowa, żeby „oswoić” się z tym, co się wydarzyło. I powtarzałam, najpierw na przesłuchaniach, w sądzie, potem w czasie niezliczonych godzin terapii. Zamiast się oswoić, tylko grzebałam w jęczącej się ranie. Teraz jednak zrobię wyjątek. Ten jeden raz opowiem, dlaczego usunęłam konto na Facebooku i nigdy nie zamierzam go znów zakładać. Tym razem po raz ostatni.

– Sto lat, sto lat, niech żyje, żyje nam – śpiewali rodzice i moja siostra, których ledwo widziałam przez oślepiający blask dwunastu świeczek.

Zaczerpnęłam tchu z całych sił i dmuchnęłam, myśląc życzenie. Chciałam być taka, jak moja 19-letnia siostra – piękna i mądra. Miałam prawdziwego bzika na jej punkcie.

– Wszystkiego najlepszego, kochanie – powiedziała mama, wręczając mi ogromny prezent zapakowany w różowy papier.

Rozzerwałam go i zobaczyłam zabawkę, która uczy dzieci anatomii człowieka. Na szkielet można było nakładać po kolei wszystkie małe organy. Inne dzieciaki pewnie byłyby zdruzgotane, ale ja wiedziałam, że moi rodzice są nieco dziwni. Zawodowo kroili trupy, więc przywykłam do nietypowych prezentów i rozmów o zgonach przy obiedzie.

– Dziękuję – powiedziałam, rzucając się rodzicielce na szyję.

– A to ode mnie – powiedziała Iza, wręczając mi z uśmiechem pakunek mniejszy od mojej dłoni.

Gdyby prezent takich rozmiarów został mi подарowany przez rodziców, czułabym zawód, ale wiedziałam, że to, co daje mi ona, będzie niezwykle. Pociągnęłam za elegancką wstążeczkę, otworzyłam pudełeczko i zachłysnęłam się własną śliną z zachwytu. W środku leżały dwie identyczne bransoletki z różowych koralików.

– To bransoletki przyjaźni. Jedna jest twoja, druga jest moja. Musimy je nosić zawsze i wszędzie, nie ma wyjątków, a nasza przyjaźń będzie trwać wiecznie. – Wzięła jedną z nich i założyła mi na rękę. – Ty załóż mnie.

Tak zrobiłam. Z namaszczeniem nałożyłam jej bransoletkę, pewna, że biorę udział w najprawdziwszym magicznym wydarzeniu, że splecę nasze losy na zawsze i nic nigdy nas nie rozdzieli. Gdy skończyłam, wzięła mnie za rękę i zrobiła komórką zdjęcie naszych splecionych dłoni, a potem na chwilę zatopiła się w komórce.

– Co robisz? – spytałam.

– Zaraz zobaczysz – odparła ze swoim cwany uśmiechem.

W tej samej chwili poczułam wibracje swojego telefonu. Wyjęłam smartfona, o wiele uboższego niż Izy, i zobaczyłam powiadomienie z Facebooka. *Iza Chomińska dodała nowy post, w którym cię oznaczono.* Ciarki ekscytacji przeszły mi po plecach, gdy otwierałam stronę.

Na jej tablicy widniało zdjęcie naszych dłoni odzianych w bransoletki. *Przyjaźń na zawsze z Marta Chomińska. Nic nas nie rozdzieli!* – napisała. Nie wstydziła się mnie.

Pokazała wszystkim swoim dorosłym koleżankom, że jestem dla niej ważna! Jak mogłam jej nie uwielbiać? Dla mnie była idealna. Niebawem jednak moje serce miało rozpaść się na tysiąc drobnych kawałków. Jeszcze nie wiedziałam, co planowała.

– Zostań, błagam! – łkałam, a gluty oplatały całą moją twarz od nieudolnego wycierania ich rękawem.

– Kochanie, będziemy w kontakcie – mówiła głosem tak łagodnym, że ledwo słyszalnym. – Będziemy pisać na fejsie, możemy się nawet widzieć. Będę dzwonić i przyjeżdżać co weekend. Przysięgam.

Był koniec września, a walizki Izy zawaływały cały korytarz prowadzący do drzwi wejściowych. W czerwcu, kiedy dawała mi bransoletki, nie miałam pojęcia, że zamierza wyjechać na studia do innego miasta. Umyślnie nic mi nie powiedziała, bo wiedziała, że pewnie chcąc ją ukarać, a może nawet odwieść od tego pomysłu, nie wyjechałabym z nią nad morze. Miała rację. Wtedy jednak lodowaty sztylet przebijał moje ciało raz za razem, a jej słowa w ogóle mnie nie przekonywały.

– Nie idź! Potrzebuję cię! Umrę bez ciebie! – kwiliłam, szukając w głowie najbardziej dramatycznych słów, które tylko przychodziły do mojej młodocianej głowy. Nic bardziej ostatecznego nie potrafiłam wymyśleć.

– Nawet tak nie mów! Nie zniosłabym, gdyby coś ci się stało. – Przytuliła mnie mocno. – Zobaczysz, że nic się nie zmieni. Mamy bransoletki, pamiętasz?

Przytaknęłam. Szloch tak mnie wykończył, że już nie miałam siły nic mówić. Bezlitośnie to wykorzystała, całując mnie w czoło.

– Wrócę, obiecuję – kłamała, choć sama jeszcze o tym nie wiedziała.. – Kocham cię i uważaj na siebie.

Wyszła, póki byłam zbyt zmaltretowana, by zaprzeczyć.

Dom bez Izy wydawał mi się okropnie pusty i cichy, wręcz obcy. Nic nie dawało krzątanie się mamy ani tata siedzący przed telewizorem pogłósnionym niemal do maksimum. Czułam się porzucona, jednak żal powoli ustępował. Kiedy tęsknota za Izą wręcz przybijała mnie do ziemi, wchodziłam do jej pokoju i nic nie ruszając, siadałam na łóżku, patrząc na to,

jak go zostawiła. To była słaba namiastka naszych wspólnych wieczorów, bo większość rzeczy zabrała ze sobą.

Nie dzwoniła często. Była zajęta nauką, jak twierdziła mama, ale z perspektywy czasu zgaduję, że bardziej zajmowała ją integracja. Kiedy złość zaczęła ustępować, zastępowała ją coraz większa tęsknota. Czułam potrzebę kontaktu z moją siostrą, chciałam wiedzieć, co się u niej dzieje, jak wyglądają studia, jak jest poza domem. Chciałam jej opowiadać o klasówkach, kartkówkach, wrednych dziewczynach i obleśnych chłopakach.

Mniej więcej wtedy zaczęłam ją obsesyjnie obserwować na Facebooku. Wcześniej też patrzyłam, co dodaje, teraz jednak zaczęłam sprawdzać jej profil kilka razy dziennie. Wtedy też się zorientowałam, że Iza świetnie spędza czas. Dodawała szalone ilości zdjęć, cały czas z innymi osobami, z drinkami, w klubach (czego domyśliłam się później, analizując je w pamięci po raz setny). Tak wyglądały studia? To wołała od wieczorów ze mną? Jakież dorosłe dziewczyny i dorosłych, obleśnych chłopaków? Było mi samej siebie strasznie żal, że zostałam porzucona dla nich, tych obcych. Stwierdziłam jednak, że skoro cały czas dodaje zdjęcia, na pewno cały czas obserwuje nowe wiadomości. Postanowiłam codziennie do niej pisać, bo ona, choć obiecywała, nie napisała do mnie ani razu.

– *Cześć. Co robisz?* – spytałam w prywatnej wiadomości.

– *A nic, uczę się. Mam strasznie dużo zajęć, dlatego nie pisałam* – odpowiedziała. Wiedziałam, że kłamie (tym razem ona też), a mimo to zrobiło mi się nieco lepiej. Przynajmniej odpisała. – *A Ty?*

– *Nic, nudzę się bez Ciebie* – napisałam, chcąc w niej wywołać poczucie winy.

– *Poczytaj książkę, którą Ci zostawiłam. Przepytam Cię z niej za tydzień!*

– *Masz bransoletkę?* – spytałam. Byłam pewna, że przy nowych dorosłych koleżankach jej nie nosiła.

– *Mam* – odpisała.

– *Udowodnij!*

Kiedy zaczęłam myśleć, że przyłapałam ją na gorącym uczynku nienoszenia bransoletki, dostałam zdjęcie. Wysłała mi fotkę swojej ręki na tle kalendarza zdzieraka z aktualną datą. Na jej nadgarstku lśniły różowe koraliki. Poczulałam ulgę. Postanowiłam, że jej wybaczę. Może faktycznie była zajęta studiowaniem.

Od tamtej pory śledziłam jej Facebooka niemal bez przerwy. Zauważyłam, że pierwszy post pojawia się codziennie około 10:00. Iza idzie wtedy z koleżankami do jakiejś kawiarni i testuje chyba wszystkie kawy po kolei, a ich zdjęcia wrzuca na swoją tablicę. Później bywało różnie, ale nigdy nie dodawała mniej niż 4-5 zdjęć dziennie, czasem

publikowała całe sesje. Zawsze uśmiechnięta, zawsze perfekcyjnie umalowana, zawsze inaczej ubrana. Wyglądała na szczęśliwą. Na każdej fotce jej oczy lśniły, a czarne obwódki zrobione eyelinerem dodawały im głębi. Czasem prosiłam, żeby mi je namalowała, ale choć były identyczne jak u niej, wyglądałam w nich głupio. Jeszcze gorzej było, gdy sama próbowałam sobie umalować oczy. Raz niemal wydlubałam sobie jedno oko i od tej pory nie próbowałam. Iza zawsze powtarzała, że się tego nauczę, ona w końcu maluje się codziennie już od tylu lat, dlatego ma wprawę. Ja wolałam ją bez makijażu, ale pewnie dlatego, że uważałam się (raczej nie całkiem bezpodstawnie) za jedyną osobę, która wie, jak wygląda całkowicie naturalnie. Iza zawsze pilnowała, żeby nawet do sklepu wyjść w make-upie. Mama zawsze mówiła, że z wiekiem przejdzie jej to „pindrzenie się”, ale Iza tylko się uśmiechała z politowaniem.

W końcu wyrobiłam sobie pewną rutynę. Pierwszy raz zaglądałam na jej profil o 9:59, chowając telefon pod ławką, i odświeżałam, dopóki nie dodała zdjęcia kawy. Potem znów około 13:00, na długiej przerwie, kiedy najczęściej pokazywała się z koleżankami w różnych miejscach. Potem dopiero w domu – od razu gnałam do swojego pokoju, zrzucałam plecak i wpisywałam jej imię na Facebooku. Wtedy najczęściej chwaliła się nowym pomysłem na makijaż. Wieczorem pokazywała się w towarzystwie zupełnie innych koleżanek, czasem nawet z chłopakami, co było dla mnie do nie pomyślenia, a najczęściej wśród innych tańczących ludzi lub trzymając wymyślny kieliszek z kolorowym napojem. Czasami wrzucała zdjęcia z wanny, na których było widać ją od barków w górę, czasem pokazywała też nogi. Wstydziałam się patrzeć na te zdjęcia, ale tłumaczyłam sobie, że skoro daje to na Facebooka, to ja też mogę patrzeć. Innym razem pokazywała się zakopana w pościel, ułożona na poduszkach niczym modelka. Codziennie też pisałyśmy, chociażby pytałyśmy „Co tam?”. Najczęściej krótko opisywałyśmy, co robiłyśmy (ja doskonale wiedziałam, co ona robi, bo cały czas śledziłam jej Facebooka, ale mimo wszystko czytałam niemal z wypiekami na twarzy jej relację) i na tym kończyłyśmy. Rzadziej zdarzało się, że pisałyśmy całe noce. Dziwnym trafem zawsze były to te wieczory, gdy pokazywała się w wannie albo w łóżku. To mnie jednak satysfakcjonowało. Czułam się ważna i potrzebna, a Iza najwyraźniej zrozumiała swój błąd. Teraz faktycznie byłyśmy w kontakcie.

Wszystko zmieniło się w piątek 9 listopada. Tak często patrzyłam na telefon tamtego dnia, że dokładnie zapamiętałam datę. Siedziałam akurat na polskim, zobaczyłam na

ściennym zegarze, że dochodzi 10:00 i w swoim mniemaniu dyskretnie wyciągnęłam telefon z kieszeni bluzy. Zezując pod ławkę, odpaliłam Facebooka, wpisałam imię siostry i czekałam na tradycyjne zdjęcie kawy. Odświeżałam raz za razem, ale nic się nie działo. Dla pewności sprawdziłam, co udostępniała. Ostatnie zdjęcie opublikowała poprzedniego wieczora o 21:03. Leżała na boku na łóżku, z kołdrą podciągniętą pod nos. Widać było, że się uśmiecha. Oczy jej błyszczały, nadal wymalowane eyelinerem (zmywała go do spania, bo dbała o cerę i uważała, że spanie w makijażu postarza skórę, jednak zdjęcie to zdjęcie, nawet jeśli udawała, że idzie spać). Od tamtej pory nic. Poczułam ukłucie niepokoju, ale przecież mogła zaspać. Odświeżałam jej profil jeszcze przez 10 minut, zanim nauczycielka mnie przyłapała. Zagroziła, że zabierze mi telefon, więc szybko schowałam go do kieszeni, starając się wyczulić jak najbardziej na wibrowanie, gdy dostanę powiadomienie od Facebooka o nowym poście Izy. Do końca lekcji nic nie dodała.

Na pozostałe zajęcia wymyśliłam inną strategię. Schowałam smartfona w piórniku i udając, że pilnie szukam ołówka albo gumki, desperacko odświeżałam profil Izy. Nic się nie pojawiało, a ja zaczynałam czuć się tak, jakby w moim brzuchu pojawiła się 10-kilowa kula. Wracałam do domu, cały czas gapiąc się w telefon. Potykałam się i niemal wpadłam pod samochód na przejściu, ale niemal nie odrywałam wzroku od profilu Izy. Coś było nie tak. Do tej pory powinna już opublikować jakiś post. Gdy weszłam do domu, byłam już przerażona. Czułam, że wydarzyło się coś złego. Musiałam o tym powiedzieć jedynej osobie, która w mojej ocenie mogła uratować Izę, cokolwiek się jej działo.

– Mamo, coś złego dzieje się z Izą – zaczęłam od samego progu. – Musisz sprawdzić.

– Co się stało? – wyjrzała z kuchni, a na jej twarzy pojawiło się przerażenie.

– Iza nic nie udostępnia od wczoraj w nocy. Nic a nic – oświadczyłam z całą powagą, jaką mogłam w sobie zebrać.

– Jak to nie udostępnia? Gdzie?

– Na Facebooku. Iza codziennie, od kiedy wyjechała, publikuje rano zdjęcie kawy, a potem setki innych. Dziś tego nie zrobiła – mówiłam, głos mi drżał, ale liczyłam, że brzmię jak dorosła. Mina mamy jednak szybko odebrała mi nadzieję.

– No to co? Przecież nie musi cały czas siedzieć w internecie. Nawet nie powinna! – prychnęła.

– Nie rozumiesz! Ona naprawdę codziennie wrzucała niemal te same zdjęcia, a dziś...

– Może jej się znudziło. Zresztą poczekaj, jeszcze jest wcześnie, pewnie wrzuci jeszcze niejedno zdjęcie.

Nie do końca się zgadzałam. Była prawie 18:00, to już połowa dnia Izy.

– Zadzwoń do niej i sprawdź – powiedziałam błagalnie.

– Jak chcesz, to zadzwoń – warknęła i zniknęła w kuchni.

Zadzwoiłam, ale nie odbierała. Ani za pierwszym, ani za drugim, ani za dziesiątym razem. Poinformowałam o tym mamę, niemal płacząc z niepokoju. Kazała mi przestać histeryzować i iść spać, skoro nie mogę normalnie myśleć. Chciałam jej posłuchać, ale nie mogłam się oprzeć i cały czas odświeżałam jej profil na Facebooku, mając nadzieję, że w końcu coś napisze. Wytrzymałam chyba do północy, a w końcu usnęłam z telefonem w ręce i wyświetlonym profilem Izy.

10 listopada nie obudziłam się, a zerwałam niemal na równe nogi. Całą noc męczyły mnie koszmary, a gdy otworzyłam oczy, wszystkie wczorajsze obawy zalały mnie gorącą falą. Telefon wypadł mi na podłogę, chwyciłam go i sprawdziłam powiadomienia. Nic nie było. Odświeżyłam profil siostry, ale ostatnim zdjęciem było to z łóżka. Poczułam, jak przyśpiesza mi serce.

– *Wszystko ok? Jak się obudzisz, to napisz.* – Wysłałam i czekałam nie tylko, aż coś opublikuje, ale też wyświetli wiadomość.

Czekałam. Czekałam. Czekałam. Kiedy około 10:00 znów nie dodała nowego zdjęcia, byłam już całkowicie zrozpaczona. Mama tylko patrzyła na mnie z politowaniem i powtarzała, że jeśli do jutra moja siostra nic nie opublikuje, to wtedy zainteresuje się sprawą. Miałam jednak okrutne wrażenie, że wtedy będzie już za późno, żeby jej pomóc. Nie wiedziałam do końca, czego się obawiam, co się jej mogło stać, ale niepokój nie dawał mi spokoju i kolejne godziny spędziłam na patrzeniu w ekran telefonu, odświeżając raz po raz jej profil. Pamiętam, że tamtego dnia nic nie zjadłam. W gardle czał mi się szloch, w każdej chwili gotowy przeistoczyć się w ryk rozpaczony, a w żołądku czułam gulę lodu. Nigdy wcześniej nie byłam tak zmartwiona jak wtedy, nawet przed klasówką z matematyki z całego półrocza, która wtedy wydawała mi się końcem świata. W tamtej chwili liczyła się tylko Iza i to, że nagle zniknęła z Facebooka, od którego była uzależniona (wtedy nie znałam tego słowa, ale wiedziałam, że bardzo lubi publikować w internecie swoje zdjęcia).

Tego dnia usnęłam tak jak poprzedniego, z telefonem w ręce. W nocy budziłam się kilka razy, nieprzytomna i ledwo myśląca, ale i tak mobilizowałam się, by sprawdzić, czy coś udostępniła na swoim profilu. Nic się nie pojawiło, a ja odpływałam w niebyt, śniąc, że Iza wróciła do domu.

Obudziłam się z uczuciem, że w ogóle nie spałam. Jeszcze zanim dotarło do mnie, jak się nazywam, sprawdziłam telefon. Nic. Zeszłam na śniadanie tak jak zawsze i grzebałam w jajecznicy podanej przez mamę, która chyba uważała, że hormony zaczynają mi mącić w głowie. Wtedy mój telefon zawibrował, a na ten dźwięk serce omal nie wyskoczyło mi z piersi. Ręce drżały mi z niepokoju, tak że nie mogłam poprawnie narysować symbolu odblokowania. W końcu się udało. *Iza Chomińska udostępniła nowy post.* Przez chwilę myślałam, że wzrok płata mi figle, że z tęsknoty oszalałam i mam omamy. Weszłam na jej profil i zamiast odetchnąć z ulgą, poczułam zupełnie inny rodzaj niepokoju, inny niż do tej pory. Wcześniej męczące mnie przecucie jakiejś tragedii zostało zastąpione przez wrażenie, jakbym po dłuższej nieobecności wróciła do swojego pokoju, w którym ktoś przestawił drobiazgi na moim biurku. Coś było ewidentnie nie tak. Iza nie pokazała żadnego zdjęcia, zaktualizowała tylko swój status.

W domu! Ufff... W końcu.

Co to miało być? Gdzie zdjęcie? Jak to w końcu w domu? Gdzie była do tej pory? Czemu jeszcze mi nie odpisała? Sprawdziłam, jeszcze nie wyświetliła wiadomości. Napisałam do niej od razu.

–I za!!!!!!! Gdzie byłaś? Co robiłaś? Czemu nie piszesz?

Nie wyświetlała. Zasypałam ją wiadomościami typu „Halo, odpisz” albo „Pisz, bo Cię zablokuję”, ale nie wyświetlała wiadomości. Wróciłam na jej Facebooka i jeszcze raz przeczytałam post. Miał już chyba z 10 komentarzy.

– *Wszystko ok?* – napisała opalona blondynka, którą znałam ze wspólnych zdjęć z Izą.

– *Świetna wiadomość* – napisała inna dorosła dziewczyna ze zdjęć.

– *Priv* – dodała inna.

– *Martwiliśmy się* – a potem seria złych emotek od jakiejś brunetki, której nie znałam.

Czyli nie tylko ja nie wiedziałam, co się z nią działo. O co chodzi? Czy Iza na dwa dni po prostu zniknęła? Nie sądziłam, by zaszła się w pokoju, żeby się uczyć. Nawet jeśli, to przecież dostęp do internetu miała i mogła być z nami wszystkimi w kontakcie.

– Co tak patrzysz w telefon? – zagadała mama, widząc, jak marszczę czoło w namyśle.

– Iza dodała post.

– No widzisz? Mama mówiła, mama zawsze ma rację. Musisz słuchać mamy. Pewnie się uczyła i nie miała czasu na głupoty.

– Hm, coś jest nie tak... Zobacz – pokazałam jej telefon z wyświetlonym postem. Przeczytała bez cienia emocji na twarzy.

– Co jest nie tak? Nie dodaje posta źle, dodała też źle. Może chcesz iść do psychologa? Chyba źle znosisz rozstanie z nią. – Niemal poczułam, jak oczy wyskakują mi z orbit. Miałam w tamtej chwili bardzo złe zdanie o swojej mamie. Jak mogła być tak ślepa? Przecież chodziło o jej córkę, z którą ewidentnie działo się coś złego. Może się nie znała na internecie, ale ja się trochę znałam, a na pewno lepiej niż ona, więc powinna mnie posłuchać. Później za wszystko ją obwiniałam i nie mogłam na nią patrzeć. Ona sama na siebie też nie.

Było wiadome, że mama mi nie pomoże dowiedzieć się, o co chodzi. Poszłam do swojego pokoju i zadzwoniłam do Izy. Nie odbierała, choć cały czas była dostępna na Facebooku. Nie wyświetliła wiadomości. Komentarzy pod jej postem przybywało, wszystkie podobne do siebie. Prośby o kontakt, wyrazy ulgi i zmartwienia. Jedna dziewczyna ze wspólnych zdjęć napisała, żeby odebrała od niej sweter, w którym była w czwartek, czyli tuż przed tym, jak Iza nagle zniknęła z Facebooka. Na żaden Iza nie odpowiedziała.

Do końca wieczora siostra już nic nie opublikowała. Co jakiś czas wysyłałam jej prośby i groźby, w których błagałam ją o odpowiedź, ale nic nie wyświetliła. Czułam się okropnie skołowana. Z jednej strony w końcu się odezwała, więc może mama miała rację? Z drugiej jednak miałam przeczucie, że wydarzyło się coś złego. Nie wiedziałam, komu mogłabym o tym powiedzieć, żeby znów mnie nie wysłano do psychologa. Postanowiłam czekać.

Następnego dnia Iza dodała post popołudniu. *Niedostępna! Nauka, nauka, nauka 🐱*. Gdyby nie dręczące mnie złe przeczucia, pewnie nawet bym się uśmiechnęła. Czyżby mama założyła sobie konto na Facebooku, wymuszając na Izie bardziej stonowane posty? Sprawdziłam, ale nie, żaden nasz starszy krewny nie miał konta. Myślałam, co mogę napisać, żeby w końcu mi odpisała. Wymyśliłam. *Odezwij się albo idę na policję*. Według mnie to był już jedyny autorytet, który mógł na nią podziałać, skoro nawet zerwanie kontaktu i moja samobójcza śmierć z rozpaczy na nią nie działała.

Wyświetliła!

–*Hej 🐱* – napisała.

–*Co z Tobą?????* – odpisałam.

–*Miałam dużo nauki. Sorki 🐱* – odparła. Jej odpowiedzi wcale mnie nie uspokoiły.

–*Pokaż bransoletkę* – zażądałam. Wyświetliła, ale nie odpisała od razu. Myślałam, że robi zdjęcie.

–*Zgubiłam 😏* – odpisała po chwili. Przez chwilę poczułam falę złości, ale stwierdziłam, że nie będę na nią krzyczeć, skoro już się odezwała.

–*Czemu nie dodajesz żadnych zdjęć?* – zapytałam zamiast tego.

–*A to dziwne? :P* – zapytała. Dziwne raczej było, że pytała. Przecież dodawała zdjęcia nawet z łazienki!

–*No raczej, wszystko ok?* – pytałam.

–*Tak 🐱* – ilość emotek w jej wiadomościach też była nietypowa. Mimo swojego uzależnienia od social mediów nie była typem, który komunikuje się obrazkami. Używała ich bardzo rzadko, a teraz każde zdanie kończyła jakąś buźką. Po tej rozmowie miałam wrażenie, jakbym wypięła surowe jajko – ciarki, zdegustowanie i rozczarowanie. Coś się stało z Izą, ale jeszcze nie wiedziałam co.

Siostra w końcu dodała zdjęcie. Dodała selfie ze zbliżeniem na twarz, ale w pierwszej chwili jej nie poznałam. Jej buzia ukazana z półprofilu była jakby opuchnięta po długim śnie, nie uśmiechała się, do tego była bez makijażu. Jednak nie to było najdziwniejsze. Nie mogłam oderwać wzroku od jej oczu. Nie były uśmiechnięte, nie błyszczały, nic się w nich nie odbijało. Czy to jakiś nowy filtr? Wpatrywałam się w jej nieobecne spojrzenie, w chłodne zielono-szare tęczówki i źrenice, jakby pozbawione głębi. Wydawała się smutna w jakiś odległy, niezrozumiały dla mnie sposób.

Milego dnia! 🐱, napisała w poście. Pierwszy raz widziałam, żeby dodała taką wiadomość. Zazwyczaj opisywała, co robi, gdzie i z kim idzie. To jednak było nic w porównaniu ze zdjęciem. Wyglądała, jakby śniła na jawie. Innym też najwyraźniej się nie spodobała. *Dobrze się czujesz?, Chyba nie to zdjęcie chciałaś dodać, Jesteś chora?* – pisały jej nowe koleżanki. *Sweter nadal czeka* – dodała ta sama, która wcześniej chciała, by Iza przysłała po ciuch. Może faktycznie siostra źle się czuła? Pomyślałam, że zadzwonię do niej na wideo. Oczywiście nie odebrała, ale tym razem byłam sprytna i od razu napisałam *Odbierz albo dzwonię na policję*. Skoro podziałało raz, czemu miałyby nie podziałać drugi? Wybrałam połączenie wideo i czekałam.

Odebrała. Przez chwilę ekran był całkowicie czarny, a mikrofon był wyciszony. Wytężałam wzrok, by cokolwiek zobaczyć. Przez chwilę mignęła mi jej opuchnięta twarz, znów bez uśmiechu. I te smutne oczy. Siedziała oparta o ścianę w jakimś ciemnym pokoju, więc obraz nie był zbyt wyraźny. Potem ekran znów zrobił się czarny, ale widziałam, że telefon się rusza. Później, przez krócej niż sekundę, znów ją zobaczyłam. Wydawało mi się, że tym razem widziałam nie tylko twarz, ale też jej barki. Opuszczone, nie jakby sterowała telefonem, ale tak jakby była tylko nieruchomą modelką, a ktoś inny sterował kamerą. Widok był jednak zbyt krótki, żebym mogła się upewnić, a zaraz potem znów ekran zrobił się czarny, a połączenie zostało zakończone.

–Słaby zasięg 😞 Zadzwoń później– napisała.

Wieczorem pojawiło się kolejne zdjęcie, które w pierwszej chwili uspokoiło mój rozgorączkowany umysł. Iza dodała fotkę z wanny, jak za starych dobrych czasów. Uznałam, że w takim razie faktycznie mama miała rację, a siostra musiała być zajęta. Patrzyłam na nią przez dłuższy czas, zanim coś do mnie dotarło. Zdjęcie pokazywało bok wanny, z której wystawała połowa jej głowy z włosami upiętymi w luźny kok, ręka była opuszczona w kierunku ziemi. Z wanny wystawały też jej zgięte kolana. Wyglądała na totalnie zrelaksowaną, jednak miałam rację. Ktoś z nią był i zrobił to zdjęcie. Do tej pory pokazywała tylko selfie, fotografie zrobione od przodu. Teraz jakaś osoba stała obok wanny i zrobiła jej zdjęcie jej telefonem.

–Ktoś z Tobą jest?– zapytałam. *–Znalazłaś chłopaka?–* dodałam, żeby nie brzmieć zbyt agresywnie.

–Nie, siedzę sama, taki wieczorny relaksik 🐱

–To kto zrobił to zdjęcie?

Wyświetliła, ale nie odpisała.

„Relaksik” przelał czarę goryczy. Wiedziałam, że Iza jako studentka anglistyki (przynajmniej oficjalnie) nie używała zdrobnień, które nawet w uszach 12-latki brzmią paskudnie. Musiałam z kimś porozmawiać, z kimś, kto miał z nią kontakt po wyjeździe

i mógłby mi powiedzieć, czy z nią wszystko dobrze. Lub źle. Do głowy przyszła mi dziewczyna, która widziała się z nią w czwartek. Ta od swetra.

– *Hej, nie znasz mnie, ale ja często Cię widuję na profilu Izy Chomińskiej. Jesteśmy siostrami. Mogę Cię o coś spytać? Proszę, to ważne*– napisałam.

– *Hej, jasne. Co tam?*– odpisała. Miała na imię Paulina, też studiowała anglistykę.

– *Czy nie masz wrażenia, że moja siostra ostatnio dziwnie się zachowuje?*

– *Śmieszne, że pytasz. Szczerze mówiąc, nie miałam z nią kontaktu od kilku dni. Ostatni raz widziałyśmy w czwartek w nocy, od tej pory cisza. To nietypowe dla Izy... Widziałyśmy się w zasadzie codziennie, choćby na uczelni, a teraz jej nie widać. No i ten sweter, to podobno jej ulubiony, a leży u mnie i się kurzy*– odpisała.

– *Próbowałaś z nią rozmawiać? Ze mną nie bardzo chce gadać*– zaryzykowałam.

– *Tak, zagadywałam, kiedy przyjdzie po ten sweter i czemu nie przychodzi na zajęcia. Pisała, że coś ją bierze i woli nie wychodzić, ogólnie nie jest zbyt rozmowna*– stwierdziła Paulina.

– *Co robiłyście w czwartek? Jeśli mogę wiedzieć.*

Wszystko wydawało mi się coraz dziwniejsze. Ta dorosła dziewczyna potwierdziła moje obserwacje, a przecież miała ją w zasadzie obok siebie. Serce waliło mi tak, że omal nie wyskoczyło mi z piersi.

W międzyczasie Iza opublikowała zdjęcie. Wyglądało jak nieudolne selfie zrobione z uniesionej ręki, było nieco rozmazane. Pokazywało głównie jej włosy i lewy półprofil. Znów bez makijażu, znów bez uśmiechu, ze wzrokiem utkwionym gdzieś w dali. Wyglądała, jakby myślami była bardzo daleko stąd.

– *Nic takiego... Rano byłyśmy na śniadaniu, potem poszłyśmy na uczelnię. Rozeszłyśmy się do domów, a około 23 poszłyśmy na domówkę do koleżanki mojej przyjaciółki. Było normalnie, piłyśmy, paliłyśmy, gadałyśmy... ok. 2:00 Iza stwierdziła, że źle się czuje i idzie do domu. Ja tego nie słyszałam, byłam w łazience, jak wyszłam, był tylko jej sweter. Potem nie gadałyśmy*– opisała.

– *Miała bransoletkę?*

– *Taką różową? Tak.*

Wieczorem leżałam i oglądałam jej najnowsze zdjęcia. Zapamiętałam już chyba układ każdego kosmyka jej włosów. Rozmyślałam, co się mogło stać w nocy, że tak nagle wyszła.

Źle się czuła? Czegoś się przestraszyła? Była zmęczona? W kółko patrzyłam na jej dziwnie odległe oczy i nieobecny wyraz twarzy. Im dłużej to trwało, tym większy dyskomfort czułam. W końcu zaryzykowałam zamknięcie w domu wariatów (bo tak odebrałam słowa mamy o psychologu) i poszłam do salonu, gdzie rodzice siedzieli na kanapie z kanapkami, oglądając jakiś film.

– Zobaczcie – podałam im telefon z otworzonym zdjęciem Izy, tym pierwszym po przerwie, gdzie wyraźnie widać jej dziwną buzię.

Patrzyli w milczeniu, a po ich twarzy widziałam, że coś jest nie tak. Oni też to czuli.

– Jest ich więcej? – spytał tata. Z wyrzutami sumienia przesunęłam na fotkę z wanny. Pewnie nie chciałyby, żeby oglądał ją w takich okolicznościach, ale sama się prosiła.

Nic nie mówili. Wyjęłam mamie telefon z rąk i pokazałam im to ostatnie. Spojrzeli po sobie, ale nadal nic nie mówili. Opowiedziałam im też, co mówiła Paulina. Widziałam, jak oczy mamy robią się wielkie i szkliste, tata zaś cały poczerwieniał, jakby za chwilę miał dostać udaru. Sięgnął po swój telefon.

Następną rzeczą, jaką pamiętam, jest płacz. Bardzo wiele płaczu. Mojego, mamy, nawet taty. Płakali wszyscy, sąsiedzi, nauczyciele, znajomi znajomych. Było też sporo policji, która przychodziła do nas, a my do niej. Już nie pamiętam, skąd dowiedziałam się, co się stało z Izą, ale to mało ważne. Po tym, co usłyszałam, miałam ochotę wydlubać sobie oczy i zapomnieć, co ostatnio widziałam na jej Facebooku.

Okazało się, że Iza faktycznie źle się poczuła na imprezie, najpewniej po prostu się upiła i nie chciała wymiotować przy obcych. Wyszła na ulicę, przeszła kilka kroków i zatrzymała się, żeby oddać zawartość żołądka pod ścianą bloku. Podszedł do niej jakiś facet. Przytrzymał ją i coś mówił. Pokiwała głową i poszła z nim w kierunku przeciwnym niż ten, gdzie mieszkała. Tyle było wiadomo z monitoringu. Resztę policja ustaliła już w mieszkaniu tego typu.

Zgwałcił ją, ale w trakcie, aby raz na zawsze uciszyć jej krzyki, dźgnął ją nożem. Raz, drugi. Razem 44 ciosy w brzuch i klatkę piersiową. Podobno wyglądała, jakby założyła bluzkę zrobioną z mięsa mielonego. Później facet chciał jakoś zatuszować swój czyn, ale nie miał pomysłu. Chciał zyskać trochę czasu, by odsunąć od siebie podejrzenia tak, aby nikt nie połączył nagłego zniknięcia Izy z imprezą i nagraniem z monitoringu. Postanowił więc przechować ją w swojej ogromnej zamrażarce w piwnicy, pozostałości po sklepie

spożywczym, który prowadził kilka lat temu. Przy okazji przeglądał jej telefon, aby wiedzieć, jak się kryć. Wcześniej musiał zobaczyć wzór na odblokowanie i go zapamiętać. Miał w planach postować w imieniu siostry, aby stworzyć iluzję, że ta jeszcze żyje, choć już od doby była martwa. Moja wiadomość o policji sprowokowała go do odpisania i wyciągnięcia jej z lodówki, by porobić zdjęcia. Selfie i fotka z wanny były zdjęciami jej rozmrożonych zwłok. Na wideorozmowie też widziałam jej zwłoki. Ta świadomość sprawiła, że mój mózg jakby zapłonął. Znałam każdy milimetr tych fotografii na pamięć, zasypiałam, patrząc na martwe ciało siostry. Rozmawiałam z jej mordercą-gwałcicielem.

Facet chciał pociągnąć teatrzyk jeszcze przez jakiś czas, a potem zamieścić post, w którym poinformowałby o nagłej potrzebie zmiany życia i ucieczce Izy gdzieś daleko. Dodałby, że nie chce, by jej szukać, aby maksymalnie wydłużyć czas, zanim policja zacznie się interesować sprawą. Nie wiedział jeszcze, co zrobi z ciałem.

Minęły lata, a ja nadal pamiętam każdy szczegół jej twarzy, jej zmatowiałe oczy jak u martwej ryby i każde zdanie zakończone uśmiechem, jakie wysłał mi morderca. Czasem patrząc w lustro wydaje mi się, że moje oczy są tak samo pozbawione blasku jak jej.

Dlatego nie mam Facebooka. Ani Instagrama. Nie mam żadnych mediów społecznościowych, bo nie chcę się zastanawiać, czy osoba, z którą pisze i którą widzę na zdjęciach, jest żywa czy martwa.



JARMARK

Jakub Filipkowski

Dwóch chłopców w strojach przypominających koszule nocne stało przy żwirowej drodze, którą przemierzałem. Było już dawno po zmroku. *Cóż, podobno kiedyś dzieci wychowywały się same* pomyślałem, a подростки bez słowa obserwowały każdy mój ruch. Jeden z nich - chudy blondas - uśmiechał się wrednie.

Wstąpiłem do wysokiej izby pokrytej strzechą. Trzaskający ogień buchał pod kamienną kuchnią, oświetlając ciepłym blaskiem proste drewniane ławy rozstawione w kątach. Ściany zdobiły suszone maki. Barman nosił prostą lnianą koszulę, na którą opadał brzęczący wisior z muszli. Wszyscy obecni ubrani na podobną modłę spoglądali na mnie z ciekawością, starając się zachować pozory zainteresowania własnymi sprawami.

Manowce są bardzo hermetyczną wsią założoną przez cenionego w wielu kręgach artystę, głoszącego uwielbienie dla filozofii starych mieszkańców obecnych ziem polskich. Miejsce to pełniło funkcję wspólnoty artystycznej, która w czasach komputerów mieszczących się w zegarku na rękę, postanowiła żyć w zgodzie z naturą i naukami ojców. Nie miałem pojęcia czyich ojców oraz jakie były kryteria przyjęcia do tego wesołego

zakątka, ale mogłem domyślać się, iż prawo do zamieszkania w nim przysługiwało małej liczbie osób. Wszyscy osadnicy musieli się znać, gdyż obecność nowej twarzy wzbudziła niemałe zamieszanie.

Siedzący w samym rogu izby przysadzisty chłop w skórzanej kamizelce i myśliwskim kapeluszu pomachał mi, uśmiechając się jowialnie. To sołtys Marciniak. Podobno doskonały aktor teatralny, który w jesieni życia mógł pozwolić sobie na podejmowanie skrzętnie wybranych ról, nie częściej niż raz do roku. Właśnie z nim byłem umówiony.

– O, pan dziennikarz, zapraszam, zapraszam! – głos sołtysa wybił się z gwaru tak mocno, że pozostali zgromadzeni nie musieli już spoglądać ukradkiem. Wszystkie oczy zwróciły się ku nam.

– Tak, to ja. Pan sołtys jak mniemam. To w tej karczmie znajdę nocleg na dziś?

– Ależ skąd. Chyba żeś pan nigdy nie zaznał wiejskiej gościnności. Po prawdzie niewiele mamy wspólnego z prawdziwym chłopstwem, co, sądząc po minie już pan dostrzegł, i mamy świadomość ograniczeń naszego stylu życia, ale takiego gościa w karczmie nie zostawimy.

Nie śmiałem zaprzeczać przemyśleniom sołtysa na temat moich spostrzeżeń.

– Będzie pan nocował u Kruka.

Już wcześniej dowiedziałem się, że w ten oryginalny sposób nazywano tu założyciela wioski, znanego reżysera i filozofa. Od czasu przeprowadzki do Manowców w pełni poświęcił się tej drugiej dziedzinie, zrzekając się nowoczesnych technologii.

– Wydaje mi się, że zapewni nawet więcej niż tylko strawę i łóżko. Pozna pan także ideę tego miejsca, panie Tatarzkiewicz. Ja zaprowadzę, ale najpierw może po grzdylu?

– Czemu nie? – odpowiedziałem z nieskrywanym entuzjazmem. – Wiele godzin spędzonych w autobusie sprawiło, że mocno zaschło mi już w gardle.

Pomyślałem jeszcze o burczącym brzuchu:

– Dawno też nie jadłem, a głód nie jest dobrym towarzyszem picia.

– Karczmarzu! Bimbru i smalcu!

Kudłaty starzec, który ogrzewał sobie ręce przy ogniu, zaczął nucić. Początkowo urwanymi głoskami, na wpół szepcząc, z czasem ożywiał pieśń coraz pełniejszym tonem, gdy my zagryzaliśmy kielicha pajdą ze smalcem i kiszonym ogórkiem:

Wyleciała dusza z ciała

Na zielonej łączce siadła

Przyszło ku niej anioł z nieba

Cóż ci duszyczko potrzeba

...

Do gospodarstwa Kruka dotarliśmy po kilku godzinach. Podchmieleni mocnym słodkawym bimbrem ciągnęliśmy ze sobą całą wesołą gromadę. Już z oddali dostrzeżliśmy wielki płomień bijący ku bezchmurnemu niebu upstrzonemu gwiazdami.

Szliśmy miedzą oddzielającą jedne nieużytki od drugich, aż naprzeciw nam wyszedł wysoki chudy mężczyzna w czarnym płaszczu. Zaprosił na podwórze. Dostrzegłem ostre rysy twarzy i przenikliwe spojrzenie, obserwujące każdy najmniejszy ruch spod czoła przeciętego podłużnymi bruzdami, które mogły oznaczać podejrzliwość lub skłonność do intensywnych przemyśleń. Zgarbiona postawa i podłużny garbaty nos, w połączeniu z chorobliwie szczupłymi nogami, wskazywały raczej na miano sępa niż kruka. Ostre spojrzenie, bystry umysł albo inne cechy przysłoniły jednak widocznie groteskowość jego fizjonomii i sprawiły, że ludzie nadali mu bardziej czcigodny pseudonim.

Zaprowadził mnie do domu, gdzie mogłem zostawić swoje rzeczy w dużej izbie. Spała tam już inna rodzina, jak się później dowiedziałem małżeństwo grafików z dzieckiem. Zapewne także korzystali z gościny. Rodzice spoczywali wtuleni wśród koców rzuconych bezpośrednio na podłogę, a dziecko w ich nogach. Spod prowizorycznego posłania wзираły tu i ówdzie kawałki nagich ciał.

Siedzieliśmy na trawie i piliśmy młode wino truskawkowe. Towarzyszem był nam księżyc, który rozświetlał mrok myśli, zwykle niedostępnych dla innych. Wilgoć unosząca się w powietrzu zwiastowała mgłę, która nazajutrz miała ukryć wstyd ludzi skacowanych.

– A więc co pana sprowadza do naszej wioski? – spytał w końcu Kruk.

– Myślałem, że to z panem korespondowałem na temat mojej wizyty.

– Tak, ale chciałbym ponownie usłyszeć, jaki jest jej cel. Na żywo – rzekł i zmierzył mnie spojrzeniem.

– Jestem tu, żeby zrelacjonować obchody święta Sobótki i opisać, co zobaczyłem w Manowcach.

– Tylko to, co pan zobaczy?

– Może też, co usłyszę.

– To proszę słuchać. Nie tylko słów. Proszę słuchać uważnie.

Wypity alkohol buzujący w żyłach i sytuacja izolacji od świata z grupą raczej dziwnych ludzi, sprawiały, że mocno wczułem się w słowa Kruka, choć później wydały mi się pretensjonalne. Położyłem się na trawie. Rozmowy współbiesiadników cichły, ustępując miejsca szumowi drzew i słyszalnej ciszy nocy.

– Żyjemy w czasach, które nie pozostawiają nam wyboru – głos gospodarza wybudził

mnie z letargu. – Albo godzimy się na wszystko co nam oferują, albo nas nie ma. Otoczeni milionem bodźców stajemy się od nich uzależnieni. Nie jesteśmy w stanie przebywać sami ze sobą. Przystajemy słyszeć nasz wewnętrzny głos i dochodzimy do momentu, w którym zaczynamy się go bać. Nie chcemy zostawać sami, a kiedy jesteśmy do tego zmuszeni, zakładamy słuchawki, włączamy telewizor, przeglądamy Internet lub dzwoniemy do kolegów. Sam tego doświadczyłem. Uświadomiłem sobie, że zapycham się szumem. Wszystko działo się samoistnie, bez udziału mojej świadomości, bez wewnętrznego głosu. Byłem pasażerem swojego ciała.

Ktoś podał mi butelkę czegoś mocniejszego, która już jakiś czas krążyła wśród gości. Jakaś para udała się na bok, ktoś spał, a niektórzy zaczynali tańczyć. Ja wypilem już tylko malutkiego łyżeczka, bo twarze wokół mnie zaczynały się rozmywać i poruszać wahadłowo.

– W takim świecie unika się wielkich zdań, bo nic nie ma znaczenia. Jesteśmy atakowani taką nawałnicą słów, że tracą one jakąkolwiek wartość. Jednego dnia wyznajemy miłość, by drugiego już o tym nie pamiętać. Pomyśl tylko, musimy wyznaczać sobie czas na swobodne myślenie. Jak mamy być lepsi od tych, dla których był to stan niemal naturalny?

Kruk wypił kilka dużych łyków alkoholu. Nie było widać, by wpływał na niego tak jak na mnie. Raczej tylko pobudzał go do teatralnego monologu.

– W końcu poszedłem do lasu i znów poczułem siłę drzemającą w moim ciele. Chodziłem tam regularnie. Siedziałem w gęstym świerkowym borze i po kilku takich wypadach usłyszałem na nowo swój głos. Słyszałem też samochody i czułem smród fabryk. Z każdym dniem odchodziłem coraz dalej. Pewnego dnia zapuściłem się już naprawdę daleko. Przyszła burza. Widziałem jak konary drzew kołyszą się groźnie nade mną, a błyskawice przeszycują pochmurne niebo. Pomyślałem, że to nasi ojcowie nazywali Perunem.

Poczułem energię, która przepływa od korzeni drzew aż po nieboskłon. Prosiłem nowego Boga, by pozwolił mi przeżyć tę noc. Rano postanowiłem, że tam zamieszkam. Zacząłem czytać, czuć i myśleć. W końcu zrozumiałem filozofię Słowian. Z czasem dołączyli do mnie inni.

Na granicy światła i cienia siedział z lutnią starzec, którego miałem okazję spotkać już wcześniej. Pociągnął sztywną dłonią za struny, wydobywając z instrumentu rzewny molowy akord i zaintonował. Inni dołączali się po kolejnych wersach. Ja także, choć wydawało mi się, że nie znam tekstu:

Choć duszyczko tu do stoła

Będziesz z nami wieczerzała

...

Obudziłem się zawinięty w śpiwór wraz ze wschodem słońca rozgrzewającym promieniami światła zmarznięte nocną wilgocią ciało. Wokół mnie leżało jeszcze kilka osób, które wybrały nocleg na zewnątrz. Byłem w stanie, w którym alkohol oddziaływał już zbyt słabo, by wprowadzać w biesiadny nastrój, ale nie został jeszcze przetrawiony na tyle, by męczyć kacem. Rozmyślałem nad tym, co opowiadał mi gospodarz. Miałem mu trochę do powiedzenia i chciałem zrobić to przy śniadaniu. Było mi głupio, że od razu po przybyciu na miejsce tak się wstawiłem. To w końcu moja praca. Miałem też świadomość, że nie wszystko pamiętam.

Z gospodarstwa wyszło trzech nastoletnich chłopców z krótko ściętymi włosami w lnianych białych koszulach wykończonych czerwoną krajką. Każdy z nich niósł ogromny kosz pełen kielbas, ziemniaków, chleba i owoców. Krzyknąłem do nich:

– Halo! Co robicie?

Spojrzeni po sobie z lekkim zdziwieniem.

– Idziemy złożyć dary ludziom lasu – odpowiedzieli, jakby to było coś zupełnie naturalnego.

Nie podejmowałem dyskusji, bo nie chciałem nadużywać zdartej od zimna i śpiewów krtani. Zamknąłem oczy na kilkanaście minut, pozwalając, by choć przez chwilę ogrzewało mnie poranne słońce. Następnie udałem się po artykuły higieniczne do pomieszczenia, w którym dzień wcześniej zostawiłem rzeczy. Moi współlokatorzy musieli już się obudzić i znaleźć jakieś zajęcie, bo nie zostawili po sobie żadnego śladu. Postanowiłem, że dam się ponieść atmosferze apoteozy życia prymitywnego i oddaliłem się nad strumień, by odbyć poranną toaletę w zimnej wodzie.

Lodowaty błysk przeszywający moje ciało otrzeźwił mnie do tego stopnia, że byłem gotowy odbyć światopoglądową rozmowę z Krukiem. Spojrzałem w stronę lasu i przysiągłbym, że ktoś czmychnął przed moi wzrokiem. Wolnym krokiem udałem się do gospodarstwa. Zwróciłem uwagę, że dary pozostawione przez chłopców na skraju lasu zniknęły. Wydało mi się to osobliwe. Tak jak wielkość koszów i bogactwo ich zawartości. Nie jest zbyt rozsądnym pozbywać się takiej ilości jedzenia w symbolicznych rytualnych celach, a chłopci, nawet jeżeli tylko się bawią w gospodarstwo, raczej nie powinni sobie pozwalać na takie marnotrawstwo.

W jadalni u Kruka przy jednym z końców długiego stołu siedział gospodarz. Byli także wczorajsi biesiadnicy. Na ich twarzach malowało się głębokie cierpienie. Błat prawie

uginał się od wędlin i dużych pachnących świeżością bochnów chleba. Usiadłem blisko gospodarza i przywitałem się delikatnym skinieniem głowy.

– Kawy? – spytał.

– Bardzo chętnie.

Mężczyzna wstał i podszedł do kaflowej kuchni, na której spoczywał duży mosiężny czajnik z gorącą wodą. Nasypał zmielonych ziaren ze słoika z zielonego szkła do porcelanowego kubka. Ziemisty zapach czarnego napoju rozniósł się po pomieszczeniu. Postawił naczynie przede mną i przysunął cukier oraz mleko.

– Bardzo proszę. Kenijska.

– Dzięki – odpowiedziałem i wziąłem duży łyk.

– Miałem czas, żeby trochę pomyśleć nad tym, co wczoraj mi Pan opowiadał. Jestem dziś w lepszej dyspozycji, chciałbym kontynuować tę rozmowę.

– Darujmy sobie tego „pana”. Wiesz, jak na mnie mówią.

– Racja.

– Możemy podjąć wczorajszy temat. Przyznam jednak, że nie traktowałem tego jako rozmowy. Moim celem było przedstawienie naszej filozofii w sposób, który wywoła określone wrażenie. Nie będę ukrywał, że chciałem wpłynąć na ciebie, by w efekcie odcisnąć piętno na twoim tekście.

– A ja nie będę ukrywał, że bardzo dobrze udało ci się osiągnąć to wrażenie. Będę się jednak bronił swoim stanem, który w czasie naszej dyskusji nie był już najlepszy.

Kruk uśmiechnął się kącikiem ust. Niemal niedostrzegalnie zmrużył też oczy. Był niezwykle oszczędny w mimice i gestach. Siedział z obiema rękami opartymi na stole, czasami tylko odwracając prawą dłoń w powietrzu, czym podkreślał istotniejsze zdania.

– Uważam, że stan, który ci się przytrafił, wpływa tylko na formę wypowiedzi, nie na samą treść. Wierzę, że człowiek jest wewnętrznie spójny i wszystko, co robi definiuje go w równym stopniu.

– Taki pogląd musi utrudniać życie.

Mój rozmówca rozjaśnił lekko oblicze i zacisnął usta, jakby czekał na kolejne słowa. To już była jego odpowiedź. Przyjąłem ją jako lekką zniewagę, jakby moje stanowisko nie było warte wysiłku zwerbalizowania zdania.

– Jest na Morawach taki zwyczaj – podjąłem znów temat. – Wybiera się chłopca z wioski, który na kilka dni zostaje królem. Przydziela mu się służbę, która zbiera dla niego datki. W tym czasie w całej okolicy trwa dobra zabawa. Są ludowe śpiewy i tańce, a gospodynie przygotowują mnóstwo jedzenia. Ochlej i wyżerka.

Drugiego dnia przebiera się chłopaka za kobietę i wkłada w zęby różę, by twarz i postura nie zdradziły jego samczej tożsamości. Powinien przy tym zachować właściwą swej koronowanej pozycji powagę i nie uśmiechać się. Za nim jedzie konno dwóch chłopaków – przybocznych, również w damskich strojach. Zatrzymują się pod każdym z gospodarstw i przedstawiają krótkie, rymowane piosenki opisujące w żartobliwy sposób przywary jego mieszkańców. Zbierają jedzenie i alkohol. W końcu orszak dojeżdża do domu „króla”, gdzie odbywa się wielka impreza.

– Bardzo ładny zwyczaj, myślę, że moglibyśmy wprowadzić takie urozmaicenie do naszych obchodów. Ale co to ma wspólnego z naszą wczorajszą rozmową?

Triumfowałem. Udało mi się jednocześnie wzbudzić ciekawość i nie odsłaniać od razu wszystkich kart. Widziałem, jak schodzą się goście i z każdym słowem coraz bardziej przysłuchują się naszej rozmowie, wesoło komentując.

– Jazda Królów była przedmiotem wielu wytworów sztuki. Widziałem malarskie i literackie opisy. Zwraca się jednak uwagę na to, że niezrozumiała jest geneza i sens jej przebiegu. Wskazuje się na pewne potencjalne przyczyny historyczne, ale poszczególne elementy tradycji nie mają oczywistego wyjaśnienia. Nie ma za tym żadnej filozofii. Ludzie robią to, choć nie wiedzą po co. Rytuał działa jak uniwersalny symbol wywołujący określone wrażenia i prawdopodobnie spełniając swoje funkcje, ale w sposób niedostrzegalny i niezrozumiały dla nas. Tak działa sztuka ludowa. Trochę jak poetyka snu, a trochę jak psychoanaliza.

– Myślę, że ludzie byliby w stanie to zrozumieć, gdyby żyli w naturalnym środowisku i na sposób naszych przodków.

– Może i tak, ale rzecz w tym, że ty nie pozwalasz tym znaczeniom żyć własnym życiem. Tworzysz własne interpretacje odbierając innym szansę na subiektywne doświadczenie – rzekłem tonem, może nieco oskarżycielskim.

Sala ucichła.

– Potrzebujemy pewnych punktów odniesienia. Drogowskazów, które pozwolą nam trzymać się ram w poplątanych ścieżkach świata. Błędem twojej współczesnej cywilizacji jest odbieranie mądrości niemym i niepiśmiennym mędrcom. Oni też tworzyli filozofię i na niej chcemy się opierać. Ona daje mi podstawy do tworzenia interpretacji, a jej szczątkowość pozwala na czerpanie z innych kultur. Ważne by pozostawić pierwotne znaczenie.

– Pewnie kojarzysz, że był taki znany filozof. Mieszkał w beczce i stwierdziłby, że przypisujesz osiągnięcie Greków barbarzyńcom, których on nie nazwałby nawet ludźmi.

- Chodząc z latarnią w świetle dnia, nie znalazłby w tobie prawdziwego człowieka.
- Wśród was także.
- Zdziwiłbyś się, jak prawdziwe potrafią się stawać tu słowa. Bardziej niż bym chciał.

W tym momencie do jadalni weszła kobieta z mężczyzną. Miała opuchnięte od płaczu oczy i nadal delikatnie szlochała, ale apogeum rozpaczy musiało nastąpić dużo wcześniej. Jej towarzysz wszedł wyprostowany i z poważną miną, choć ewidentnie skrywał silne emocje. Chciałem kontynuować rozmowę, ale Kruk powstrzymał mnie podnosząc delikatnie dłoń w moją stronę.

– Przepraszam państwa na chwilę – powiedział, po czym wstał, by udać się z parą w róg i odbyć z mężczyzną poufną rozmowę.

Przypomniałem sobie obraz nowych gości śniadania z poprzedniej nocy, podczas której mieli być moimi współlokatorami. Coś mnie tknęło i bez zastanowienia powiedziałem:

– Gdzie jest wasze dziecko?

Kobieta spojrzała na mnie i twarz jej skamieniała. Szeroko otwarte oczy wpatrywały się we mnie bez emocji. Zgromadzeni patrzyli bezwiednie na scenę. Mężczyzna odpowiedział po chwili z rzeczywistym spokojem lub doskonałą jego imitacją.

– Nie było żadnego dziecka.

– Zabierzcie Pana Tatarzewicza do gospody. Niech pomaga w przygotowaniach – dodał Kruk i zmierzył mnie spojrzeniem mieszającym w swej wymowie dezaprobatę, ale też lekki podziw i zainteresowanie.

Na jego słowa współbiednicy zareagowali jednocześnie. Zostałem otoczony szczelnym kordonem, który stopniowo się zaciskał. Wreszcie dwóch mężczyzn chwyciło mnie za dłonie. Nie sprzeciwiałem się, bo byli zbyt silni, żebym miał jakiegokolwiek szansę, a sytuacja była tak absurdalna, że nawet nie poczułem obiektywnej grozy tego, co się właśnie wydarzyło.

Mniej więcej w połowie drogi z otaczającej mnie grupki wyłonił się Marciniak i nie zważając na moją niezbyt komfortową sytuację, zagadywał:

– Panie dziennikarzu, dzisiaj to będą takie atrakcje, że w tej gazecie to nie uwierzą. Musisz Pan zrozumieć, że z lasem trzeba dobrze żyć. Baby to zawsze przesadzają i się potem robi taki dramat.

W karczmie roilo się od rozwrzeszczanych dzieci. Część z nich biegała wkoło jak opętana, część kłęczała i bawiła się wystruganymi z drewna figurkami. Jedna grupa

siedziała, otaczając starszego mężczyznę z bujnym wąsem zasłaniającym usta i długimi siwymi włosami przypominającymi strukturą wiecheć siana. Starzec opowiadał:

– No i są te dziewczuszki, co się kąpią nago, albo ino w taki sukience, że mokra oblepia tak, że wszystko znać. Wyście są małe i wiem, że nic nie ten... ale z ciekawości możecie pójść... one na was ino spojrzą i nie zawstydzą się! Zachichoce takie i pójdzie w las. A wy za nią... i gdzie was zaprowadzi?

– W jagody – krzyknęły dzieci.

– Ano. I będzie tam już czekała Baba Jagodowa. Stara, z kurczakami, z cynamonem do kolan zwisającymi... a na głowie jakieś zielone i z takiego zielonego też odzienie. No i ona ten... i nie z ładną dziewczynką będziecie się dośpierać, a z taką kobitą... i potem słowem się nie odzwiecie z tego larum. Błąkać tylko się będziecie...

Marciniak dostrzegł, że uważnie słuchałem historii gawędziarza. Przyniósł mi z kuchni metalową miskę z ziemniakami okraszonymi skwarkami, poklepał po plecach wielką jak bochen chleba dłonią i mówił, gdy ja jadłem:

– Kruk mówi, żeby nie wierzyć w magię. Że to tylko funkcja symboliczna, która oddziałuje na podświadomość. Dla niego te wszystkie baby leśne to są pedofilki, krasnoludki to zgromadzenia karłów, których wyganiaли wieśniacy, utopce to bandyci, co się przebierali, żeby ludzie uciekali przed nimi i w popłochu rzeczy zostawiali.

Widziałem, jak wychodzi stopniowo ze swojej roli w potrzebie wyjaśnienia wszystkiego, co zobaczyłem.

– Mówi, że chociaż to nie magia, to działa podobnie, bo nawet jeżeli o tym nie myślimy to wszystko kształtuje osobowość. Jak prądy podwodne prowadzą łódź. Ja wiem, że to dziwnie brzmi, ale pomyśl pan, jakby mówił, że to czary, to nikt by za nim nie przyszedł.

– Osobliwe – powiedziałem tylko refleksyjnie.

– Ale nie myśl pan, że to jest zabawa. Tu się żyje naprawdę.

Nie podobało mi się to wszystko coraz bardziej. Całe ich wierzenia jawiły mi się jako typowy miszmasz sekciarskiego guru New Age. Uniwersalne symbole, wymyślanie znaczeń, rytuałów, uwspółcześnianie, seksualizacja i racjonalizowanie. Myślę, że Słowianie nie musieli wiedzieć, co symbolizuje woda, żeby puszczać po niej wianki. No i dziecięca krzywda była tu podejrzanie popularnym tematem. Po tym dziwnym zleceniu chyba należałoby wysłać anonim do odpowiednich służb, ja się nie będę mieszał.

Nie pozostało nic innego, jak pójść do gospodarstwa po swoje rzeczy i przygotować się do pracy – rozstawić statywy, zorientować się w rozkładzie imprezy i przemyśleć

wywiady. Sprzęt zostawiłem u Kruka. Udałem się do jego gospodarstwa, ale nie zastałem nikogo oprócz sprzątajacej kobiety, która jednak dała mi to, czego potrzebowałem, gdyż gospodarz uprzedził ją, że mogę się pojawić. Porozmawiałem z Marciniakiem, jak będzie wyglądał wieczór, ale mężczyzna był wyjątkowo małomówny, za to bardzo podekscytowany. Postanowiłem go nie męczyć, widocznie bardzo chciał, żeby była to niespodzianka. Więcej do powiedzenia miał karczmarz:

– Najpierw będzie trochę jarmark, ale wieczorem zrobi się ładnie. Dużo ognia i wody, dobrzy muzycy, tańczący młodzi i Kruk, który raz do roku przestaje pieprzyć.

Nie pozostało mi nic innego, jak spocząć na polanie i cieszyć się rozgrzewającymi promieniami czerwcowego słońca, fotografując chichocące dziewczyny. Zbierały drażniący nos cząber, który potem posłuży im za materiał do wróżb. W oddali widziałem, jak na podwórzu Kruka zaczyna się zabawa. Ktoś śpiewał, ktoś jeździł konno, były kucyki i zaczynały się pierwsze nieśmiałe tańce. Kobiety upychały kwiaty i kolorowe wstążki w każde możliwe miejsce, a same były ubrane w białe jak płatki krwawnika suknie z niebiesko-czerwonymi haftami przepasane krajką.

Gdy słońce zaczęło się chylić ku skrajowi nieba, mężczyźni rozpalali ognisko, kładąc najpierw sosnowe drewno, które szybko zajmowało się ogniem odpalone od wysuszonych traw i skórek brzoźowych. Na to kładziono dające płomieniowi dużo pożywki buk i dąb. Dziewczyny w tym czasie zaplatały z bylicy wianki dla siebie i dla bydła. Ustawiłem parametry aparatów rozstawionych w trzech miejscach dookoła polany sąsiadującej z małym leśnym jeziorem. By tam trafić, trzeba było przejść dosłownie kilkaset metrów od wioski.

Starsi mieszkańcy Manowców poszli odprowadzić dzieci do gospodarstwa Kruka, w którym miały się nimi zajmować najstarsze kobiety. Gdy ogień zapłonął na tle gorejącego popołudnia, zaczęli pojawiać się też muzycy. I choć udzieliła mi się atmosfera tego dnia i czułem już dziewicze piękno starego obyczaju, to gracz djembe w dredach i chłopak z klasyczną gitarą grający w zespole ze skrzypcami i drumlą, wprawiły mnie w duży zawód. Idea takiego składu była możliwa do uzasadnienia – grali wszyscy mieszkańcy, którzy potrafili, na tym co posiadali, ale dalekie to było od spontanicznej muzyki.

Zespół najpierw umawiał się na cztery akordy stanowiące pierwszą część improwizacji, a potem zmieniał dwa początkowe. Zaczynał gitarzysta, grając chwytami i wybijając rytm (czasem w stylu flamenco), do niego dołączał drumlista, akcentując silne części taktu, oraz skrzypek powoli rozpoczynający melodyjną opowieść. Bębniarz przez

cały ten czas był dla nich głównie metronomem, a kiedy wszyscy już wybrzmiewali, urozmaicał wybijany rytm.

Nie można powiedzieć, żeby grali źle. Mój problem polegał na tym, że niewiele tam było z prawdziwej muzyki ludu. Podobnie było tu ze wszystkim: ładnie, trochę tajemniczo, ale jakoś sztucznie i nie na miejscu. Na szczęście dołączyło do zespołu kilka dziewczyn wyśpiewujących znane sobie teksty:

Oj letiło pomalo czerez nasze selo

Kupała na Iwana!

Intonowały, dostosowując się do muzyki granej przez zespół. Były czerwone na licach, roześmiane i wesołe. Prawdopodobnie wypiły już kilka młodych win gdzieś w krzakach i patrzyły, niby nieśmiało, niby zalotnie, to na kapelę, to na mnie. Wokół ogniska zgromadził się tłum oglądających oraz kilku podrostków żonglujących ziemniakami. Stawali sobie na plecach i co rusz robili salta.

Słońce zakończyło swoją zmianę i udało się na spoczynek. Płomień, w który młodzież narzuciła ziół, buchał do góry, przecinając mroczny widnokrąg jak miecz chrześcijaństwa haratał prawdziwe pogańskie obyczaje. Teraz młode pary miały skakać przez ognisko, dzierżąc drewnianą figurkę Jana Chrzciciela.

Wbrew pozorom nie było to szczególnie efektowne – dwie osoby trzymały świętego na wyciągniętych rękach, przez co odległość między nimi pozwalała na wykonanie skoku przez skrajne części stosu, gdzie ogień był niewielki, lub nie było go w ogóle.

Interesujący był tylko pierwszy raz, a potem pozostawało spoglądanie, czy któryś z kochanków nie wypuści małej figurki w ogień, co miało oznaczać pecha w związku, a w rzeczywistości być może zakaz ożenku.

Dym roznosił nieprzyjemny, duszący zapach. Zrobiłem jeszcze parę zdjęć i zwinąłem sprzęt, zostawiając sobie tylko mały aparat do fotografii „z ręki”. Do instrumentów dołączyła basetla, dodając brzmieniu niskiego pomruku, które poruszało trzewia i nastrojało coraz więcej osób do spontanicznych tańców. W międzyczasie pojawili się starsi mieszkańcy z koszami pełnymi gorzały, wędzonej słoniny i kwaszonych ogórków. Podszedł do mnie Marciniak:

– To co, panie Tatarkiewicz, fajrant? – spytał tubalnym głosem.

– Nie, spróbuję jeszcze zrobić parę zdjęć.

– Eee tam, już pan skończył, dawaj pan na kieliszeczek – powiedział i połał nam po dwie trzecie literatki.

Wzdrygnąłem się nieco na widok alkoholu, wciąż otępiały po zeszłej nocy.

– Może później, teraz proszę pozwolić mi pracować.

Marciniak był zakłopotany. Widząc to, Kruk podniósł się z ziemi, gdzie siedział z kilkoma kobietami i podszedł do nas wystawiając swój kieliszek.

– Nalej – powiedział do sołtysa. – Jest pan kawalerem? – zwrócił się do mnie.

– Można tak powiedzieć.

– No to skończył pan już pracę.

– Ale obrzędy się jeszcze nie kończą, prawda?

– Prawda, ale chciałbym, żeby pan już skończył. Musi się pan napić i pójść nad brzeg jeziora od strony lasu.

– Ale dlaczego?

– Reportaż, to nie tylko robienie zdjęć, ale też doświadczanie i pisanie prawdy.

Przekonali mnie. Fotografowanie w takich warunkach było trudem, który nie musiał przynieść żadnych sensownych efektów. Natomiast bezpośrednie uczestnictwo pozwoli mi dowiedzieć się więcej, niż ze szczątkowych informacji uzyskanych od sołtysa czy filozoficznej gadki Kruka. Wywiady mogłem odłożyć na następny dzień.

Wypiliśmy dwie kolejki mocnego jak cholera bimbru, po czym oddaliłem się na chwilę, by odpisać koledze na smsa i zapalić papierosa, który był moim wieczornym zwyczajem, a przy okazji zabił nieco palący posmak gorzały. Chłopcy popisywali się przed dziewczynami. Pokrzykując i popychając innych, gromadzili się w jednym miejscu.

Alkohol zaczął przyjemnie rozgrzewać, a muzyka wprowadzała w łagodny trans, dając przyzwolenie na dozę szaleństwa i dołączenie do zabawy. Zdjąłem koszulkę, by nie wyróżniać się od na wpół rozebranych biesiadników. Jeden z nas pobiegł i przeskoczył przez sam środek ogniska. *Cholera, w co ja się wpakowałem* pomyślałem mając przed oczami obraz nagiej klatki piersiowej przecinającej płomienie. Wszyscy zaczęli bić mu brawo za odwagę.

Kolejni powtarzali ten wyczyn, a po lądowaniu wyrzucali dłonie na bok, by zyskać jeszcze większy aplauz. Niektórzy robili nawet coś w rodzaju szpagatu w locie. Stan liczebny po mojej stronie zaczął się obniżać. Zostali głównie szczupli, zmarznięci i przestraszeni chłopcy. Ja byłem dużo wyższy i mocniej zbudowanych nawet od osobników, którzy mnie uprzedzili w podjęciu wyzwania.

Pobudzony emocjami, alkoholem, muzyką i oklaskami ruszyłem na buchający ogień. Szybki lot nie pozwolił nawet odczuć wysokiej temperatury. Kiedy znalazłem się już po drugiej stronie, ceremonialnie zwolniłem kroku, podniosłem wysoko brodę i przesadnie

udałem, że nie zrobiło to na mnie wrażenia.

Mój przemarsz spotkał się z dużym poklaskiem wśród widowni. Nawet Kruk z uznaniem podniósł kufel i kiwnął do mnie głową, co z jakiegoś powodu sprawiło, że poczułem satysfakcję. Kiedy znalazłem się wśród pozostałych, najpierw karczmarz zdzielił mnie w plecy, a potem reszta zaczęła przybijać piątki i zderzać się ze mną nagimi torsami. Każdego kolejnego śmiałka kwitowaliśmy śmiechem, kiedy nie mógł się zdecydować na start, by ostatecznie gratulować mu i okładać go z radości, gdy był już z nami

Muzyka miarowo przyspieszała swój puls. Z lasu wyłaniali się kolejni goście i stawali rzędem przy palenisku. Pobiegłem za resztą mojej ferajny, bo zagapiłem się i nie zauważyłem, że gdzieś ruszyli. Ostatnich z nich ledwo dostrzegałem w ciemności, gdy biegli w stronę kniei.

Kiedy dotarłem nad jezioro, większość chłopaków brodziła już w wodzie, szukając płynących po jej spokojnej nocnej powierzchni wianków z zapaloną świecą. Część z nich triumfalnie wybiegała, rozbryzgując zimne krople na swoje wybranki. Spóźniłem się i znów zostałem z chudzielcami. Wystawali jak tyczki tataraku ze spokojnej tafli odbijającej zimną biel księżyca i płomienie wielkiego ognia.

Moi towarzysze wyszli zrezygnowani, a ja zostałem jeszcze chwilę, żeby poobserwować estetycznie wyjątkowe połączenie okoliczności natury i ludzkiego święta. Z zadumy wyrwał mnie dostrzeżony kątem oka wianek upleciony z maków, niosący blade światło świecy po lustrze wody. Powoli płynął w moją stronę. Podniosłem go i wznosząc wzrok dostrzegłem dziewczynę stojącą nieruchomo pośród zgiełku zabawy. Jej włosy, ognistoczerwone jak kwiaty, które mi podarowała, opadały na biodra, oddzielające wyraźnie długie nogi od wąskiej talii, jakby stanowiły jej naturalny ubiór. Spoglądała na mnie niewzruszona. Czekwała.

Gdy już wróciłem tą samą drogą, którą trafiłem do zbiornika wody i zbliżyłem się do mojej partnerki poszukiwań kwiatu paproci, ta jakby nie zwróciła na mnie uwagi i ruszyła ku świerkowej gęstwinie. Kroczyłem za nią pokornie, oglądając jak przez białą lekką tkaninę odbijają się pośladki. Dziewczyna maszerowała, jakby dobrze znała cel i świetnie czuła się w gęstwinie.

Wydawało mi się, że wokół biegają małe jasne postaci emitujące bladą poświatę, a może to księżyc odbijał się od wilgotnych liści? Po drodze mineliśmy osobliwą chatkę zapadniętą niemal do połowy w mech i usłyszeliśmy kilka par chichoczących pośród krzaków. Ostatecznie trafiliśmy pod rozłożysty dąb, który widocznie zabierał światło sąsiednim roślinom, bo utworzył się pod nim krąg o średnicy kilku metrów.

Nie wiadomo skąd wybiegły dwie inne dziewczyny o sztubackich twarzach. Piegowata brunetka i niebieskooka blondynka. Moja wybranka stanęła wreszcie przede mną i ukazała swoją zielonooką urodę. Spoglądała na mnie wzrokiem swawolnym, ale odznaczającym się też jakby dużą świadomością spraw ważkich. Wskazała dłonią bym spoczął, opierając się o pień. Jasnowłosa podała zaś gliniany bukłak, w którym, jak stwierdziłem po degustacji, znajdowała się żytnia wódka.

Piliśmy przez chwilę, krzywiąc się pod ciężarem alkoholu, by wybuchnąć potem śmiechem. Dziewczyny wciąż przytulały się i chichotały. Rudowłosa zdjęła suknię, a w ślad za nią poszły jej przyjaciółki. Ich jasne ciała lśniły baśniowo. Zaczęły więc się delikatnie, wciąż popijając ze mną alkohol. Poczujęm się wstawiony. W końcu zaczęły poruszać się spazmatycznie i ocierać o siebie wznosząc oczy ku niebu.

Zaprosiły mnie do swojego grona, a ja nie byłem w stanie odmówić trzem najpiękniejszym istotom, jakie widziałem w życiu. Zaczęliśmy tańczyć wkoło trzymając się za dłonie. Było cudownie, wstawienie, które coraz bardziej odczuwałem wystarczało, by nie odczuwać żenady, ale pozwalało wciąż czerpać poetyczną satysfakcję spośród obrazów rodem z Fantastycznej Symfonii

Za dębem wybuchł wielki ogień, swoim światłem odkrywając zacienione twarze otaczających nas postaci. Nie mogłem spostrzec, jak wiele ich było i jak wyglądali, ale wcale mi się to nie podobało. *Coś jest nie tak* myśl przecięła mój umysł jak błyskawica. Nie wiedziałem, czy stali tam przez cały czas, czy przyszli dopiero do płomienia. *Co przyszli obejrzyć?*

Chciałem uciec, ale dziewczyny, wciąż śmiejąc się, trzymały mnie zbyt mocno. Wiły się i wiły. Próbowałem się zatrzymać, lecz płały mi się nogi. Stałem się bierną kukłą ciągniętą bezwiednie dookoła. Traciłem siły i świadomość.

Stop! krzychałem, lecz tylko w myślach, bo usta nie mogły rozewrzeć się w pędzie. W końcu kręciliśmy się tak szybko, że przysięgłbym, że jesteśmy już na poziomie korony dębu. Wciąż wyżej i szybciej. Stopy płonące w coraz większym bólu. Coraz głośniejszy chichot, coraz mroczniejsza swawola w oczach wijących się kobiet. Ludzie wokół tańczyli, a ogień buchał wysoko, niemal sięgając księżycy w pełni, który spoglądał na wszystko, milczący.



ODDECH MIŁOŚCI

Rafał Łoboda

Gabriel siedział przy zacienionym stoliku w kącie wiejskiej oberży. Od południa sączył cierpkie, rozwodnione piwo z beczki, w której szczury musiały urządzać sobie wychodek wraz z cmentarzem. Pił dzień w dzień przez ostatni tydzień, pił przez poprzedni, czasem był pewien, że pił również wcześniej, lecz jego pamięć łaskawie oszczędziła mu wstydu i nie sięgała tak daleko.

Dziś, wyjątkowo, po drugiej stronie stołu siedział Jakob. Miał przekrwione, podkrążone oczy, jakby źle sypiał lub za dużo płakał. Ale czyż nie miał powodu? Zresztą Gabriel zdawał sobie sprawę, że wygląda znacznie gorzej – nosił kilkudniowy zarost,

a cuchnące ubranie kleiło się do ciała tłustymi plamami. Był jednak zbyt pijany, by się przejmować. Chciał tylko zapomnieć roześmianą twarz Finnji.

– Co by o tobie powiedziała? – zapytał Jakob, po czym chwycił dzbanek i wylał resztę piwa na obsypaną trocinami podłogę.

– Że wyglądam jak krowie łajno.

– Otóż to. Jesteś pijany, a potrzebuję cię trzeźwego.

– Po co?

Z drugiego końca sali dobiegł gromki śmiech. Popłynęły skoczne dźwięki harmonijki.

– Przekłęci głupcy – szepnął Jakob. – Drą mordy jak gdyby nigdy nic. A Finnja leży, zapomniana i zhańbiona.

– Ona nie żyje – warknął Gabriel. Oparł łokcie o stół i ukrył twarz w dłoniach. – Nie żyje – załkał, pociągając nosem.

– Wiem, gdzie ją pochowali.

– Co? – Gabriel uniósł głowę. Chwycił Jakoba za rękę. – Jak? Skąd...?

– Myślałeś, że będę tylko chlał jak ty? Byłem jej bratem, do licha! – urwał nagle, rozejrzał się, lecz pozostali bywalcy siedzieli daleko, wsłuchani w ostre dźwięki piszczałki. – Wiem i już. Nie przyszedłem tu patrzeć, jak się staczasz. Potrzebuję pomocy. Wiesz, co robią z oskarżonymi o czary? Wiesz?

– Przestań...

– Obcięli jej głowę, aby nie ożyła dzięki czarnej mocy, wbili kołek w usta, aby nie rzucała więcej czarów. Chcesz ją tak zostawić? Nie ma nawet krzyża na grobie, ale my... my, Gabrielu, możemy sprawić, że spocznie jak na chrześcijankę przystało. Jak człowiek, nie bestia, za którą ją uważali. Musimy to zrobić, inaczej... inaczej nie da nam spokoju. Posłuchaj mnie. Wyjdź z tej nory. Jutro po zmierzchu pójdziemy na mokradła.

– Nie mogę...

– Dla niej, rozumiesz? Kochałem swoją siostrę, ale to ty skradłeś jej serce. Zaklinam cię w imię Pańskie! Gabrielu!

Ileż razy musiał ją mijać w wiosce, gdy była zaledwie dziewczynką. On – syn handlarza końmi, ona – córka garncarza. Niewidoczni dla siebie przez całe lata.

Aż podczas nocnej zabawy po sianokosach ujrzał ją w tańcu, roześmianą i tak piękną, z wiankiem świeżych kwiatów we włosach, i w jednej chwili poczuł, że jest stracony.

Wielobarwna suknia kręciła się wokół smukłych nóg, złociste kłosa długich włosów lśniły niczym słońce, które zapomniało wieczorem zasnąć. Pełna życia i radości, jakby to sama Wiosna przyszła bawić się wraz ze śmiertelnikami. Patrzyli na nią starcy, uparcie próbując odnaleźć w pamięci wspomnienia własnej młodości, patrzyły dziewczęta pełne zazdrości i mężczyźni, z lubieżnym wzrokiem wygłodniałego wilka. Stare baby splotowały na jej widok i kręciły głowami.

Zakochał się w Finnji całkowicie i bezpowrotnie.

Miesiąc później tańczyła już tylko dla niego. Nago, wśród obrośniętych łąbinem wzgórz, ze skórą błyszczącą srebrzystym światłem księżycyca. Z rozpostartymi rękoma śpiewała mu pełne radości pieśni, wirując wśród bujnej trawy i pochylonych od wilgoci kwiatów. Z lasu odpowiedziało jej wycie wilka, potem jeszcze jedno.

Krzyknął, aby uciekali do wioski, lecz ona, śmiejąc się, chwyciła go za dłoń.

– Zawsze będziemy razem, Gabrielu. Zawsze...

I wirowali razem przy posępnej melodii wilczych głosów.

O zmierzchu ruszyli przez bezdroża, pochyleni i czujni. Przystanęli, dopiero gdy dotarli do skraju gęstego lasu. Upewniwszy się, że nikt za nimi nie podąża, Jakob zapalił latarnię. Widmowy blask odkrywał krzywe pnie i splątane konary. Słońce czmychało za horyzont, cienie gęstniały, aż w końcu puszcza utonęła w mroku.

– Daleko jeszcze? – zapytał Gabriel, próbując sięgnąć wzrokiem poza blask latarni. Ciemność wypaczała drzewa, zmieniała ich kształty, nadając niemal ludzkie sylwetki.

– Aż do bagien. Nikomu nie powiedziałaś, dokąd idziemy, prawda? Ani ojcu, ani matce?

– Nikomu.

– To dobrze – odpowiedział Jakob z wyraźną ulgą.

Wśród gałęzi pohukiwała sowa, pod butami trzaskały gałązki i suche liście.

Jedno pytanie cisnęło się Gabrielowi na usta.

– Jak znalazłeś jej grób?

– Łut szczęścia, Gabrielu – odparł Jakob.

Wędrowali dalej w milczeniu. Z lasu wyszli wprost na ciemną równinę. Wkrótce chmury odeszły i zatopiony wśród morza gwiazd błądy księżyc zesłał swą upiorną poświatę.

Chłopot pod butami uświadomił Gabrielowi, że dotarli na mokradła. Prócz mokrych kroków jedyny odgłos stanowił smutny śpiew bekasików oraz szelest trzciny głąskanych wiatrem. Gęste kozuchy z pyłków i gnijących roślin pokrywały płytkie oczka wodne.

– Już prawie – rzekł Jakob, gdy podeszli do rachitycznych drzew rosnących pomiędzy kępami traw. W ciemności odezwały się ropuchy, gardłowym rechotem wzbudzając u Gabriela dreszcze na karku. Latarnia oświetliła rzednącą trawę, potem niemal łysą polankę, bardziej wyrwę na spętanych roślinnością moczarach.

Tu słudzy Kościoła pochowali Finnję.

Spory kamień, przykryty potarganym mchem, leżał na grobie niczym milczący wartownik. Gabriel splunął w błoto. Jakby ktoś powinien się obawiać Finnji, jakby pochowali tu potwora.

– Pomóż mi – burknął. Wspólnie naprężyli grzbiety i odsunęli głaz na bok. Ukryte pod dnem białe robactwo rozpełzło się do pobliskich traw. Mężczyźni w milczeniu podnieśli łopaty, aby w blasku lampy wbić je w miękką glebę. Pod uderzeniami metalu błoto syczało i bulgotało. Gabriel kopał jak w malignie, za wszelką cenę pragnąc pomóc dziewczynie, którą kochał.

Nie zasłużyła na to.

Wyobrażał sobie, że wbija łopatę w obwisłe twarze łowców czarownic. Plask. Plask. Odcinał im łby, odrzucał na rosnącą kupę szlamu i jeszcze raz zagłębiał ostrze w ziemi, ijeszcze...

Stukot.

Dźgnął obok. To samo. Nie pogrzebali jej głęboko.

Gdy już wiedzieli gdzie kopać, robota poszła sprawnie. Odślonili trumnę z lichego drewna. Zbutwiałe od wilgoci wieko, mokre i błyszczące, zbite w pośpiechu, z podłużnymi szparami, gdzie mętna woda z sykiem lała się do środka. Przy trumnie wykopali jeszcze kawałek, aby móc bezpiecznie zejść, po czym wymienili spojrzenia, zmęczeni, ale z uśmiechem na ustach.

– Ty powinienes to zrobić, Gabrielu. Proszę, nie patrz tak na mnie. Jestem jej bratem i nie wypada... Nie mógłbym się zdobyć...

Gabriel skinął głową.

Odetchnął głębiej i zeskoczył. Nogi zapadły się po łydki w cuchnącą rozkładem wodę. Wsunął czubek łopaty pod drewno i naparł z całej siły. Wieko zaskrzypiało, ropuchy zamilkły, a ptaki urwały swą pieśń.

Pierwsze dziecko umarło we śnie, spokojnie i po cichu. Drugie niecały dzień później i wszyscy wiedzieli już, że Zło nadeszło do wioski. Szepty i krzywe spojrzenia przemykały między sąsiadami. Kto winien? Kto sprowadził śmierć do wioski? Okiennice zatrzaskiwano, a dzieci zaganiano do chałup. Kościół aż po ściany wypełnił się ludźmi, wsłuchanych w mściwe wrzaski kapłana.

Niebawem przybyli łowcy czarownic o starych twarzach i twardych sercach, odarci przez czas z wszelkiej miłości do bliźniego. Otaczała ich zgraja osiłków o ponurych uśmiechach. Ciągnęli nabijane żelazem maszyny do łamania heretyków, twierdząc, że w ciemnym drewnie gnieździ się miłosierdzie Najwyższego.

Kobiety szybko wskazały Finnję, jakby wcześniej uzgodniły, kto nie pasuje do bogobojnej społeczności. Kościół upomniał się więc o dziewczynę, a gdy Gabriel i Jakob próbowali walczyć w jej obronie, obito ich i porzucono w błocie.

Mogli tylko czekać, aż Finnja, traktowana stałą i ogniem, ujawni współtowarzyszy w grzechu. Prawdziwych lub nie – czyż miało to znaczenie dla sług Chrystusa?

Nikogo nie wydała.

Wkrótce zaprowadzili ją do samotnego drzewa niedaleko wioski. Mimo ran Gabriel zdołał dotrzeć na miejsce kaźni. Ciepły letni deszcz padał z brudnych chmur, a obojętne wrony obserwowały ludzi paciorkowatymi oczami. Przy masywnych strażnikach Finnja wyglądała niczym dziecko – delikatna jak dmuchawiec, w zgrzebnej sukience, z bladą, opuchniętą twarzą i nogami pokrytymi zaschniętą krwią. Gdy stała na wozie, a kat zakładał jej pętlę na szyję, ujrzała w tłumie Gabriela. Uśmiechnęła się opuchniętymi wargami.

Odczytali wyrok.

Za sabaty, podczas których oddawała się diabłom na wzgórzach.

Nie, chciał krzyknąć, to nie tak! Była wtedy ze mną...

Ale milczał.

Za inkantacje i rozmowy z demonami.

Śpiewała o miłości i dzieliła się ich szczęściem z całym światem!

Ale nie zdołał wydusić nawet słowa.

Za zsyłanie uroków na mężczyzn i mordowanie dzieci.

Przecież ona kochała każde życie!

Chciał rzucić kłam fałszywym oskarżeniami.

Wtedy zepchnięto ją z wozu i sprzeciw Gabriela uwiązał mu w gardle tak jak oddech w ustach Finnji.

Ciemna chmura buchnęła spod rozerwanego wieka. Cuchnące wyziewy odrzuciły Gabriela aż na skraj grobu. Zakręciło mu się w głowie, żołądek podszedł do gardła. Spojrzał na ciało i zwymiotował.

Podłoże trumny zasłaniała czarna maź. Zmącona wyrwanymi z mrocznego snu tysiącami larw krążącymi w szlamie niczym szaleni tancerze.

Ciężko dysząc, Gabriel wykonał znak krzyża. Kątem oka zobaczył, że Jakob robi to samo.

Postrzępiona sukienka ledwo okrywała spuchnięte ciało. Brzuch wydał się od gnilnych gazów, napęczniał, jakby Finnja nosiła w sobie dziecko samej Śmierci. Pod błyszczącą skórą kończyn płynęły rzeki ciemnofioletowych żył, a ręce wydawały się falować, poruszane krzątaniem larw i glizd.

Głowę Finnji odrąbano, po czym wrzucono pomiędzy jej rozchylone nogi. Leżała na wpół zatopiona w szlamie, wystawiając pomarszczone czoło oraz kępy długich wyblakłych włosów. Drobne szczęki były pełne wysuniętych żółtych zębów zaciśniętych na ociosanym kołku jak drapieżnik na gardle ofiary.

Odór zelżał, przechodząc w ciężki, mdły fetor podobny do zapachu długo nieczyszczonej stajni.

Gabriel wypluł resztki wymiocin i przetarł usta. Wzdrygał się na samą myśl o dotknięciu trupa, ale nie zamierzał tak zostawić Finnji. Zanurzył dłoń w brei i chwycił odciętą głowę za śliskie włosy. Jak okrutnie los zadrwił sobie z tej pełnej życia anielicy?! Gładkie policzki, których rumieńce nie tak dawno budziły w Gabrielu żądze, teraz zszarzały i wydeły się niczym u ropuchy, zadarty nosek nadgnił, ukazując parę chrząstek, a oczy...! Zielone, żywe jak zdrowy las w pełni lata – zniknęły całkowicie, wyżarte przez nieustępliwy rój czerwi, nawet teraz gromadzących się w środku oczodołów. Kręciły się tam, szeleszcząc i wypadając cienką smużką wzdłuż policzków, jakby Finnja płakała rzewnymi łzami o tłustych ciałach.

Gabriel chwycił koniec wbitego między zęby kołka. Szarpnął mocno. Palik wyskoczył, a z otwartych ust wyleciał strumień larw i czarnego śluzu.

Co mógł jej ofiarować prócz spokoju? Opuścił ramiona, bezradny wobec okrutnego losu, lecz po chwili zrozumiał, co musi zrobić. Wróci tu za dnia, choćby sam. Przeniesie jej ciało do zielonych traw, do lasu, gdziekolwiek, może na wzgórzu, na którym tańczyli razem.

Na razie położył jej głowę tam, gdzie powinna się znajdować – przy kikucie szyi. Teraz tylko tyle, ale później...

Usłyszał za sobą krótki świst, a potem runął w ciemność.

Kochali się na poddaszu stodoły, wśród pachnącej słomy, gdy słońce stało wysoko na niebie, a ostre promienie rozświetlały wirujące w powietrzu drobinki kurzu i pyłków. Pragnął Finnji, pragnął życia i światła, które roztaczała, tej nieuchwytniej siły bijącej z miękkiego ciała i oczu w kolorze świeżej trawy. Siedziała na nim, wyprężona, z odchyłoną głową, mrużąc i pojękując w uniesieniu.

Splątane włosy przyczepiły się jej do twarzy – mokre i pełne kropelek błyszczącego potu. Masował jej piersi, całował szyję, spragniony, aby skraść choć część tej ekstazy, a Finnja szeptała dziwne słowa i kołysała się w przód i w tył, pachnąca życiem i skórą rozgrzaną pocałunkiem słońca.

Gabriel odetchnął cuchnącym powietrzem. Policzką dotykał czegoś śliskiego i miękkiego. Głowa pulsowała tęnym bólem. Czuł, jakby spoczywał w ciepłym, wilgotnym pościeli. Co się stało? Gdzie jest? Czy to już dom?

Otworzył oczy.

Ciemność przenikały pasma księżycowego światła. W ich blasku ujrzał, na czym spoczywa.

Wrzasnął, zakrztusił się, poderwał głowę i uderzył nią w wieko trumny. Ciało Finnji patrzyło na niego pustymi oczodołami.

– Jakob! Pomóż mi! – wrzasnął.

Leżał zanurzony w mazi pełnej dryfujących robaków. Muskały jego dłonie, wchodziły pod ubranie. Grube, tłuste i oślizgłe.

Spróbował się obrócić. Nic z tego. Wciśnięty między zwłoki a ścianę trumny, mógł poruszać tylko lewą ręką.

– To nic nie da! – Głos Jakoba doszedł jak z innego świata. – Przybiłem wieko.

Gabriel napał na pokrywę. Krzyknął, napiął mięśnie. Drewno zatrzeszczało odrobinę, lecz trzymało dalej. Coś plasnęło o wieko, część światła zgasło, czarne krople przysły przez szpary do środka.

– Dlaczego? – wychrypiał Gabriel. Spojrzał przez grubszą szczelinę. Garbaty księżyc lśnił w oddali, a pod nim...

Na tle chorobliwego płomienia lampy ciemna sylwetka Jakoba nabierała łopatą porcję ziemi.

Gabriel poczuł się nagle, jakby był daleko stąd – ciało rozluźniło się, fetor osłabł, a powieki zaczęły opadać. Odgłos rzucanego na trumnę błota zamienił się w głuche dudnienie. A potem narastał coraz bardziej i bardziej, aż Gabriel zrozumiał, że słyszy dzwoniące w uszach uderzenia własnego serca. Świat powrócił, a wraz z nim cała świadomość koszmaru, przelewająca się wzdłuż całego ciała jak gwałtowna gorączka.

– Wypuść mnie! – wrzasnął.

– Zabiłeś ją, skurwielu! Powiesili ją i czyja to wina?! Twoja! Twoja! A teraz... widzę ją w snach! Nawiedza mnie od tygodni, noc w noc. Nie mogę spać, rozumiesz? Kazała mi to zrobić! Boże, gdybyś ją widział! Wciąż cię kocha! Nie wytrzymam dłużej... nie wytrzymam... nie wytrzymam...

– Ona nie żyje! Nie żyje! – Gabriel uderzał w wieko. Błoto spadało na trumnę z każdym uniesieniem łopaty. Jakob oszalał! Oszalał! Chryste, dlaczego? Gabriel wytrzeszczył oczy, gdy błoto przykryło wszystkie, prócz ostatniej smugi srebrnego światła.

Ostatnia granica między życiem a koszmarem zgasła wraz z chlupotem mokrej ziemi i Gabriel zawył w ciemność, długo, przeciągle. Wbił palce w wilgotne drewno, drapał w obląkańczym amoku, aż drzazgi rozdarły opuszki palców, a paznokcie odłamały się do żywego mięsa. Nabierał gorącego powietrza szybkimi haustami, płuca zaczynały palić jak traktowane rozżarzoną stalą.

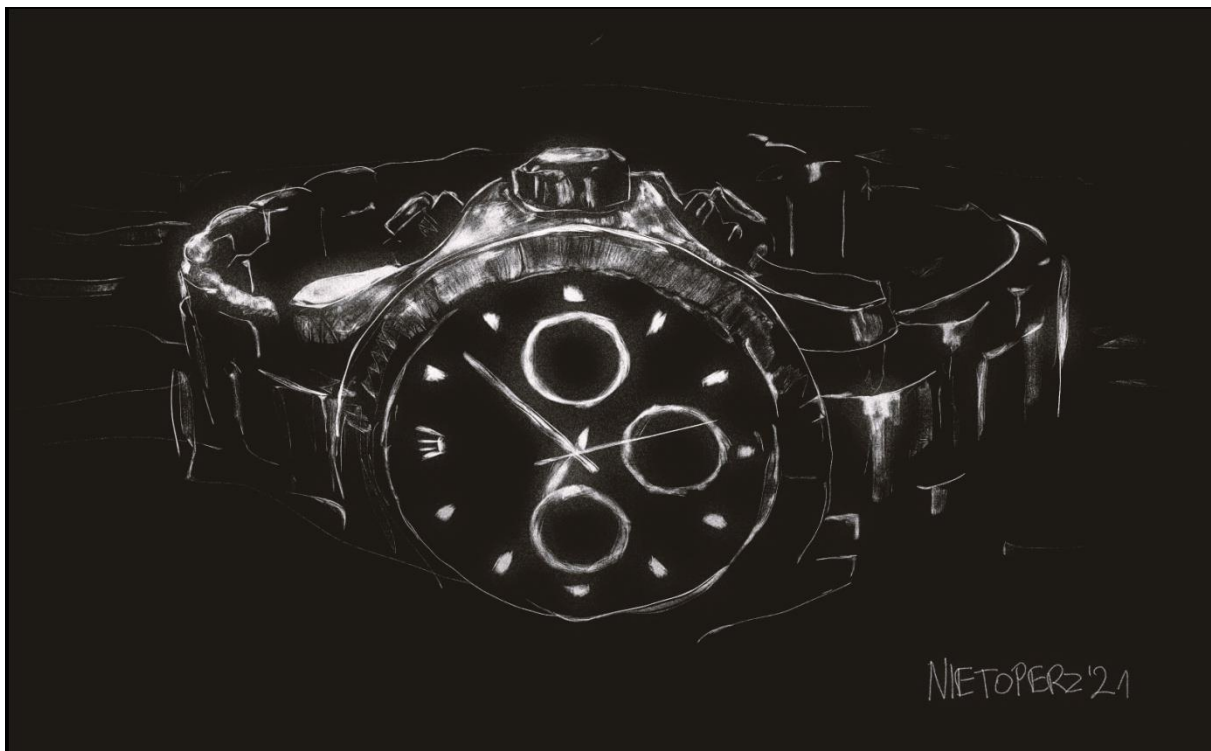
Wtedy coś usłyszał. Prócz swojego rżenia, szelestu tysięcy czerwi i chlupotu przeciekającej wody. Dźwięk w mroku. Brudny, śliski i wstrętny.

Na policzku, wciąż wilgotnym od śliskiej skóry Finnji, poczuł słaby podmuch.

Oddech.

– Kochany...

Nim otworzył usta do ostatniego wrzasku, a jego umysł pękł na tysiąc czarnych fragmentów, zapieczętowała mu wargi pełnym czerwi pocałunkiem.



OPowieść o Pełni Księżycyca

Artur Jastrzębowski

Na obrzeżach Chelmsford stoi nieduży jednopiętrowy dom. Nie różni się niczym szczególnym od pozostałych budynków w okolicy. Ma czerwony spadzisty dach, pod którym jaskółki uwiły gniazdo. W oknach wiszą wypłowiałe, nieprane od miesięcy firany, a z parapetów sterczą fiołki i kaktusy. Nie ma tu wielkiego balkonu, ogródka skalnego z oczkiem wodnym ani automatycznej bramy wjazdowej. Nic z rzeczy, na które mogłaby sobie pozwolić ludność z tej części miasta. Zwyczajny dom na obrzeżach jak kilkadziesiąt innych stojących na tym samym osiedlu, wzniesionych na podstawie jednakowych warunków zabudowy.

Budynek numer sześć na Cedar Avenue należy do postawionych stosunkowo niedawno, bo niespełna cztery lata wstecz. Głową domu jest tu Clark O'Connor, choć w oficjalnych aktach widnieje imię Jessiki, której matka – obecnie kobieta po siedemdziesiątce – przebywa na własne życzenie w o wiele mniejszym i wymagającym mniej fizycznej pracy mieszkaniu bliżej centrum.

Clark właśnie wjeżdża na podwórko przez wąską bramę. Robi to niezwykle uważnie. Manewruje kilka razy, wyrzucając potok wulgaryzmów, kiedy raz po raz musi korygować tor jazdy. Nie może sobie pozwolić na rysy na lakierze. Doskonale pamięta wydane – lub jak woli to ujmować – bezczelnie skradzione pięćset dolarów za pomalowanie całego boku swojego chevroleta, w dodatku niewłaściwie dobranym odcieniem. Udaje mu się.

Parter domu składa się z dwóch pokoi, kuchni, łazienki i holu, piętro zaś zajmuje dość obszerny strych i sypialnia dla dzieci. Linda i Victoria spierają się o wybór programu telewizyjnego. Na ogół rodzice zabraniają im wtapiać oczy w szklany ekran dłużej niż godzinę dziennie. Tyle że dziś jest piątek, ostatni dzień szkoły. Od jutra koniec z porannym wstawaniem, szukaniem dogodnego miejsca w autobusie, kłótniami z rówieśnikami na przerwach. Prawdziwe wakacje.

Łóżko, na którym siedzą i krzyczą na siebie, jest szerokie i pościelone do snu. Stacja telewizyjna już od dwóch godzin ustawiona jest na Cartoon Network, co wyraźnie nudzi Lindę, a z kolei bardzo odpowiada Victorii.

– Daj to! Daj mi pilota, bo wiedźma przyjdzie po ciebie! – wrzeszczy Linda tak głośno, że siostra milknie.

Trwa chwila dziwnej ciszy, podczas której obydwie spoglądają na siebie w odrętwieniu.

– Cicho! – odzywa się w końcu Victoria. Strasznie boi się opowieści o duchach, kosmitach, potworach z szafy lub spod łóżka, a w jej głowie tworzy się już obraz upiornej czarownicy przylatującej na miotle, by ją porwać.

– No to oddaj mi to albo przełącz program! – żąda Linda, rzucając siostrze gniewne spojrzenie.

Victoria niechętnie zwraca pełen śmiesznych przycisków przedmiot. Linda dopina swego. Zostaje władczynią pilota. Bawi się wyśmienicie, przerzucając kanały. Na jednym z nich trwa talk-show, w którym czarna kobieta opowiada o złych stosunkach z mężem. Prowadzący program podaje jej szklankę wody na uspokojenie nerwów. Linda od razu myśli o swoich rodzicach i o tym, że przecież są biali. To takie dziwne.

– Masz to teraz oglądać i nie przełączać! – ostrzega Victoria z wyraźnym akcentem podenerwowania.

– To jest chociaż ciekawe. A nie jakieś Jam Łasica – odpowiada Linda. Nie odrywa wzroku od ekranu. W końcu to ona trzyma pilota, a zmiana decyzji w tym momencie nie wchodzi w grę i uznana byłaby za utratę honoru.

Victoria wykrzywia usta ze złości.

– Nawet nie rozumiesz, o czym mówią. Przełącz, bo zawołam mamę! Już! – grozi.

Kłótnia rozwija się w najlepsze. Na zewnątrz zapada zmrok. Dochodzi godzina dwudziesta, a przy dzisiejszej pochmurnej pogodzie wieczór nadciąga wcześniej.

Jessica O'Connor spóźnia się z przygotowaniem kolacji. Warkot silnika na podwórzu każe jej się pośpieszyć. Clark energicznie wysiada z samochodu. Dociera do przedsiionka domu, wyciera wymęczone pantofle o wycieraczkę przed drzwiami i tym razem zmienionym, dumnym krokiem wchodzi do środka.

– Cześć. – Mężczyzna rzuca suche słowo powitalne i po chwili jest już w pokoju. Tam ostrożnie ściąga z siebie ulubiony śliwkowy garnitur od Marc Wallace. Ubrania przekazuje żonie do wyprasowania i odwieszenia. Odzież codzienna na przebranie leży na łóżku, złożona w kostkę. Na rękę Clarka pozostaje jedynie sportowy rolex ze złotą obwódką.

Jessica wraca. Nie dostaje pocałunku ani uścisku powitalnego. Od dawna nie liczy na więcej, choć czasami, gdzieś w głębi siebie, czeka na miłą niespodziankę. Nie jest łatwo, ale przecież życie jakoś płynie.

– Co z kolacją? – pyta mąż, przeciskając głowę przez swój ulubiony wełniany pulower.

Jessica bierze głęboki wdech.

– Za chwilę wstawiam patelnię.

Clark marszczy czoło.

– Chyba nie powiesz, że będziesz coś odgrzewać? Wiesz, co sędzę na ten temat. Wałkowaliśmy to tyle razy – mówi, a jego głos dociera na piętro, gdzie przebywają dziewczynki.

– Nie wiedziałam, że wrócisz później – tłumaczy Jessica. – Zawsze mnie powiadamasz. Nic nie poradzę na to, że...

– Cisza! – grzmi Clark. Przecież nie znosi odgrzewanych posiłków. Nadmiar przesiąkniętego tłuszczem jedzenia nie sprzyja zdrowiu. Jeśli nie przyjeżdża na czas, to zatrzymują go ważne sprawy. Utrzymuje rodzinę, więc to normalne, że musi jeść świeże jedzenie. Nasłuchuje przez chwilę i upewnia się, że córki znajdują się już na piętrze.

Rozkłada dłoń i bierze zamach.

Linda przestaje oglądać telewizję i chwytą ubiegłotygodniowy numer *Hey, girl!*. Victoria wykorzystuje sytuację i odbiera pilota. Kolejny raz ustawia kanał z bajkami. Siostra zauważa swój błąd i próbuje odzyskać kontrolę nad telewizorem. Uderza Victorię poduszką i ucieka na drugi kraniec łóżka. Kiedy zaatakowana zaczyna przymierzać się do kontrataku, zza drzwi dobiega odgłos wchodzenia po schodach. Kroki są szybkie, równomierne, a przy takim stąpieniu drewniane stopnie skrzypią nieco mniej. Dziewczynki wiedzą, kto chce im złożyć wizytę.

Mama powoli otwiera drzwi, bezwiednie przemierza pokój, aż w końcu siada na brzegu łóżka. Opiera łokieć o kolano, a dłonią zasłania poczerwieniałą twarz. Młode córki obserwują, jak beznamietnie ogląda kreskówkę i na moment zapominają o pilotowej awanturze.

– Odrobiliście lekcje? – pyta nagle nosowym głosem mama.

– Nie mamy nic do odrabiania na jutro – odpowiada Linda.

– To odróbcie na następne dni albo poczytajcie książki. Dość tej telewizji – mówi Jessica bez cienia przekonania w głosie, wpatrując się w kolorowy ekran.

– Tata jest zły? – odzywa się Victoria.

Mama nic nie mówi. Jej oczy błyszczą, tęsknią za wielobarwnym, radosnym światem, takim jak ten w kreskówce. Gdzieś daleko, myśli Jessica, istnieje prawdziwa, namacalna Shangri La, bez problemów, w szczególności tych o imieniu Clark.

Victoria dostrzega zły humor mamy i chce zmienić temat.

– Linda straszyla mnie wiedźmą... – mamrocze cicho dziewczynka.

– Jaką znowu wiedźmą? – odzywa się Jessica.

Oczy Lindy stają się szerokie i pełne fascynacji.

– Bo to prawda. Kiedy ktoś jest bardzo niegrzeczny, a księżyc świeci w pełni, wtedy do jego domu przylatuje wiedźma! A dziś jest pełnia! – wykrzykuje, chcąc podkreślić fakt, że historia jest prawdziwa.

– Nieprawda! Mamo, powiedz jej coś, proszę... – mówi Victoria. W jej oczach zaczynają kręcić się łzy.

– Linda, kochanie, przestań straszyć siostrę takimi opowieściami. A po drugie, księżyc nie świeci tylko odbija światło. Ucz się więcej i oglądaj mniej bajek – wyjaśnia mama, gładząc się delikatnie po policzku.

Linda spogląda na siostrę wściekłym wzrokiem. Jest zła na siebie, że opowiada tę krótką historię przy mamie. Jeszcze bardziej boli ją, że ośmiesza się przy Victorii. Tego szczególnie nie może sobie darować.

– No, tak się tylko mówi, że księżyc świeci – wybąkuje powoli Linda

– Wiedźma... – mówi Jessica, znów nosowo i niewyraźnie. Przeciera drugą dłońią zasłoniętą połowę twarzy, po czym wstaje z łóżka. – Uczcie się – dodaje na koniec beznamiętnie. Wychodzi.

Victoria kładzie się wzdłuż łóżka i zaczyna obojętnie przełączać kanały. Myśli o mamie i o tym, że często opowiada, jak bardzo dobrym człowiekiem jest tata. Nie może tylko zrozumieć, dlaczego zawsze jest taka dziwna, kiedy to mówi, taka nieodgadniona. Dlaczego ma taką czerwoną twarz, a oczy takie, jakby za chwilę chciały płakać? Dlaczego czasami wchodzi do łazienki albo na poddasze i siedzi tam przez godzinę lub dwie? Ani Victoria, ani Linda tego nie wiedzą. Najważniejsze, że tata to dobry człowiek.

Na zewnątrz panuje zupełna noc. Przez okno w pokoju dziewczynek widać niemal całą ulicę, aż do końca Chelmsford. Stoi tam duży ozdobny słup z napisem informującym o mieście żegnającym swoich gości, zapraszając ich jednocześnie do ponownej wizyty.

Victoria odkłada pilota na kołdrę i wstaje z łóżka. Zbliży twarz do szyby i rozgląda się po okolicy, a następnie patrzy w górę. Sądzi ze zmartwieniem, że są tam jedynie kłęby ciemnych chmur błakających się całe popołudnie i wieczór po niebie, ale ku swojemu zdziwieniu widzi mrowie migocących gwiazd i błyszczący w pełni księżyc.

To czas wiedźmy.

– Spójrz – mówi Victoria.

Linda leży odwrócona tyłem do okna.

– Na co? – duka przez ramię.

– Na pełnię. To znaczy, że *ona* dziś przyjdzie.

Linda natychmiast przerzuca się na plecy.

– Zaraz powiem mamie – grozi.

– Przychodzi tylko, kiedy mocno się w nią wierzy. – Kąciki ust Victorii wyginają się w lekkim uśmiechu. – Chyba nie wierzysz w wiedźmy? – pyta, stanąwszy przy oknie.

– Nie – kłamie Linda. – Nie ma żadnej wiedźmy.

– Tak. Tylko nie myśl o niej, bo przyjdzie tu po nas, ha!

Oczy Lindy robią się wielkie.

– I co nam zrobi? – pyta.

– Nie chcesz wiedzieć. Straszne rzeczy. Obetnie nam uszy, nosy, nogi, ręce, a potem wszystko ugotuje i zje – tłumaczy Victoria. Wysila wyobraźnię, aby stworzyć jak najbardziej przerażający obraz. – Chodź! Spójrz! – Wychyla się nad parapet.

– Co się stało?

– Coś poruszyło się w krzakach! Chodź i zobacz! Tylko zgaś światło! Będziemy wszystko lepiej widzieć z pokoju – nakazuje Victoria.

Linda, nie sprzeciwiając się, podchodzi do drzwi i wyłącza oświetlenie. Jedynie telewizor rzuca na ścianę mglisty, ruchomy blask. Siostry stają przy oknie, przeczesując oczyma zarośla.

– Och, ty! Zobacz! To tylko kot! Pewnie ten stary czarny od Gilmerów. Przyłazi tutaj, bo ty i mama go karmicie! – stwierdza Linda, wściekając się na siostrę.

– Nie wiedziałam. Myślałam, że to *ona*.

– Tak, wyszła z krzaków zamiast przylecieć na miotle – ironizuje Linda.

Obydwie prędko kładą się do łóżka, lecz żadna nie kwapi się, aby na powrót włączyć światło. Choć między dziewczynkami panuje milczenie, doskonale znają swoje myśli. Ogarnia je paraliżujący strach przed tym, co przychodzi podczas pełni.

Ciszę przerywa głuchy dźwięk. Coś uderza o ścianę domu, jakby tuż pod szybą okienną. Linda zbiera się w sobie i wypelza spod kołdry, zbliżając się ostrożnie do okna. Po chwili dołącza do niej Victoria, która nie jest w stanie wytrzymać w łóżku sama. Obydwie błądzą wzrokiem po małym ogródku, ale nie mogą nic dostrzec. Czubek młodego modrzewia, który rośnie obok krzaku róży, zaczyna się poruszać.

– Patrz – szepcze Victoria.

– I niby jak wiedźma mogłaby tam wejść?

Zanim pada odpowiedź, coś przerywa rozpoczętą dyskusję. Dziewczynki niemal jednocześnie spoglądają w górę. W okamgnieniu jakiś ciemny kształt przecina jasną tarczę księżyca, zawraca i ląduje w niewidocznych zakamarkach podwórza.

– Ktoś tam jest. Wychyl się i zobacz, tylko otwórz okno

– Nie chcę – odpowiada roztrzęsionym głosem Linda. – Ktoś nie chce, żebyśmy go widziały, ale widzi nas! Na pewno! Musimy się schować!

Odskakują w głąb sypialni jak poparzone.

Słysząc otwierane i zamykane drzwi do domu. Dziewczynki drżą ze strachu. Jasny księżyc wisi na niebie, nieprzesłonięty przez ani jedną chmurę.

– Może mama znów karmiła tego kota? Albo tata wyszedł porozmawiać przez telefon i załatwiać interesy? Oparł się o ścianę i stał tam przez chwilę, a teraz wrócił do domu – tłumaczy sobie Linda. – A może to halo.. ha...

– Halucynacja – poprawia cicho Victoria.

Ktoś wchodzi na piętro. Dziewczynki obracają głowy równocześnie i uważnie przyglądają się drzwiom, nasłuchując. Pierwszy lub trzeci stopień skrzypi, a one to wiedzą. W ich domu na Cedar Avenue skrzypią prawie wszystkie stopnie nieparzyste, poza trzynastym i dziewiątym. Skrzypią, ponieważ Victoria i Linda lubią bawić się we wchodzenie i schodzenie z przytupem, więc obydwie doskonale rozpoznają gamę schodowych dźwięków.

Kolejne dwa ciężkie kroki. Zupełnie jakby ktoś włókł się celowo, by nastraszyć młode siostry. I jeszcze jeden. Skrzypnięcie. Przerwa. Za długa. Ktoś musi stać w miejscu, ale dlaczego? A może ktoś stanął na stopniu numer dwanaście, który jest najstabilniejszy?

Następny dźwięk. To naprawdę potężne stąpnięcie. Schody pewnie muszą uginać się pod ciężarem wchodzącego. Raz i dwa. Przeraziłoby skrzypnięcie starego drewna, przywodzące na myśl stary, nawiedzony dom ze ścianami pełnymi pajęczyn, strasznymi obrazami i szczurami biegającymi po podłodze.

– Nie możemy o niej myśleć! – wykrztusza z siebie Linda.

– Staram się. Nie chce myśleć o wiedźmie! – wmawia sobie Victoria, powtarzając tę mantrę w myślach.

Dziewczynki kulą się za łóżkiem w upiornym oczekiwaniu. Ich maleńkie serca biją energicznie, tłocząc zmrożoną ze strachu krew po młodych, przesytych dreszczem ciałach. Ktoś jest na piętrze. Słysząc kolejne dwa kroki. Potem jeden. To nie może być tata – wchodzi powoli, ale inaczej. Ktokolwiek tam jest, omija skrzypiące stopnie i szybko znajduje się na górze, jakby nagle zaczął się spieszyć.

Stoi za drzwiami.

– Lindo... Victorio... – odzywa się głos. To ochrypły i upiorny głos starszej kobiety.

Czas dla dziewczynek staje w miejscu. Klamka kieruje się w dół. Drzwi są otwarte. W progu widać sylwetkę dorosłej postaci. Migocze w blasku rzucanym przez lampkę naścienną na korytarzu.

Nagle całe piętro zostaje nasycone pełnym światłem.

Przecież to mama! Właśnie zabiera dłoń z przyciśniętego włącznika. Czar prysł.

– Lindo, Victorio, co wy tam robicie? Kolacja już gotowa – mówi stanowczym lecz wciąż pogodnym głosem. Uśmiecha się.

– My tylko... – tłumaczy Victoria. Nie potrafi wyjaśnić mamie, co dokładnie miała na myśli.

– Bawiłyśmy się w wiedźmę – kończy Linda.

– Ach, moje urwisy. Chodźcie – odzywa się łagodnie Jessica i gestem ręki przywołuje córki.

Victoria i Linda idą za mamą. Schodzą na parter, nie zwracając już uwagi na skrzypiące deski pod swoimi stopami. Pajęczyny, duchy, potwory, wiedźmy – wszystko odeszło w niepamięć. Strach minął.

Wszystkie trzy wchodzi do kuchni, którą oświetla słabsze światło z połowy lamp podsufitowych, co sprawia wrażenie półmroku. Pomieszczenie wypełnia dziwny zapach – ani cudowny, ani odpychający – po prostu dziwny. Drażni ich młode gruczoły węchowe. Nieznany aromat zmienia się w uporczywy śwąd. Muszą go znieść, choć nigdy nie jedzą zupy tak późno. Co powie tata? Może jednak powinny wracać do sypialni?

W odległym kącie stoją cztery czarne worki na śmieci, jeden obok drugiego. Pod ostatnim widać ciemną plamę. To pewnie po resztkach jedzenia. Tata zawsze się złości, kiedy śmieci zalegają, lecz Linda i Victoria mają nadzieję, że poszedł już spać i nie widzi tego bałaganu.

Jessica każe córkom usiąść przy stole i grzecznie czekać. Uśmiech na jej twarzy jest teraz w pewien sposób odpychający, nieprawdziwy. Ciężki kobiecy poruszający się na ścianie kuchennej sprawia wrażenie przeraźliwie powyginanego, należącego jakby do innej osoby. Szczególną uwagę dziewczynek zwraca nos, nienaturalnie długi i spiczasty, dość wyraźny nawet w oparach pary unoszącej się z garnka.

– Odgrzeję to, co chcę – mówi z ekscytacją mama, zaś jej spojrzenie nabiera dzikiej satysfakcji. – Co tylko chcę.

Miesza w naczyniu dużą, drewnianą chochlą. Z gorącego wywaru mimowolnie wynurza się ręka. Na blacie, tuż obok kuchenki gazowej, wciąż leży połyskujący, sportowy rolex ze złotą obwódką.



PIWNICA

Lidia Gręda

Czuję, jak ból rozchodzi się po wszystkich członkach. Pożerane przez niego narządy wewnętrzne płoną żywym ogniem. Boli każda najmniejsza komórka ciała. A wiem, że to dopiero początek. Że będzie jeszcze gorzej.

Tak chciałbym mieć chociaż chwilę wytchnienia. Żeby drażące mnie igły na moment się zatrzymały. Lecz ból nie zna litości i nie rozluźnia żelaznego uścisku. Jest mi za gorąco. Idę tam, gdzie obietnica chłodu.

Do Piwnicy czasami trudno trafić. Poszukując jej, wiele razy uderzyłem czołem o ścianę. Kluczyłem między starymi meblami i pudłami pełnymi moich zabawek

z dzieciństwa, potykając się o porzucone rowery. Potraçałem odrapane regały pełne przetworów, a słoiki roztrzaskiwały się na podłodze, wytryskując z siebie kolorowe, lekko oślizgłe plamy. Ale zawsze w końcu ukazywała mi się Piwnica w mojej piwnicy.

Rozrasta się ona w sieć tysięcy korytarzy i pomieszczeń. Nieokiełznany, ciągle zmienny i poruszający się twór, który jednocześnie pragnę zbadać i nie. Bo gdybym poznał Piwnicę do szczytu, nie byłaby już tajemnicza i nęcąca, a wędrówki po niej nie miałyby w sobie nuty tego szczególnego rodzaju zaciekawienia, które towarzyszy badaniu całkiem nowych przestrzeni.

Czuję jednak ogromny głód eksploracji. Tak silny, że umarłbym, gdybym go nie zaspokajał. Nie potrafię się powstrzymać. Piwnica zresztą i tak cały czas się zmienia, toteż prawdopodobnie nie można całkowicie jej poznać. Czasami mnie przeraża, jednak więcej jest we mnie ciekawości niż strachu.

Dzisiaj mam zamiar zejść jeszcze głębiej. Przygotowywałem się miesiącami. Nie wiem, co mnie tam czeka. Jestem niemal pewien, iż coś tak przerażającego, że po opuszczeniu tamtego miejsca już nigdy nie będę taki sam. Ale muszę okiełznać Piwnicę i odnaleźć jej usta, bo tylko one mogą pożreć mój ból. Leżące głęboko pod ziemią gardło wzywa mnie. Czuję to pod skórą, mięśnie same się poruszają, mam przeczucie, że automatycznie dążą do czegoś, co przyniesie im ulgę.

Idę przez garaż po kamiennej podłodze pokrytej wieloletnim kurzem. Zerkam za jedną z belek zakrywających kanał samochodowy, ale tym razem to nie tam jest zejście, bo z dziury spogląda na mnie tylko nieprzenikniona czarna przestrzeń, zapewne pełna pajaków i innego robactwa.

Przechodzę do korytarza i mijam lustro, które kiedyś zasłoniłem kotarą. Tak na wszelki wypadek. Dzisiaj zdumiewająco szybko udaje mi się odnaleźć Piwnicę, ponieważ wchodzę do kotłowni, która nie jest już moja – za stertą węgla nie ma okna i ściany, otwiera się tam za to duża ciemna grot. Widzę także szerokie schody w dół. Stamtąd wydobywa się czerwona poświata. Zejście przypomina gardło jakiegoś olbrzymiego potwora.

Mijam zakurzony piec i schodzę do Piwnicy.

Wita mnie lekkim powiewem, od którego mam gęsią skórkę, bo jest jednocześnie nęcący i przerażający, podobny do zapachu wzbudzających pożądanie kobiecych perfum pomieszanego z wonią zgnilizny i starych jak Ziemia murów.

Idę przez szeroką salę oświetloną tylko rozgrzanymi do czerwoności piecami węglowymi. Mijam je, ale nie czuję gorąca, a chłód. Na niektórych widnieją wąskie wyżłobienia, jakby ktoś w nie uderzał z wielką wściekłością.

Widzę drzwi. Docieram do nich i wchodzę do pomieszczenia oświetlonego przytłumionym, wściekle mrugającym światłem. O ściany opierają się stare regały z zaokrąglonymi krawędziami, pośrodku zaś są całkiem nowe i błyszczące metalowe stoły, na których buczy jakaś aparatura, jakby szpitalna. Obok stoi też szpitalne łóżko. Pościel jest zmięta i mokra od potu.

Pchany głodem, idę dalej. Przechodzę przez korytarz i docieram do małego pokoiku. Wygląda prawie zupełnie jak sala do informatyki w mojej podstawówce, z tą różnicą, że tu nie ma okien, wszystko jest przysypane czarnym piwnicznym brudem, a światło, choć jasne, nie przegania wrażenia, że znajduje się pod ziemią. Pod ścianami ustawione są ławki, a na nich, jeden obok drugiego, stoją staroświeckie garbate monitory.

Przy jednym ze stanowisk siedzi jakiś mężczyzna. Wygląda na nieco młodszego ode mnie, w jasnych włosach ma kilka siwych pasm. Zdaje się mały, chudy i skulony w sobie, jakby nie miał śmiałości zajmować zbyt wiele miejsca.

W Piwnicy czasami spotykam innych ludzi, ale nigdy z nimi nie rozmawiam, oni także się do mnie nie odzywają, toteż zamierzam bez słowa przejść do następnego pomieszczenia, jednak ku mojemu zdumieniu mężczyzna odwraca się i zagaduje:

– Cześć, jestem Mirek.

Przez chwilę czuję takie zdziwienie, że zupełnie nie wiem, jak zareagować, jednak w końcu się reflektuję.

– Adam.

– Co tu robisz? – pyta Mirek.

– Chcę unicestwić mój ból. A ty?

– Szukam kobiety. – Mężczyzna wskazuje na ekran komputera.

Widzę tam stronę internetową z różowym banerem otoczonym serduszkami. Pod nim szybko przewijają się zdjęcia kobiet.

– Zatem także próbujesz pozbyć się bólu – mówię.

– Ale ciężko jest. Nie podoba mi się żadna. Chodźmy stąd.

Razem idziemy do sąsiedniego pomieszczenia. Jest pełne obrazów w starych połączonych ramach, w szczeliny których już dawno wdarła się czerń. Żaden z nich nie wisi na ścianie. Wszystkie są porzucane na podłodze. Najbliższy przedstawia ładnego kasztanowego konia w galopie, na którym siedzi jeździec z głową w ustach.

– Lubisz konie? – pyta Mirek.

– Nieszczęśliwie. Boję się ich. Są takie duże i gwałtowne.

Mirek wzrusza ramionami. W następnym pomieszczeniu znajduję wreszcie kolejne schody.

– Pójdiesz tam ze mną? – pytam.

Mirek otwiera szerzej oczy, a jego twarz robi się blada.

– Ponoć na niższych piętrach Piwnicy doświadczą się potwornych rzeczy... – mówi cicho.

– Byłem tam. Zwiedziłem dwa poziomy w dół. Dzisiaj chcę zejść na trzeci.

– Nie boisz się niczego, prawda? – Mirek kuli się jeszcze bardziej.

– Boję się wszystkiego.

Schodzimy na dół. Trafiamy do sali, gdzie w piwniczną podłogę wpuszczony jest duży basen. Czysta woda faluje, zachęca do pływania. Mam ochotę wskoczyć tam bez zastanowienia.

Idziemy wzdłuż niego i nagle Mirek prychna.

– Mówiłem!

Podążam wzrokiem za jego spojrzeniem i widzę w wodzie martwe, jeszcze nie do końca rozwinięte niemowlę, niemal już całkiem poszarzałe i pokryte białą siateczką bąbelków, dryfujące po dnie. Przypomina musującą tabletkę wrzuconą do wrzątku.

– Ty naprawdę chcesz iść na trzeci poziom? – dziwi się Mirek. – Podobno tam są tak przerażające rzeczy, że ludzie powracają zupełnie odmienieni.

– Muszę pozbyć się bólu – odpowiadam.

Wchodzimy do wąskiego korytarza przesiąkniętego wilgocią. Woda spływa z każdej ściany i kapie na nas z sufitu. Jest całkiem ciemno. Maszerujemy ostrożnie. Nagle czuję coś pod stopami. Podłoga drży. Z początku ledwie zauważalnie, potem zaczyna niemal mną potrząsać. Z tego drżenia, powoli acz narastająco, wyradza się głęboki jak ocean, wbijający się w uszy huk.

Jego siła zwala nas z nóg. Gdy wybrzmiewa do końca, niknie jak we mgle, pozostawiając po sobie suchą ciszę.

Wtedy z głębi ciemności rozlega się chrzęst. Jest coraz głośniejszy. Brzmi jakby coś wielkiego zmierzało w naszą stronę.

– Adam... – jęczy Mirek.

Odszukuje moje ramię, a potem zaciska na nim dłoń, tak mocno, że odrywam ją od siebie. Chrzęst narasta, rzucamy się do biegu. Wciąż się potykamy i zderzamy. To coś jest już bardzo blisko. Po dźwiękach zdaję sobie sprawę, że musi gonić nas całe stado. Albo coś, co ma wiele nóg.

– Adam... mi się coś... – szepcze Mirek i zwalnia, przez co na niego wpadam.

– Biegnij! – wrzeszczę i popycham go.

Nagle uderzamy w coś twardego. Drzwi. Gorączkowo szukam w ciemności klamki, ale nie mogę jej odnaleźć. Odgłosy setek nóg się zbliżają. Zaraz zostaniemy zmiażdżeni, a ja nie mogę trafić ręką w cholerną klamkę! Po dłuższej chwili jestem niemal pewien, że jej tu nie ma. Cofam się i uderzam w drzwi całym ciałem.

Mirek pokasłuje. Mam ochotę użyć jego głowy jako tarana. Uderzam jeszcze raz i wtedy wreszcie znajduję klamkę.

Wpadamy do wnętrza katedry. Trzaskam drzwiami i biegnę dalej, ale czuję, że Mirek nie robi tego samego. Odwracam się i widzę, że mężczyzna, z poszarzałą twarzą, klęczy na posadzce.

– Co ci jest? Uciekaj!

Chwytam Mirka za ubranie i ciągnę go w stronę złotego ołtarza. Mijamy posągi przedstawiające świętych, czuję ich wzrok na sobie. Przy zakrystii natykamy się na wąskie schody.

Wtedy słyszę, jak otwierają się drzwi, którymi tu weszliśmy. Pcham Mirka na schody i biegnę za nim, przelotnie zerkając za siebie. Udaje mi się uchwycić spojrzeniem przemykające za filarami czarne odnóża.

Zbiegamy po schodach. Z góry słyszymy, jak tysiące nóg dudnią o stopnie. Przyspieszamy. W pewnym momencie Mirek przewraca się i turla w dół. Potykam się o niego i lecę jak bezwładny śmieć.

Jakimś cudem docieram na drugi poziom Piwnicy, nie łamiąc kości.

Podnoszę się, a Mirek zaczyna skamleć jak pies.

– B-boli... boli!

– Co cię boli?

– Żołądek – mamrocze i rozpina koszulę.

Jego tors jest blady i galaretowaty. Nagle obok pępka powstaje wybrzuszenie i zaczyna się poruszać. Ze schodów słyszę zbliżający się tupot, chcę wziąć Mirka i uciekać, lecz wtedy wybrzuszenie pędzi w stronę gardła mężczyzny, który otwiera szeroko usta.

Spomiędzy warg wystrzeliwuje długi czarny ogon skorpiona-giganta zakończony kolcem. Cofam się pod ścianę, a żołądek podchodzi mi do gardła.

Tupot narasta. Patrzą, jak ze schodów zbiega olbrzymia włochata stonoga. Otwieram usta w niemym krzyku, kiedy podchodzi do mnie i unosi przednią część ciała, przywodząc na myśl konia machającego kopytami. Wciskam się w ścianę.

Wtedy Mirek staje między mną a nią, wymachując wystającym mu z ust ogonem niczym mieczem.

Robal opada na podłogę, powalając Mirka. Widzę, jak czarne odnóża zapamiętałe depczą jego ciało. Ogon skorpiona wije się i próbuje dosięgnąć potwora, ale na próżno. Pragnę się ruszyć, oderwać stopy od podłogi. Przychodzi mi to z takim trudem, jakbym próbował podnieść dom.

Twarz Mirka wykrzywiają ból i groza. Z jego oczu płyną łzy. Biorę głęboki wdech, po czym odpycham się od ściany i rzucam na ogon wystający z gardła mężczyzny. Jest oślizgły i ciężki, cały czas się wije, z trudem go podnoszę. W moją stronę pędzą odnóża stonogi. Ogon wyslizguje mi się z dłoni. Czuję uderzenie i ląduję pod ścianą. Powinienem zwijać się w cierpieniu, ale wstaję bez trudu, bo ten ból jest niczym w porównaniu z bólem, który czuję zawsze.

– Mirek! – krzyczę.

Ciało mężczyzny bezwładnie podryguje, kiedy ogon skorpiona miota się jak szalony. Biegnę i przygważdżam go do podłogi. Widzę, jak stonoga napręża się, szykując do kolejnego ataku. Całą siłą moich wątych mięśni wykręcam ogon. Monstrum skacze i po chwili kolec jadowy wbija się w podbrzusze potwora.

Stonoga eksploduje niczym balon z wodą, a z jej wnętrza wytryskuje coś tak obrzydliwego, że mój żołądek robi się ciężki, jakby wypełniony ciężarem tego, co zobaczyłem, a o czym nigdy nie zapomnę. Padam na kolana i czołgam się do jakichś drzwi. Moje ubranie jest całe sklezione, walczę z mdłościami. Ogon skorpiona wraca do gardła Mirka. Mężczyzna przewraca się na brzuch i czołga za mną.

Przedostajemy się do następnego pomieszczenia. Staram się nie patrzeć na to, co mnie pokrywa. Mirek leży bez zmysłów na posadzce. Jest dziwnie sflaczały, jakby uszło z niego całe powietrze. Przyczołguję się do niego. Teraz dopiero dokładniej przyglądam się jego twarzy. Pod jasną grzywką widnieją poziome zmarszczki, a bladobłękitne, jakby rozwodnione oczy ma wytrzeszczone tak, iż boję się, że zaraz wyskoczą i poturlają się po podłodze. Usta otwarte są szeroko, jakby zapraszały do środka ciała.

Ja go znam. On... jest mną. Tak, myślę, że jest mną. Z czasów, gdy miałem jeszcze włosy.

W końcu jego ręka się porusza. Zaciska powieki.

Nie wiem, jak długo leżymy bez słowa. W końcu jednak podnoszę głowę i widzę następne schody. Wstaję i zerkam na Mirka. Jest blady, a jego dłonie błędzą po wciąż odkrytym brzuchu. Nie chcę go pytać, czy ze mną idzie. Ale on kiwa głową.

– Chcę iść z tobą. Chcę przełamywać swoje granice – mówi.

Jestem zdumiony, ale widać po nim, że mimo strachu naprawdę chce to zrobić. Lecz jego słowa są niemądre. Przełamywanie granic to głupota, nie daje niczego dobrego poza ulgą, że się „przynajmniej spróbowało”. Przekonałem się o tym wiele razy w życiu. Teraz pragnę tylko jednego i niczego więcej. Tylko pozbyć się bólu.

– Zostań – mówię do Mirka.

Oddycha szybko, podnosi się i zapina koszulę. Przyciska jedną z dłoni do mostka. Kręci głową. Nie słucha.

Schodzimy więc starymi kamiennymi schodami na trzeci poziom Piwnicy.

Gdy jesteśmy na dole, natychmiast uderza w nas powiew, który cuchnie jak oddech pradawnej bestii. Patrzymy w głąb szerokiego tunelu. Zastanawiamy się, co nas tu czeka i co jeszcze zobaczymy.

W końcu ruszamy. Jest cicho, z daleka słychać kapanie. W powietrzu unosi się czarny dym o gryzącym zapachu. Zaczynam kasłać. Mam wrażenie, że ktoś grzebie w moim przełyku drucianą szczotką. Płuca zaciskają się jak pięści.

Nagle trafiamy do sali oświetlonej jasnym, ale jednak podziemnym, lekko pomarańczowym światłem, pełnej starych mebli i półek z narzędziami.

– Czy kojarzysz ten moment, kiedy rzeczywistość nagle gęstnieje? – pyta Mirek.

Nie wiem, co mu odpowiedzieć.

Nagle jakaś siła nas od siebie odrzuca. Czuję ucisk w uszach. Nie mogę się poruszyć. Nowy strach chwyta mnie za gardło, w żołądku coś drapie. Jestem całkowicie sparaliżowany, jak podczas tych chwil, gdy miotam się między snem a rzeczywistością.

Mogę tylko patrzeć. Patrzę, jak wszystko wokół się rozwarstwa, jak z leżących na stole nożyczek wychodzą nagle ich cztery kopie. Jak pod ścianami pojawia się coraz więcej regałów, które na siebie nachodzą. Jak obok mnie stoi dziesięciu Mirków. Jak to samo dzieje się ze mną.

Potem nagle wszystko znika. Po kolei, z dźwiękami jak przy pękaniu baniek mydlanych, znikają Mirkowie. Ale gdy zostaje ostatni, on też znika. Chcę tam pobiec i krzyknąć: „Mirek, nie...!”, lecz nadal nie mogę się ruszyć.

Widzę, jak znikają moje kopie. Jedna, druga, trzecia... Czy właśnie tak to się skończy? Taki będzie finał mojego poszukiwania leku na ból?

Lecz nie, patrzę, jak przede mną stoi ostatnia kopia. Czekam, aż zniknie, ale tego nie robi. Tymczasem ja znów mogę się ruszyć. Padam na kolana i słyszę obok siebie głucho łupnięcie. Moja kopia zrobiła to samo.

Wstaję. Ona też. Podchodzę bliżej. Stojący przede mną chudy mężczyzna ma zapadnięte policzki i fioletowe cienie pod oczami. Dostrzegam, że marszczy brwi, a na twarzy ma wyraz zdziwienia pomieszanego ze strachem. Unoszę dłoń, on także. Jak lustro powtarza każdą moją czynność. Nagle na jego ustach pojawia się nowy wyraz, jakby coś zrozumiał.

– Mirek...? – szepczemy jednocześnie.

Nie, to nie jest Mirek, to jestem ja. Mirka nigdy nie było, byłem tylko ja. Kopia kręci głową, po czym drapie się po mostku. Chcę odejść, bo myślę, że to spowoduje, że ona też odejdzie w swoją stronę, przecież tak działa lustro. Ale nie, idzie obok mnie. Nie mogę tego znieść. Moja pięść zmierza w stronę jej twarzy, czuję uderzenie i ból, dotykam policzka. To nie ma sensu.

Wędrujemy dalej. Moja kopia powoduje u mnie dreszcze, więc wolę na nią nie patrzeć. Sala zamienia się nagle w szeroki i słabo oświetlony korytarz. Czuję chłód i jakiś kwiatowy zapach.

Przez długi czas nic się nie zmienia. Wędrujemy korytarzem ciągle w tym samym tempie, a on zieje pustką i wciąż nie widzę jego końca. Przyzwyczajam się nieco do dźwięku kroków idącej obok mnie kopii, choć jej obecność ciągle mnie przeraża i nadal na nią nie patrzę.

Nie mam pojęcia, ile minęło czasu – mogło minąć parę minut, a mogło parę lat. W miejscu, w którym nic się nie zmienia, czas przestaje istnieć. Bo czas to zmiany. Ale jednak w końcu, po chwilach brnięcia przez tę kamienną jednostajność, czuję, że coś się zmienia. Nasze kroki stają się ociężałe.

Zdaję sobie sprawę, że mój ból jest teraz nieco inny. Nie większy, bo taki chyba nie istnieje, ale inny. Oprócz tego mam kaszel, chyba się przeziębilem. Zerkam wreszcie na moją kopię i dostrzegam tam kogoś innego, nie mnie. Widzę niesamowicie chudego człowieka, jego ręce są cienkie jak u szkieletu, a skóra szara jak popiół. Co on tu robi? Od kiedy idzie obok?

Wtedy wreszcie przystaję i aż mi się kręci w głowie od tak wielkiej zmiany w mojej rzeczywistości. Mężczyzna również się zatrzymuje. Zerkamy na siebie.

– Czy pan... – mówimy oboje słabym głosem.

Nie, niemożliwe. Patrzę na moje ręce. Są szare i wychudzone. Chcę stąd uciec, chcę uciec od tego człowieka, chcę uciec od samego siebie. Nie chcę taki być. Kiedy to się stało? Pragnę pobiec, lecz moje ciało nie jest już w stanie tego zrobić.

Oddychając głęboko, uspokajam się i kontynuuję wędrówkę. Jest mi coraz trudniej, ale wciąż mam misję, której nie wykonałem.

Wreszcie, po tylu latach, widzę koniec tunelu. Coś się tam porusza. Jeszcze nie wiem, co to jest, ale w miarę, jak prę do przodu, robi się coraz wyraźniejsze.

Wkrótce zauważam, że to usta. Są niepokojące, mimo to mnie wabią. Właśnie one wabiły mnie od samego początku. To jest mój cel. To ona. To Piwnica. To jest jej gardło.

Moje nogi same zwalniają, jakby szykując się do ucieczki w tył, lecz serce rwie się do przodu.

Usta są krwistoczerwone, połyskują lekko i się uśmiechają. Wyrastają z dziwacznej sinozielonej narośli na ścianie korytarza. Narośl wciąż się porusza, pod jej powłoką pulsują guzy i wiją się grube żyły, które w kilku miejscach wychodzą, oplatając sufit oraz ściany korytarza i zanikając w nich. Monstrum uśmiecha się szerzej, ciało zaczyna kotłować się szybciej, wygląda to tak, jakby guzy próbowały wydostać się z płataniny różnokolorowych żył.

Docieram do niej. Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że od pewnego czasu nie słyszałem kroków obok siebie. Moja kopia gdzieś zniknęła i nawet nie wiem kiedy.

Ale teraz jestem wreszcie sam, bez Mirka, bez kopii, wyłącznie jedna wersja mnie. Tylko Adam. Jestem już gotowy.

Usta otwierają się, a w środku widzę jeszcze więcej guzów, które kotłują się, pulsują, zamieniają miejscami, dzielą na mniejsze i rosną. Są oślizgłe i pokryte śliną.

Wchodzę tam oczyszczony i wypełniony pożądaniem, a guzy zabierają mnie w dziki taniec, naznaczony ich szaleństwem i moją uciechą. Jestem wciągany coraz głębiej i głębiej w ciepłą, wilgotną przestrzeń. Nagle gdzieś z boku wystrzelują żyły, oplatają mnie niczym łąso, po czym przyciągają do jednej ze ścian przełyku.

Wciskają mnie coraz mocniej. Guzy kleją się do mnie, miażdżąc moje ciało, jestem cały w lepkim śluzie. Nic nie widzę, zaczyna mi brakować tchu. Duszę się.

Czuję ukłucia, tysiące ukłuć, mam wrażenie, że z pokrytego śliną wnętrza gardła wynurzyły się ostre kły. Rozrywają najpierw ubranie, jakby chciały mnie nagiego, a potem skórę. Pożądanie wzmaga się, przychodzi też ulga i uniesienie. Czuję, jak wszystko się krystalizuje, jak rzeczy wpadają na swoje miejsca, jak trybiki maszyny istnieć zaczynają poruszać się z nową energią.

Kły rozrywają mnie powoli, dokładnie. Krew ochlapuje mi policzki. Jestem pożerany. Tyle na to czekałem. Ból jest tak wielki, iż mam wrażenie, że wszystkie komórki mojego organizmu oderwały się od siebie i rozpierzchnęły. Ale cieszę się, bo to jest nic. Zupełnie nic w porównaniu z bólem, który czuję zawsze, a który zaraz zniknie bezpowrotnie.



UPIÓR Z WIDMOWEGO LASU

Antoni Nowakowski

Mały Marcus Jorgensen starannie nastawiał budzik w smartfonie. Dobrze wiedział, jak się to robi, pragnął jednak znacznie zwiększyć siłę sygnału. Do tej pory nigdy się tym nie zajmował, ale sprawa zintensyfikowania głośności okazała się bardzo prosta.

Z zadowoleniem zatarł piąstki i zaczął pogwizdywać. Trudnej sztuki świstania nauczył się dwa tygodnie temu i lubił z niej korzystać.

Pomyślał, że dzisiaj przed północą na pewno dopnie swego. Zbudzi się w środku nocy i sprawdzi coś, co od dawna go niepokoiło.

Ułożył aparat na blacie nocnego stolika. Po krótkim namyśle wsunął go pod kołderkę. Mama niebawem przyjdzie dać mu całusa na dobranoc. Mogła coś zauważyć, a nie chciał przedwcześnie zdradzić swoich zamiarów. Rankiem, przy śniadaniu, i tak z dumą wszystko jej opowie.

Sześćcioletni chłopczyk zamierzał ustalić, czy Widmowy Las istnieje naprawdę, czy może, jak uznawała jego rodzicielka, po prostu ukazuje mu się w śnie. Twierdziła z uśmiechem, że las jest majakiem, sennym omamem, przywidzeniem bez znaczenia.

Pewnie jak zwykle miała rację, ale Marcusa wieczorami wciąż dręczyła niezaspokojona ciekawość. Przecież już dwa razy widział ten bardzo dziwny bór... Przypadkiem, bo przejadł się i nie mógł zasnąć.

Wystarczyło zerwać się w środku nocy, odsunąć rąbek zasłony w oknie i wdrapać na krzeselko. Parkan z prętów, otaczający ogród, znajdował się zaledwie o kilkanaście kroków, a późne wieczory, dzięki pełni księżyca i bezchmurnemu niebu, były teraz bardzo jasne. Zerknie tylko, czy za metalowym płotem wciąż znajduje się asfaltowa droga, łącząca okoliczne posiadłości i wiodąca do miasteczka, czy też ten trakt zniknie, a on ponownie zobaczy bujną knieję. Bardzo dziwną... I malca na jej skraju, pilnie wpatrującego się w przestrzeń, zapewne w dom naprzeciwko.

W willę jego rodziców.

Marcus sądził, że ten niby senny zwid jest jego rówieśnikiem. Wyglądał naprawdę okropnie, prawie jak upiór. Zawsze jednak uśmiechał się. Chyba na kogoś czekał. Może właśnie na niego, Marcusa? Może wcześniej go podpatrzył i dowiedział się, że mieszka blisko?

Całkiem niedawno, z wielką ciekawością oglądając jakiś komiks, najmłodszy mieszkaniec rezydencji dokładnie poznał znaczenie wyrazu *upiór*. Pasował jak ulał do wyglądu zjawy z Widmowego Lasu – tak nazywał krajobraz, oglądany nocami za oknem.

Ale przecież – pomyślał chłopczyk. – Moglibyśmy się razem pobawić. Może on zna ciekawe zabawy? No i w końcu przekonam się, czy to naprawdę sen... A jutro przekażę wszystko mamie. I tatulkowi, jak przyjedzie na urlop. Zdziwi się! Ha!

Ponownie radośnie zatarł piąstki.

Szczęknęła klamka w drzwiach. Klara Jorgensen przybyła, jak czyniła każdego wieczoru, żeby czule utulić do snu swoją latorośl.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

– Cześć – powiedział niepewnie jeden z chłopaczków. – Mam na imię Marcus. A ty? Dzieliło ich wysokie, prętowe ogrodzenie, ale stali zaledwie o krok od siebie.

– André – padła odpowiedź. – Trochę dziwnie wyglądasz... Nawet bardzo dziwnie. I twój las też jest inny. Taki cherlawy...

– Nasz jest naprawdę cudowny! – dodał po chwili André z niekłamaną dumą.

Marcusowi mignęła myśl, że w nocy za ogrodzeniem nie ma ogrodów, tylko bory. Teraz widział dokładnie potężne drzewa, niezwykle wysokie, z rozległymi koronami pełnymi liści i dziwnych owoców. Wszystkie były czarne. Wśród nich dostrzegł piętrowy dom z czerwonej cegły z rozległym tarasem, usytuowany na niewielkiej polanie. Spore okna odbijały światło księżyca.

Dom prezentował się bardzo ładnie, ale Marcus osądził, że jego rodzinna willa w niczym mu nie ustępuje.

– Wcale nie! – oburzył się na wcześniejszą uwagę. – Przecież u nas nie rośnie las! Mamy wspaniały ogród – podkreślił.

– Żebyś wiedział, jak rodzice o niego dbają! – dodał po chwili. – A jak p l o n u j e!
Z dumą użył niedawno poznanego słowa.

– W ogóle nie kupujemy owoców albo warzyw. – Potrząsnął głową. – Maliny, borówki i ożyny rozpływają się w ustach. Tak samo jabłuszka i gruszcзки, gdy dojrzeją. Uwierz mi.

Oczy André'a niespodziewanie błysnęły tak mocno, że Marcus odruchowo się cofnął.

– Nie wiem, o czym mówisz. My nie mamy czegoś takiego... – stwierdził chłopiec, stojący pośród drzew. – Chyba szkoda... Muszę powiedzieć o tym mamie, na pewno coś zaradzi.

Nocny przybysz zza drugiej strony metalowego płotu z zadowoleniem uznał, że sprawa ogrodu została załatwiona. Zagwizdał melodyjnie.

– Ja tak nie umiem... Ładnie brzmi – stwierdził André z zaskokiem. – Podszkolisz mnie? Moja mama na pewno będzie zachwycona. Sprawię jej niespodziankę.

– Pewnie – stwierdził Marcus ochoczo. – Wiesz, gwizdanie nie jest łatwe... Ale, jak nauczysz się odpowiednio układać wargi i nabierać powietrza, idzie jak z płatką. Załatwione.

– Dobra, bardzo dziękuję.

Obaj patrzyli na siebie z zadowoleniem.

– Może się pobawimy? Najlepiej w chowanego, bo nie mamy zabawek – zaproponował André. – Następnym razem przyniosę swoje, a ty swoje. Tylko musisz przejść przez płot. Dasz radę?

– Pewnie. – Marcus ponownie zatarł drobne dłonie. – W rogu ogrodzenia jest l u k a.

Chłopiec, jak z zadowoleniem odnotowywała jego matka, bardzo szybko przyswajał usłyszane nowe słowa, pytał o ich znaczenie, zapamiętywał i często z lubością używał. Miał jednak nawyk ich wyrazistego akcentowania, co czasami zdaniem dorosłych brzmiało śmiesznie. Klara nie strofowała synka, bo wiedziała, że z upływem lat porzuci ten zwyczaj.

– Wiem, bo kiedyś sprawdzałem – ciągnął. – Tata narzekał, że robotnicy pożałowali pręta i powstał o d s t ę p. Precysem się i zaraz będę u ciebie! To potrwa zaledwie chwilkę!

Nowy malec w Widmowym Lesie nawet się nie zdziwił, że ubrany tylko w pidżamkę i bamboszki, wcale nie odczuwał chłodu.

Po prostu uznał, że przestrzeń za ogrodzeniem p r o m i e n i u j e ciepłem.

I był z tego faktu niezwykle zadowolony.

Marcus i André spotykali się wiele razy, zawsze głęboką nocą. Chłopców nie odstraszał odmienny wygląd, raczej zaciekawiał. Teraz już umawiali się na odwiedziny. Przynosili zabawki, wywołujące w nich zdziwienie. Z rozkoszą uczyli się nowych gier i poświęcali temu sporo czasu.

Rankiem Marcus starannie ukrywał ziewanie.

Okazało się, że André jest trochę starszy. Chodził już do drugiej klasy szkoły prymarnej, a potomek rodziny Jorgensenów kończył w tym roku przedszkole, o którym zresztą nowemu koledze opowiadał z wielkim zadowoleniem.

Jednak nieznaczna różnica wieku w niczym im nie przeszkadzała. Spotkania zaczynały ich pochłaniać.

Marcus nawet słówkiem nie zająknął się mamie o swoich nocnych wizytach. Pragnął opowiedzieć o nich wtedy, gdy będzie wiedział w s z y s t k o. I przekazać te dziwne doświadczenia po przyjeździe ojca na urlop.

Olaf Jorgensen był architektem, któremu do projektowania i wykonania powierzano coraz większe i trudniejsze budowy. Sprawiało mu to ogromną radość, ale jednocześnie wiązało się z częstymi pobytami w odległych miejscach. Ostatnio w domu bywał rzadko.

Marcus bardzo za nim tęsknił. Myśl, że po przyjeździe ojca zadziwi go niezwykle opowieścią, wprawiała chłopca w zachwyt, więc na razie milczał jak zakłęty. Tłumaczył sobie, że na wszystko przyjdzie czas, powtarzając w ten sposób maksymę matki. Ciągłe wchłaniał, podobnie jak André, nowe doznania i doświadczenia ze spotkań, więc stale odsuwał w czasie chwilę, gdy wszystko z r e l a c j o n u j e.

Wzajemne wizyty obu młodzieniaszków trwały nadal, ale wraz z upływem dni i miesięcy stawały się znacznie rzadsze. Pewnie po prostu spowszedniały... Mieli też wielu nowych znajomych i kolegów tam, gdzie żyli.

I pewnie dlatego już nie dzieciak, ale wyrośnięty chłopak, którym stał się Marcus, nigdy nie opowiedział ani matce, ani ojcu o tej bardzo dziwnej przyjaźni. I z wielu powodów nie spełnił swojego wcześniejszego zamiaru, związanego z czarnym owocem. Czasami bowiem bardzo poważnie zastanawiał się, czy jednak stale nie przeżywa powracającego snu, tak dziwnego, że wydawał się być rzeczywistością.

Lekarz i psycholog szkolny podczas rutynowych badań stwierdzali, że Marcus imponuje siłą, sprawnością i jest niezwykle zrównoważony.

A jednak w umyśle chłopca cień wątpliwości wciąż pozostawał, a nawet narastał...

Widmowy Las zawsze bardzo zaciekał Marcusa. Był naprawdę osobliwy... Chłopiec, chociaż jeszcze nie młodzieniec, już dawno poznał znaczenie tego określenia. Pasowało jak ulał.

Za domem z cegły, w którym mieszkał André, kryły się inne, niekiedy większe, czasami mniejsze, ale bardzo do siebie podobne budynki. Przybysz zza drugiej strony ogrodu szybko odkrył, że łączą je dobrze utrzymane ścieżki. A od każdego widocznego obejścia biegły kolejne, pewnie do dalszych gospodarstw. Chyba tworzyły płataninę.

Tutaj zawsze było ciepło, Marcus nigdy nie czuł chłodu. To było dziwne.

– Ścieżki są wygracowane – rzucił kiedyś nowy kolega. – Co tydzień mój ojciec i sąsiedzi je wyrównują.

Ten fakt niespecjalnie zainteresował Marcusa, o wiele bardziej ciekawiło go to, że dziwna knieja zdawała się nie mieć końca. W nocy, zwłaszcza, gdy nie świecił księżyc, niewiele było widać, ale przy bezchmurnym niebie korony czarnych drzew rozciągały się aż po horyzont. Wyglądało na to, że potężny las pokrywał cały świat André'a.

Ten niebawem to potwierdził. I zdziwił się bardzo, że za willą Jorgensenów jest zupełnie inaczej.

– Co to są łąki, pola i pastwiska? – zapytał. – Do czego służą?

Marcus mocno się nabiedził, zanim wytłumaczył, że stanowią źródła paszy dla zwierząt i pożywienia dla ludzi. Musiał wiele sobie przypomnieć, a chciał, żeby André dobrze zrozumiał ich rolę. Sam nie wiedział tego dokładnie, więc wyjaśnienie przychodziło z trudnością.

– U nas jest znacznie lepiej, bo zwierzątka pasą się w lesie. Sporo ich mamy – stwierdził z dumą André. – Zwierzaczki są bardzo ładne.

Marcus chciał zapytać, co się z nimi teraz dzieje, ale ugryzł się w język. Przecież było ciemno i na pewno te bydłatka, jak je dla siebie określił, smacznie śpią... Teraz już wiedział, że za domem znajduje się kilka mniejszych zabudowań. Pewnie stanowiły schronienia miejscowych zwierzaczków.

– Jak wyglądają i do czego służą? – zapytał z ciekawością.

– Jak wyglądają? Normalnie. – André wzruszył ramionami. – Niektóre są białe, inne czarne, czasami brązowe. Mają mięciutkie futerko. Dają mleko, a z niego wyrabia się różne produkty. Można też hodować je na mięso, ale mama tego nie robi. Jest wegetarianką i mówi, że zabijanie zwierzątek to obrzydlistwo.

Marcus zakonotował sobie w pamięci, że musi zapytać swoją mamę, co oznacza słowo wegetarianka. Nie rozumiał jego znaczenia, ale nie chciał się do tego przyznać.

– No i mają jeden róg pośrodku głowy – ciągnął André z dziwnie filuternym uśmiechem. – Wiesz, ty na pewno nie jesteś zwierzaczkiem, ale są trochę do ciebie podobne. Ale mi to u ciebie nie przeszkadza.

Marcus pokiwał głową. Uznał, że spostrzeżenie André'a jest słuszne. Ucieszył się, że jego wygląd, odmienny od wyglądu André'a, nie razi nowego znajomego.

– Jak się nazywają? – zadał kolejne pytanie. Nie miał zamiaru ciągle używać wyrazu *zwierzątko*. Na pewno posiadały jakieś miano.

– Jednorożce – padła odpowiedź. – To przecież proste.

– Aha... – skwitował Marcus. Nazwa nic mu nie mówiła, kojarzył tylko, że to chyba dobry stwór z bajek.

Rozmowy, wcale nie takie długie, André i Marcus prowadzili podczas przerw w rozgrywaniu gier. Często też w czasie ich trwania, jeżeli przygotowania do bitwy długo trwały.

Okazało się, że André dysponuje bardzo dobrą konsolą. I teraz obaj malcy siadali pod wyniosłym czarnym drzewem – zawsze stał tam stół – i rozpoczęli starcie, nieraz trwające przez kilka spotkań.

Marcus zauważył ze zdziwieniem, że źli bohaterowie są bardzo do niego podobni, natomiast ci dobrzy, często ciemniejsi i łupieni, usiłujący się wyzwolić, stanowią kopie André'a. Mocno go to zdziwiło. Musiała być tego jakaś przyczyna.

Szybko doszli do wspólnego wniosku, że będą grali naprzemiennie, raz jednymi, następnym razem drugimi bohaterami. Marcus już nie dociekał, czemu tak jest, bo gry okazywały się bardzo pasjonujące. Trudno było odnieść sukces.

Za to Marcus często wracał do pytań o Widmowy Las.

Chyba zaczynał go fascynować.

– Daleko się ciągnie? – zagadnął kiedyś.

– Jest wszędzie – pewnym siebie tonem odpowiedział André. – Pokrywa cały nasz świat. Wiesz, może kiedyś ogarnie i wasz. Las jest... nieskończony.

To było dziwne stwierdzenie. Marcus następnego popołudnia, w rodzinnym domu, długo się nad nim zastanawiał.

Doszedł do wniosku, że wcale nie byłby z tej e k s p a n s j i Widmowego Lasu zadowolony. Jego ogród był przecież wspaniały i bardzo lubił pomagać mamie w pracach porządkowych. Pocieszył się myślą, że pewnie wtargnięcie Widmowego Lasu nie nastąpi prędko.

W natłoku nocnych rozmów, zabaw i dyskusji Marcus początkowo zapomniał dowiedzieć się o jednej sprawie.

Był bardzo ciekaw, jak smakują te dziwne owoce, gęsto rosnące na czarnych drzewach. Były duże, naprawdę wielkie, najbardziej masywne ze wszystkich, które do tej pory widział, i trochę przypominały olbrzymie kiście winogron. I wszędzie dookoła były takie same. Bardzo go intrygowały.

Ale szybko, już podczas trzeciego spotkania, przypomniał sobie o nich.

– One są bardzo smaczne i bardzo... p o ż y w n e – odpowiedział André. Niepodziewanie, pewnie wzorem Marcusa, też zaczął mocno akcentować niektóre słowa.

Teraz, bez zachęty, jakby czuł, że Marcus bardzo interesuje się leśnymi owocami, rzucił okiem na wyrośnięty konar nad ich głowami i kontynuował opowieść.

– Jeszcze niedojrzałe, ale potem wszystkie zbierzemy. Mamy takie specjalne wisielniki dla wyżej położonych gałęzi. Wiesz, wszyscy później je suszą i składają w

spizarniach. Moja mama mówiła, że są podstawą naszego wyżywienia. A jakie smaczne! Najlepsze są świeże.

– Załatwisz mi jeden owoc do spróbowania? – zapytał niespokojnie Marcus.

– Pewnie. – André pokiwał głową. – Nie będzie kłopotów. Ale pamiętaj, jeden starcza na wiele dni... Niedługo zacznie się zbiór, a on trwa parę miesięcy, bo owoców jest zatrzęsienie. Teraz pograjmy, bo czas leci.

To zapewnienie wystarczyło. Wrócili do konsoli i kontynuowali pasjonującą rozgrywkę.

Marcus w duchu szykował się na poznanie smaku tego dziwnego, barwą przypominającego smołę, owocu.

I na opowiadzenie o wszystkim mamie, gdy zdobędzie doświadczenie z pobytu w Widmowym Lesie. Myślał też o tym, żeby poprosić o jeszcze jeden czarny owoc, przynieść go do domu i tryumfalnie pokazać mamie.

W ogrodzie kamień nagrobny z czarnego granitu prezentował się wspaniale. Marcus tępo się w niego wpatrywał.

Pod głazem spoczywała urna z prochami jego ojca. Zginął w głupim wypadku samochodowym, gdy wracał po zakończeniu kolejnej ważnej budowy. Jakiś chłystek spieszył się, dociskał gaz do dechy, wymusił pierwszeństwo...

Mama postanowiła skremować zwłoki i zakopać je obok domu, żeby mieć blisko do grobu ukochanego męża. Tak często czyniono. Mama nadal przeżywała ciężkie załamanie psychiczne. Całkowicie posiwiała.

Pogrzeb zakończył się kilkanaście minut temu.

Jedna myśl tłukła się w głowie młodego Jorgensena – już nigdy nie opowie tacie o swoich studiach na wydziale mechaniki kwantowej. Nigdy, tak samo, jak o wielu innych sprawach. Dostał się na renomowaną uczelnię z bardzo wysoką lokatą, a konkurencja była, jak to sam określił, mordercza.

Już nie dowie się, co ojciec sądzi o Widmowym Lesie.

Bardzo dziwna myśl przysłała mu do głowy. Właściwie niepoważna i śmieszna zachcianka, ale niezwykle kusząca.

Chciał nastawić budzik w smartfonie, obudzić się w środku nocy i w końcu ustalić, czy Widmowy Las naprawdę rośnie tam, gdzie go widział. I czy znowu spotka André'a.

Dziwaczna puszcza nie powinna przecież istnieć... To było po prostu niemożliwe. Egzystowała tylko w jego dziecięcych snach, trwała uparcie, on sam wymyślił sobie ten bajkowy świat.

Marcus uważał, że jest to winien swojemu kochanemu rodzicielowi. Rankiem pójdzie na grób i wszystko mu opowie. Ojciec, gdyby żył, po prostu uśmiechnąłby się dobrotliwie.

Gdyby uczynił tak wcześniej, jeszcze jako dzieciak, tata pogłaskałby go czule po główce.

Z uwagą spoglądali na siebie. Marcus doszedł do wniosku, że André bardzo podrośł. I zmężniał.

Wyglądał tak samo dziwnie, jak kiedyś. Nic się nie zmieniło. Tylko teraz wydawało się, że jego postać jest nieco zamazana. Po prostu niewyraźna.

– Teraz już nie przecisnąłbyś się przez tę swoją l u k ę. Dryblas z ciebie się zrobił. – Z uśmiechem zauważył młodzieniec, stojący po drugiej stronie ogrodzenia. – Ja też już nie... Wiesz, nieostro cię widzę... Ale to wcale nie jest dziwne.

– Naprawdę istniejesz? – Marcus zadał pytanie, na które nadal nie znał odpowiedzi. – Wiesz, mój tata zginął, a mama się załamała... Chciałem – ciągnął z widocznym trudem – pójść na grób i opowiedzieć ojcu o nas. Dziwna zachcianka, ale wcześniej nawet nie napomknąłem o naszych spotkaniach. Dziecięca tajemnica...

Rzucił okiem na Widmowy Las. Pnie czarnych drzew jeszcze bardziej spotężniały, a konary się rozrosły. Wszystko przypominało dziwaczny kolumnadę, uszeregowaną w linie, ginące gdzieś w oddali. Prawie przesłoniły dom z czerwonych cegieł ze sporą werandą.

– Tak, jestem bytem rzeczywistym, tak samo jak mój świat. – André uśmiechnął się szeroko. – Tylko nie opowiadaj o tym nikomu, nawet mamie... Wezmą cię za wariata. Wiesz, wytłumaczenie jest bardzo proste. Dziecinnie proste, i to, że właśnie dziecinne, jest kluczem.

Oczy młodzieńca błysnęły w świetle księżyca. Marcus, tak jak kiedyś, mimowolnie się cofnął.

– Jestem starszy od ciebie o półtora roku, więc wcześniej doszedłem do prawdy. Też domyśliłbyś się, w czym rzecz. Wielcy z nas odkrywcy...

Niespodziewanie zachichotał.

– Ten metalowy parkan jest granicą światów równoległych. – Wzruszył ramionami. – I tyle. Styk jest chyba bardzo wąski, może jedyny, i znajduje się właśnie tutaj... Niekiedy widzą je dzieci, tak jak my ujrzelśmy. Ale kto wierzy w dziecięce fantazje? Ach!

Niespodziewanie klepnął się otwartą dłonią w czoło.

– Wiesz, zapomniałem przekazać ci coś ważnego – oznajmił tryumfalnie. – Posłuchaj!

Ułożył odpowiednio wargi i zaczął gwizdać, tęskną, ładnie brzmiącą melodyjkę. Nagle odpowiedział mu świergot ptaka w głębi Widmowego Lasu, pewnie zbudzonego muzycznym popisem André'a.

– Bardzo długo to trwało, ale dałem radę – stwierdził z satysfakcją. – Pewnie jednak mamy nieco inaczej zbudowane struny głosowe. Zamierzałem opowiedzieć wszystko swojej mamie i poprzeć historię świstaniem, ale zeszło... I tak by pewnie nie uwierzyła.

Nagle André znowu powtórzył poprzedni gest, uderzenie palcami w czoło. Widać było, że poczerwieniał, może z gniewu. Szperał w kieszeniach oraz za pazuchą kurtki, jakby czegoś szukał.

– Ależ ze mnie dureń! – Prawie krzyknął. – Wybacz! Chciałem dać ci przyrzeczony czarny owoc, ale albo zapomniałem go zabrać, albo zgubiłem... Już nie poznasz jego konsystencji i smaku, a tak cię interesowały.

– Trudno – Marcus pokiwał głową. – Martwemu tacie już nic nie powiem, a mamie... Jej to i tak nie zainteresuje, ciągle sądzi, że ojciec jednak wróci.

Obaj milczeli przez chwilę.

– Czemu widzę cię nieostro? – zapytał młody Jorgensen, zaciekawiony dziwnym widokiem przyjaciela. Teraz to dostrzegł. – A pogwizdywanie naprawdę świetnie ci wychodzi.

– Czemu? Bo dorośliśmy – poważnym tonem odpowiedział André. – I staliśmy się racjonalni... A to powoduje, że tracimy umiejętność dostrzegania czegoś wymykającego się zwykłym doznaniom...

Zamyślił się.

– Chyba widzimy się ostatni raz, przyjacielu – kontynuował ze smutkiem w głosie. – Jesteśmy już za starzy na wspólne zabawy... Dobrze było cię znowu spotkać.

– Ciekawe wyjaśnienie... – stwierdził Marcus poważnym tonem. – Muszę je przemyśleć. Wiesz, właściwie nawet nie wiem, jak się nazywasz. I co teraz porabiasz?

– Jacobsen. Studiuję fizykę i mechanikę kwantową. – André wzruszył ramionami. – Po prostu wykorzystuję nabytą do tej pory wiedzę. Przydaje się.

– Tak jak ja. – Młody Jorgensen uśmiechnął się. – Nasze życiorysy układają się bardzo podobnie. Ciekawe.

Wszystko, co go otaczało, a także postać Jacobsena, oddalonego zaledwie o dwa kroki, było rzeczywistością. Inną, do której nawykł i w której żył, ale tak samo prawdziwą.

Teraz nareszcie to wiedział. Skonstatował ze smutkiem, że za późno.

– Powiedz jeszcze jedno. – Marcus nagle zadał pytanie, które już dawniej chciał wypowiedzieć, ale jakoś nie śmiał. Zresztą, pochłaniały go zabawy. – Nie przestraszyłeś się mojego wyglądu? Bo ja twojego bardzo, ale przyzwyczailem się, chociaż tak do końca dopiero przed chwilą. Teraz mnie już w ogóle nie razi widok dwóch oczu obok nosa.

André pokiwał głową.

– Ja byłem i jestem ciekawski, więc twoja czerwona źrenica pośrodku czoła niespecjalnie mnie poruszyła. Pomyślałem sobie tylko, że jesteś jakimś dziwolągiem. Odmieńcem... Cóż, byliśmy dziećmi, wiele wtedy mogliśmy sobie wyobrazić... I nic nas nie raziło. Przyznaję jednak, że sprawiłeś naprawdę niesamowite wrażenie.

W oku Marcusa sylwetka Jacobsena coraz bardziej się rozmazywała. Nikła. Chyba André miał podobne odczucia, bo nagle rzucił:

– Nadszedł czas rozstania... Żegnaj, przyjacielu. Dobrze, że się jeszcze spotkaliśmy.

W otworze między prętami ukazała się już tylko dłoń i część ręki, reszta ciała pozostała niewidoczna. Chłopiec z jednym okiem uściśnął ją mocno, odwrócił się i ruszył do domu.

Po przejściu kilku kroków obejrzał się. Widział już tylko jasno oświetlony latarniami drogowymi asfaltowy gościniec. W środku nocy ruch był niewielki, jezdnię przemierzały głównie wielkie ciężarówki i furgony dostawcze.

Widmowy Las zniknął. Marcus rozumiał, że bezpowrotnie.

Serce młodzieńca nagle przeszły iskierka żalu. Może dlatego, że dobrze widział, że nigdy już nie spotka swojego jedyne przyjaciela z okresu dzieciństwa, dwuocznego André'a Jacobsena.

7 czerwca 2020 r



W NOCY SIĘ ŚPI

Kuba Wnęk

Zima tamtego roku nie chciała się skończyć. Kilka dni ciepła przeplatało się z tygodniami siarczystego mrozu, a ja, jak zazwyczaj o tej porze roku, pochłaniałem więcej tabletek niż jedzenia. Zawsze około grudnia, kiedy tak naprawdę dopiero zaczynały się mrozy, byłem już wrakiem człowieka. Brak słońca i krótki dzień wybijały mnie z rytmu życia. Przez różnego rodzaju środki uspokajające i przeciwbólowe kładłem się o świcie, a budziłem o zmierzchu. Nocami snułem się po mieszkaniu, nadrabiałem zaległości w pracy i wysyłałem raporty do kierownika, którego nie tylko nigdy nie widziałem na własne oczy, ale z którym nie rozmawiałem nawet przez telefon. Krótkie maile i dźwięki nadejścia wiadomości stanowiły jedyne tło długiej, zimowej nocy. Do czasu.

Mieszkałem wtedy w dość wygodnej kawalerce w spokojnej willowej dzielnicy Wrocławia. W moim bloku na stałe przebywało tylko kilka osób, zdecydowana większość, wliczając mnie, wynajmowała mieszkanie w dość atrakcyjnej cenie. Sąsiadów widywałem rzadko, bo nie za często opuszczałem swoje cztery ściany. Ci, których udawało mi się poznać, wyprowadzali się zazwyczaj po kilku miesiącach, a na ich miejscu pojawiali się nowi. Przeważnie studenci, młode pary i cały przegląd chcących żyć bez pieniędzy.

Jedną z niedogodności mieszkania w tamtym miejscu były długie korytarze, które prowadziły do dwudziestu lokali. Moje mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze, po prawej stronie mniej więcej pośrodku klatki. W sąsiednim, od strony schodów, mieszkał dość osobliwy jegomość o tubalnym głosie i nienachalnych manierach, który nagabywał mnie przy każdej okazji. Pogadywał to o piłce nożnej, to o polityce, a ja zazwyczaj otumaniony lekami kiwałem głową i słuchałem jego monologów. Mieszkanie z drugiej strony od zawsze stało puste. Nigdy nie widziałem ani nie słyszałem tam nikogo. O pozostałych sąsiadach nie wiedziałem absolutnie nic. Czasem tylko dochodziły do mnie głośne kłótnie młodych par, zamkniętych po raz pierwszy w jednym pomieszczeniu, albo huczne parapetówki nowo wprowadzonych, których po kilku latach przestałem zapamiętywać.

W grudniu, nie wiem czy było przed czy po świętach, wydarzyło się coś, co całkowicie zmieniło moje życie, choć do tej pory nie mam pewności czy wydarzyło się to naprawdę. Przy całym swoim pragmatyzmie zawsze byłem zdania, że świat nie składa się tylko z fizycznej strony i muszą istnieć siły niewidzialne czy niewytłumaczalne. Życie głównie w nocy oraz zażywanie ogromnej ilości leków bez wątpienia wprowadzały mnie w charakterystyczny stan świadomości. Jeśliby jednak ktoś z was zapytał czy to wszystko istotnie mnie spotkało, bez wątpienia odpowiedziałbym, że tak.

Któregoś wieczoru, gdy wstawałem z łóżka, usłyszałem rozmowę na korytarzu. Nie wiem, co mnie podkusiło, ale po cichu podszedłem do drzwi i wyjrzałem przez dziurkę od klucza. Niestety w starych drzwiach, których właściciel nie zgodził się wymienić, nie było wizjera. Zobaczyłem wielką dłoń tubalnego sąsiada i usłyszałem jak mówi do kogoś *witamy, cieszymy się* i inne głodne kawałki, które serwuje się nowym lokatorom. Reszta rozmowy umknęła w pogłosie korytarza. Udało mi się tylko wychwycić piskliwy, nieznany głos rozmówcy. Po chwili usłyszałem jak otwierają się drzwi w zawsze wolnym mieszkaniu. Wzbudziło to we mnie pewien dyskomfort. Przy moim trybie życia taki bufor oddzielający od reszty świata był czymś niezwykle cennym. Czułem, jakby ktoś obdzierał mnie z prywatności.

Przez dłuższą chwilę siedziałem na kanapie, wpatrując się w ścianę, zza której po raz pierwszy dochodziły dźwięki. Nowy sąsiad przestawiał meble, odkręcał kran, spuszczał wodę, otwierał okno, rozmawiał z kimś prawdopodobnie przez telefon – słowem doprowadzał mnie do szału. Wstałem gwałtownie z myślą, że pójdę do sklepu. Po cokolwiek. Przechodząc przez kuchnię, zobaczyłem na zegarku, że jest już po jedenastej. Oznaczało to długą wyprawę do nocnego sklepu przy ruchliwym skrzyżowaniu. Zrezygnowałem ze spaceru i postawiłem sobie kawiarkę na gazie. Nie lubiłem kawy. Bolała mnie od niej głowa. Piłem ją trochę za

karę. Wiedziałem, że mam pewne obowiązki. Wszystkie leki, które brałem bardzo mnie spowalniały, a kawa dawała chwilowe pobudzenie.

Wróciłem do pokoju, usiadłem przy biurku pod jedynym oknem i włączyłem komputer. Jak zwykle w skrzynce mailowej była jedna nowa wiadomość od mojego szefa. Jak zwykle miałem wykonać ten sam raport. Wziąłem łyk kawy, założyłem słuchawki i usiadłem do pracy. Lubiałem to zajęcie. Nikt w zasadzie niczego ode mnie nie chciał, pod warunkiem, że każdego ranka dostarczałem wymagane zestawienia. Wtedy jednak nie mogłem się skupić. Co chwila dochodziły zza ściany jakieś głośne szmery. W pewnym momencie miałem nawet wrażenie, że nowy sąsiad wbija gwoździe. Było już dobrze po północy a cały czas, nawet ze słuchawkami na uszach, słyszałem jakieś dźwięki.

Pracę skończyłem koło czwartej rano. Dopilem zimną kawę i rozbolała mnie głowa. Wziąłem zwyczajową garść pastylek i usiadłem na kanapie. Zza ściany dalej słyszałem wysoki, piskliwy głos nowego sąsiada. *W nocy się śpi!* pomyślałem i wyjrzałem przez okno. Ciemność odrobinę mnie uspokoiła. Bezlistne drzewa delikatnie kołysały się na wietrze, a prószący śnieg tańczył wokół poświęty migoczącej latarni. Zdałem sobie sprawę, że nie słyszę już nowego lokatora. Czułem satysfakcję, jakby udało mi się go uciszyć siłą woli. Usiadłem z uśmiechem na swoim ulubionym miejscu i wyzywająco patrzyłem na współdzieloną ścianę.

Nie miałem na niej żadnych obrazów czy plakatów. Zwykła ściana z niezwykle brzydką tapetą. Wpatrywałem się w jej fakturę w półmroku i delectowałem ciszą. Małe kropki chropowatej okleiny z lat dziewięćdziesiątych zaczęły się poruszać. Część z nich złączyła się w centralnym punkcie ściany, a inne z coraz większą prędkością krążyły wokół tego punktu jak woda w kranie po wyciągnięciu korka. Próbowałem wstać. Próbowałem odwrócić wzrok. Próbowałem krzyknąć. Żaden mięsień w moim ciele nie odpowiedział na moje sygnały. Siedziałem przykuty do kanapy i z coraz większym przerażeniem obserwowałem to widowisko.

Ściana wybrzuszyła się w moim kierunku. Prawie dotknęła mojej twarzy. Następnie z ogromną siłą wklęsała w mieszkanie sąsiada i rozpadła się na kawałki. Na środku pokoju stała mała, naga, zarośnięta postać ze spuszczoną głową. Widziałem, że porusza ustami, ale nie słyszałem żadnych dźwięków. Czułem tylko coraz szybsze bicie serca i krew pulsującą w tętnicy szyjnej. Sąsiad podniósł powoli głowę i ruszył w moim kierunku. Im bliżej był, tym wyraźniej słyszałem jego piskliwy głos. Z każdym jego krokiem wyłaniały się słowa: *nocy, nocu*. Wszystkie włosy na rękach zrobiły się sztywne i kłuły mnie jak szpilki. *W nocy, w nocy* piskliwy głos był coraz bliżej mnie. Kiedy postać stanęła bezpośrednio przede mną, poczułem

słodkawy zapach, kojarzący mi się z wakacjami na wsi, podczas których znalazłem z kolegami martwego kota w piwnicy dziadka.

Sąsiad zaczął się powoli schylać. Skrzek, który jeszcze przed chwilą był tylko szmerem świdrował mi głowę wyciskając łzy z oczu.

– W NOCY SIĘ ŚPIIIIIIIIIIIIIIIIIIIII! – krzyknął mi prosto w twarz tak głośno, że poczułem jak krew wypływa mi z uszu i straciłem przytomność.

Obudziły mnie promienie słońca. W pokoju nie było widać śladu po wczorajszych wydarzeniach. Spojrzałem na zegarek na kuchence, wskazywał jedenastą czterdzieści cztery. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnio byłem na nogach o tej porze. Uznałem, że to wszystko sen, że przesadziłem z lekami, albo zmieszanie ich z kawą wywołało majaki. Podszedłem do ściany i sprawdziłem ręką czy, aby na pewno stoi stabilnie. Wszystko wydawało się być w porządku. Za najdziwniejsze uznałem to, że nie byłem śpiący. Zrobiłem sobie pierwsze od lat śniadanie, jajecznicę na boczku z roztopionym żółtym serem. Po jedzeniu jeszcze raz dokładnie obejrzałem całe mieszkanie. Szukałem śladów po potężnej eksplozji, która rozsadziła ścianę. Wszystko jednak było na swoim miejscu. Pogoda za oknem zdążyła się już popsuć, a ja całkowicie pewien, że wydarzenia z wczorajszej nocy nie miały miejsca, wszedłem do łazienki. To co zobaczyłem w lustrze sprawiło, że znów poczułem na całym ciele ukłucia stroszących się włosów.

Z uszu, aż do szyi ciągnęły się zastygnięte strugi krwi. Spróbowałem się poruszyć. Tym razem nic mnie nie powstrzymało. Szybko umyłem twarz i szyję. Wybiegłem z łazienki, złapałem kurtkę, portfel, schowałem laptopa do plecaka i bez zamykania drzwi wybiegłem z mieszkania, a potem z bloku prosto w śnieżną zawieję. Z trudem utrzymywałem równowagę na oblodzonym chodniku. Gdy byłem po drugiej stronie ulicy mimowolnie się odwróciłem. Spojrzałem w okno sąsiada. Dostrzegłem tylko falującą firankę, ale głęboko w głowie usłyszałem świdrujący krzyk kudłatej postaci: *W NOCY SIĘ ŚPIIIIIIIIIIIIIIIIIIIII!* Ruszyłem przed siebie, nie robiąc już żadnych przystanków. Choć oddalałem się z całkiem niezłą jak na te warunki atmosferyczne prędkością, krzyk nie tracił na sile, tylko przechodził w jednostajny pisk. Wydawał się wręcz poruszać razem ze mną.

Gdy dobiegłem do skrzyżowania zdałem sobie sprawę, że nie wiem, dokąd iść. Lata pracy w porze nocnej doprowadziły do zerwania przeze mnie wszelkich kontaktów towarzyskich. Do tego dochodziło jeszcze moje niezbyt przychylne usposobienie, przez które nie utrzymywałem stosunków nawet z rodziną. Rozejrzałem się wokół. Świat za dnia wydawał mi się dziwny i obcy. Nie był to, co prawda, lipcowy słoneczny poranek, a ponure śnieżne południe, mimo to czułem się jak kret, który pierwszy raz wyszedł na słońce.

Pomimo ciągłej obecności skrzekliwego wrzasku jeżdżące tramwaje i ruch uliczny w dziwny sposób mnie uspokoiły. Słyszałem je, co znaczyło, że nie zwariowałem. Odrobine onieśmielony, ale i rozluźniony obecnością innych ludzi postanowiłem sprawdzić, co mam przy sobie. Powrót do mieszkania na tamtą chwilę nie wchodził w grę. Zacząłem od plecaka. Na szczęście były w nim klucze. W kieszeni kurtki znalazłem telefon, a w rękawie czapkę, szalik i jedną rękawiczkę. Druga musiała mi wypaść podczas ucieczki. Nosilem je od dziecka i zawsze przypominały mi moją babcię. Uśmiechnąłem się do siebie i usiadłem na ławce na przystanku tramwajowym.

Skrzek powoli rozplywał się w dźwiękach miasta, a ja marzęm zastanawiając się, co zrobić. Zaczynało się ściemniać, co znaczyło, że spędziłem na mrozie kilka godzin. Sprawdziłem w telefonie, do kogo mam jeszcze numer. Rodziny nie chciałem straszyć, a znajomych nie miałem wcale. Zdałem sobie sprawę, że nie mam dokąd iść ani do kogo zadzwonić. Jedynek kontaktem, o którym wiedziałem, że jest aktualny, był numer do mojego szefa. Jednak on mieszkał w Nowym Jorku, a poza tym nigdy z nim nie rozmawiałem. Z nieskrywanym przerażeniem godziłem się z koniecznością powrotu do domu.

Palce dłoni, na której nie miałem rękawiczki, bolały mnie z przemarznięcia. Zacząłem się robić senny i głodny. Wstałem z ławki i poszedłem do sklepu po drugiej stronie ulicy. Wziąłem zieloną herbatę i flaki w słoiku. Podczas stania w kolejce, wsłuchiwałem się w muzykę puszczaną z głośników, jakbym próbował sprawdzić czy jeszcze dociera do mnie przeraźliwy krzyk, przed którym uciekałem w popłochu. Doszedłem do wniosku, że i tak nie mam wyjścia. Choćby nie wiem co na mnie czekało, nie mogłem uniknąć konfrontacji. Przy kasie kupiłem jeszcze paczkę papierosów i zapalniczkę. Od kilku lat nie paliłem, stwierdziłem jednak, że w moim obecnym położeniu odnowienie nałogu to najmniejszy problem.

Nie spieszyłem się z powrotem, choć byłem zmarznięty, zmęczony i głodny. Droga, którą wcześniej przebyłem w kilka minut, teraz zajęła mi co najmniej trzy kwadranse. Paląc papierosa za papierosem, wsłuchiwałem się w otaczające mnie dźwięki. Po skrzekliwym pisku nie było już śladu, a ja marzyłem o ciepłej kąpieli i posiłku. Sprawdziłem zmarzniętą ręką, czy nie leci mi krew z uszu. Znalazłem jedynie resztkę tej zaschniętej. Spojrzałem na ścianę mojego bloku, zgasiłem papierosa na kubie na śmieci i ruszyłem w stronę drzwi.

Będąc już przy domofonie, zdałem sobie sprawę, że nie pamiętam kodu do bramy. Zacząłem szukać w plecaku kluczy i poczułem, że ktoś za mną stoi. Odsunąłem się nerwowo, nie przerywając grzebania. Tubalne *dzień dobry panu* tak mnie przestraszyło, że upuściłem plecak. Sąsiad uśmiechnął się do mnie, i schylił po moje rzeczy. Przez spód plecaka wypływał rosół z flaków. Przypomniałem sobie, że przed wybiegnięciem z domu, wrzuciłem do niego

też komputer. Pospiesznie otworzyłem wewnętrzną kieszeń i wsunąłem rękę. Wszędzie były resztki słoika i niedoszłego obiadu. Odpowiedziałem *dzień dobry*, wytarłem rękę w spodnie i zapytałem sąsiada, czy mógłby otworzyć drzwi. Mężczyzna wpisał kod i pociągnął za klamkę. Wszedłem przed nim. Chciałem szybko wbiec na górę i uniknąć pogaduszek. Zatrzymałem się jednak i odwróciłem. Musiałem się czegoś dowiedzieć. Zapytałem, czy nie wie czegoś o nowym lokatorze z naszego piętra. Spojrzał na mnie zdziwiony i odpowiedział, że ostatnio wprowadziła się tylko para studentów na parterze. Dość opryskliwie, tracąc już cierpliwość, zapytałem z kim w takim razie rozmawiał wczoraj wieczorem na klatce. Sąsiad zmarszczył brwi, poinformował mnie, że to, co prawda, nie moja sprawa, ale wczoraj na klatce rozmawiał przez telefon z nowym pracownikiem. Pożegnał się uprzejmie i zaczął wchodzić po schodach.

Stałem ogłupiały, a po chwili poczułem, że coś się o mnie ociera. Spojrzałem w dół i zobaczyłem małego czarnego psa, który zlizywał resztki rosołu z moich spodni i podłogi korytarza.

– Chodź tu, zostaw pana! Przepraszam bardzo, on wszystko zjada. Dobranoc.

– Dobranoc – odpowiedziałem młodej kobiecie i udałem się na górę.

Podszedłem do uchylonych drzwi swojego mieszkania. Byłem zbyt zmęczony, żeby sprawdzać te, zza których wczoraj dobiegał przejmujący wrzask. Wszedłem do środka, zamknąłem zamek i wyciągnąłem komputer. Nie dość, że był zalany, to jeszcze przy upadku zepsuł się monitor. I tak nie usiadłbym do pracy, wyłączyłem więc telefon i wziąłem prysznic.

Po wyjściu z łazienki przyjrzałem się pokojowi. Wszystko było bardzo zwyczajne. Za ścianą było cicho. Zaparzyłem herbatę i usiadłem na kanapie, z której dzień wcześniej nie mogłem się podnieść. Spojrzałem na zegarek, wskazywał siedemnastą czterdzieści cztery. Zazwyczaj o tej godzinie dopiero wstawałem, a dzisiaj oczy same mi się zamykały. Nie walcząc ze zmęczeniem, po kilku minutach zasnąłem.

Przespałem całą noc. Poranek był jak na tę zimę pogodny i bezchmurny. Wydarzenia sprzed dwóch dni wydawały się nierealne, a ja byłem wypoczęty jak nigdy wcześniej. Wyrzuciłem przez okno i zapatrzyłem się na sikorki, wyjadające ziarno z karmnika, który ktoś powiesił na rajskiej jabłoni pod blokiem. Dopilem herbatę i wyrzuciłem zbity słoik z plecaka do śmieci. Byłem bardzo głodny, więc postanowiłem wyjść po coś do jedzenia. Po otwarciu drzwi zobaczyłem jakiś przedmiot na mojej wycieracze. Schyliłem się niepewnie. To była druga rękawiczka, która musiała mi wczoraj wypaść z rękawa. Podniosłem ją i zauważyłem, że wystaje z niej kawałek papieru. Rozejrzałem się po korytarzu i gdy nie zauważyłem nic

dziwnego, powoli rozwinąłem kartkę. Dziwnym, poskręcany pismem napisano na niej jedno zdanie: *W nocy się śpi.*

Nie wiem, kim lub czym była postać, która nawiedziła mnie tamtej grudniowej nocy. Nie wiem, czego ode mnie chciała i dlaczego przyszła akurat do mnie. Z tamtego bloku wyprowadziłem się dopiero po pięciu latach. W mieszkaniu obok nikt nie zamieszkał i nigdy już nie słyszałem dochodzących z niego dźwięków.

Niestety, nie tylko nie wysłałem raportu, ale także zniszczyłem firmowy sprzęt. Nie dość, że straciłem pracę, to na dodatek zostałem obciążony kosztami. Choć lubiłem poprzednie zajęcie, szybko znalazłem inne.

Rzadko rozmawiam o tamtych wydarzeniach. Niewiele osób wierzy w moją opowieść. Ja jako dowód mam tylko odnalezioną rękawiczkę i dziwny liścik znaleziony na wycieracze. Nie wiem, czym można by wytłumaczyć tę historię. Wiem tylko, że od tamtego czasu nie przespałem już ani jednego dnia.

ZOSTANĄ PO NAS

ZDJĘCIA

Adam Raglan

Podeszli we dwoje pod dom. Ona rozglądała się niepewnie, chowając nerwowo dłonie w kieszeniach. W ciemności brązowe włosy spływały jej na ramiona, zlewając się z kurtką w jedną plamę, i tylko blada twarz wyróżniała się w nocnej scenerii. On szedł pewnym krokiem, w jednej dłoni trzymając latarkę, świecącą prosto pod nogi, w drugiej dużą skórzaną torbę. Pod szarym płaszczem widać było jasną koszulę, luźno rozpiętą pod szyją.

– Kiedy to było? – zapytał zatrzymując się zaraz za furtką, na zarośniętej ścieżce.

– Już trzy tygodnie będą – odparła, stając za nim.

Ciepłym promieniem latarki potoczył po ścianach domu i okolicy, z uwagą omijając okna. Gospodarstwo było opuszczone od lat. Farba odpryskująca od desek przypominała z trudem odchodzącą od jaszczurzego cielska wylinkę, tyle że pod nią nie rodziło się nic nowego. Drewniane ściany nasiąkały wodą, a na miejsce starej elewacji niepostrzeżenie zakradały się porosty i grzyby. Wysoka trawa okalająca posesję, wdzierając się na schodki prowadzące do wejścia, jakby sama próbowała dostać się do środka przez uchylone drzwi.

– Ze dwadzieścia dni, tak? No trudno – westchnął.

– To źle?

– Źle nie. Nie na wszystko mamy wpływ. Najwygodniej jest działać zaraz po śmierci, ale nie każdy raczy umierać tuż przed nowiem. Chodzi o to, że na podjęcie działań mamy czterdzieści dni. W idealnych warunkach, możemy mieć w tym czasie dwie próby, gdyby coś poszło nie tak za pierwszym razem. Cykl księżycowy trwa dwadzieścia dziewięć dni i pół dnia, tak więc moglibyśmy w okresie czterdziestu dni od śmierci, trafić na nów dwa razy. Niestety rzadko się to zdarza – zauważył, kierując światło latarki na niebezpiecznie wygięty ku dołowi dach.

Nie odpowiedziała nic. Poruszyła nerwowo ramionami, rozglądając się dookoła.

Z cichym kliknięciem guzika zgasił ukrytą w niewielkim reflektorze żarówkę, a dookoła zapanowała nieprzyjemna ciemność.

– Do środka wchodzimy bez światła – powiedział, czując na sobie jej pytające spojrzenie.

Musiało minąć jeszcze kilka chwil, zanim oczy przyzwyczyły się do szarych konturów pozbawionych barw. Nawet światła wiejskich latarni prawie do nich nie docierały. W bezksiężycową noc tylko gwiazdy jaśniały na niebie.

– Jestem tam potrzebna? – zapytała niepewnie i obejrzała się za siebie na zaparkowany samochód.

– Nie. Ale mogłabyś pomóc. Łatwiej jest pracować, kiedy rodzina zmarłego znajduje się w jego otoczeniu. Zwykle przyspiesza to proces. Szczególnie w przypadku dzieci. Zazwyczaj też bliscy są w okolicy, bo najczęściej pracuję w domach rodzinnych, a to... potwornie ponure miejsce – zauważył i skrzywił się w niewyraźnym grymasie.

– Nie znałam jej nawet. To był noworodek.

– Ale to bliskie pokrewieństwo. Jesteś jej ciotką, prawda? Twoja siostra ją urodziła.

Skinęła głową, a potem dodała krótkie „tak” orientując się, że mógł nie zauważyć jej gestu w ciemności.

– Czemu tutaj? – Schował latarkę do torby.

– Nikt nie wiedział o ciąży. Nikomu nie chciała o niej mówić. Wie pan, ona ma czternaście lat. Dzieciaki potrafią robić straszne głupoty – powiedziała z nieskrywanym smutkiem.

Mruknął z niedowierzaniem.

– Chowała się pod szerokimi bluzami. Z resztą ona jest trochę przy kości. Wszyscy myśleliśmy, że tylko tyje. Do głowy nam nie przyszło...

– Co zrobiła z dzieckiem?

– Po porodzie? Nie mam pewności. Ale sama potrzebowała pomocy. Z tym już nie potrafiła sobie poradzić. Ciotka jest pielęgniarką, więc się nią zajęła, ale wszyscy byliśmy w ogromnym szoku. Dużo czasu minęło, zanim udało nam się wycisnąć z niej prawdę. Ojciec tu przyjechał jako pierwszy. On znalazł dziecko. Dziewczynkę...

– Już nie żyła.

– Nie.

– Ale urodziła się żywa? Bo jeśli to był martwy płód, to inaczej musimy liczyć dni.

Kobieta westchnęła ciężko. Opowiadanie o wszystkim przychodziło jej z wyraźnym trudem.

– Podobno tak. Z siostrą niełatwo się teraz dogadać. Ale matka nalegała, żeby zająć się dzieckiem. Nieochrzczone...

– Chce pani...

– Alicja – weszła mu w słowo.

– Tak. Tak będzie łatwiej – przytaknął. – Michał. Chcesz wejść ze mną do środka?

– Czy tam jest duch dziecka?

– Na to liczymy.

Zaśmiała się nerwowo i pokręciła głową.

– Zawiadomiliście kogoś? Policję? Szpital?

– A to ma jakieś znaczenie?

– Nie. Z ciekawości pytam – stwierdził, odwracając wzrok.

Wzdrygnęła się, czując coś na ramieniu. A może jej się tylko wydawało? Przejechała dłonią po włosach, jakby chciała upewnić się, że niczego w nich nie ma.

– I to naprawdę musi być tak po ciemku? – zapytała, zmieniając temat.

– Niestety tak. Duchy unikają słońca i ognia. Domyślamy się dlaczego, ale pozwolisz, że oszczędzę ci paranaukowej gadki. Na światło elektryczne również nie reagują najlepiej. Czasem udaje się pracować przy diodach LED, ale nie będziemy dziś eksperymentować. Poza tym, i tak potrzebuję ciemności, ze względów technicznych. Nie chcesz, to nie wchodź, ale byłoby pewnie łatwiej.

– Nie. Pójdę – mruknęła. – Jak już pana... ciebie wezwałam, to chciałabym, żeby się udało. Mówi się, że uboża biegają po lesie. Kolejnego nam nie potrzeba. Niech idzie do nieba, jeśli może.

– Macie tu uboża?

– Tak mówią. Ja tam nie wiem.

– Dobra, zróbmy to szybko. Miejmy to za sobą. – Kucnął i położył torbę na ziemi.

Otworzył jedną przegrodę i sięgnął do środka. Wyciągnął dużą torebkę strunową, wypełnioną po brzegi ziołami. Przytknął ją do nosa, żeby sprawdzić czy znalazł to, czego szukał, po czym sięgnął do torby po raz drugi i wyciągnął kolejny woreczek. Powąchał uważnie, po czym zdecydował się wreszcie na jeden z nich.

– Jest jeszcze jakieś wyjście z domu, czy to jedyne drzwi?

– Nie wiem. Nigdy się tu nie zapuszczałam.

– Dobra, poczekaj.

Podniósł się i ruszył wzdłuż ściany.

– Na pewno nie chcesz latarki? – zawołała za nim.

– Nie. Sama zobacz. Latarka pozwala widzieć jasno tylko wąski wycinek, a resztę otoczenia zupełnie zaciemnia. Jak się oczy przyzwyczajają do ciemności, więcej widać bez niej. Zaraz wrócę – zapewnił i ruszył dookoła domu.

Wsluchiwała się w jego kroki, jakby bała się, że zostawi ją samą. Przed nią, jak rozwarte usta, stały uchylone do domu drzwi i zdawały się do niej... szeptać? Wyciągnęła dłoń z kieszeni po czym zaplotła ręce na piersi. Chrząknęła i zaczęła tupać lekko, nie żeby się ogrzać, ale żeby wyciszyć dźwięki, których słyszeć nie chciała. Szelest trawy i delikatne uderzanie obcasów o ścieżkę przynajmniej brzmiały znajomo.

– Tak, tylko te – powiedział, pojawiając się nagle z drugiej strony domu. – No i dobra. Wchodzimy? – Sięgnął po torbę i spojrzał na nią wyczekująco.

– Wchodzimy – powiedziała bez przekonania.

– Możesz mnie trzymać za ramię, jeśli chcesz – zaproponował przed wejściem. – Nie tak, żeby mi wisieć na ręce. Będę jej potrzebować, więc muszę mieć swobodę ruchu. Ale jak ma ci to dodać otuchy, to śmiało. Nie wstydź się. Prędzej czy później ludzie i tak to robią, więc nie musisz się przejmować. Normalne.

– Chyba dam radę bez tego. Czy to może być niebezpieczne?

– Nie powinno. Chociaż przyznam, że nie spodziewałem się pracy na odludziu. Duchy to nie problem. Problemem byłoby coś poważniejszego, ale zawsze jestem na wszelki wypadek zabezpieczony. – Żeby to udowodnić, sięgnął pod koszulę i wyciągnął kilka łańcuszków z drobnymi amuletami, którym nie mogła się przyjrzeć w ciemności. – Będzie dobrze – zapewnił i otworzył woreczek, z którego dobiegł intensywny zapach suszonych ziół.

Podszedł do drzwi i otworzył je szerzej, zaglądając ostrożnie do środka. Stał na schodkach, a następnie rozsypał całą zawartość torebki na próg i jego okolice.

– Co to?

– Pokrzywa. Mógłby być też dzięgiel, ale on jest szczelniejszy. Pokrzywa, jak membrana, pozwala wchodzić duchom do domów, ale zwykle nie daje im wyjść. Dzięgiel blokuje przechodzenie w obie strony. Można go używać świeżo po śmierci, gdy wiadomo na pewno, gdzie znajduje się duch. Pokrzywa działa bardziej jak żywołapka na zwierzęta. Dzięki niej można jeszcze zwabić do środka co potrzeba. Jeśli małeństwo spaceruje po ogrodzie, to będziemy mogli je zaprosić z powrotem do domu. Chodź. – Przekroczył próg, robiąc krok nad rozsypaną pokrzywą i zaprosił ją gestem do siebie.

Westchnęła krótko. Ruszyła za nim z wahaniem. Wnętrze było opustoszałe, zupełnie ogołocone z mebli. Tylko kilka starych, podartych firanek zwiisało smętnie z wiekowych karniszy. W powietrzu czuć było wilgoć.

– Nie wiem, jak mogła to zrobić. – Alicja pokręciła głową.

– Nie ma to teraz znaczenia. Dziewczynie trzeba pewnie pomóc. Bądźcie dla niej wyrozumiali, bo z żalu rodzą się jeszcze gorsze rzeczy.

Przejechał butem po posadzce, odgarniając warstwę kurzu, i położył torbę na ziemi. Kucnął obok i ponownie zajrzał do środka. Wyciągnął kwadratowe urządzenie, wyglądające na ciężkie.

– To aparat?

– Polaroid – przytaknął. – Trochę zmodyfikowany na moje potrzeby. Znacznie łatwiej jest z klasycznymi aparatami, ale kiedy nie ma czasu na wywoływanie zdjęć w ciemni, polaroid daje radę.

– Do czego jest potrzebny?

– Do robienia zdjęć. – Mężczyzna uśmiechnął się, czego najpewniej w ogóle nie zauważyła.

– Duchom?

– Nie inaczej.

– Można sfotografować ducha?

– Można. I ducha i upiora, i diabluki. Trzeba tylko wiedzieć, jak. – Wstał. W ciemności operował urządzeniem z pamięci, sprawdzając wszystkie ustawienia. – Wiesz jak się robi zdjęcia?

– To znaczy?

– No nie chodzi o naciśnięcie guzika w aparacie czy w telefonie. Czy wiesz, jak powstają analogowe fotografie?

– No... Najpierw się kliszę naświetla, a potem wywołuje, tak?

– Tak – zaśmiał się lekko. – Technicznie rzecz biorąc masz rację. Najpierw naświetlamy film w aparacie, potem go wywołujemy. Następnie naświetlamy po kolei każde zdjęcie za pomocą powiększalników. Ale najważniejszy jest materiał. Cała magia fotografii kryje się w emulsji światłoczułej, którą pokryty jest papier, klisza, czy cokolwiek, na czym chcemy zrobić zdjęcie. Pierwsze fotografie robiono na szklanych i metalowych płytach.

– Naprawdę?

– Aha. Obrazy, które widzisz na fotografiach analogowych, są zrobione ze srebra. Najbardziej stabilnym związkiem srebra i najwygodniejszym do przygotowania emulsji

światłoczułej jest chlorek srebra, ewentualnie bromek. Ale jest jeszcze jodek srebra, trochę trudniejszy do okiełznania niż jego dwaj chemiczni bracia. Pod wpływem temperatury potrafi dość szybko zmienić swoje właściwości, dlatego przy przygotowywaniu emulsji z jodkiem srebra trzeba szczególnie uważać. Niewłaściwie przygotowana będzie prowadziła do aberracji na obrazie, czyli błędów lub zniekształceń. Ale nie wszystkie błędy są złe – powiedział z entuzjazmem. – Pleśń Pasteura, która doprowadziła do odkrycia penicyliny. Dynamit Nobla. Fotografie duchów. – Uniósł lekko aparat, chcąc podkreślić wagę wynalazku. – Jodek srebra przygotowany właściwie, albo i niewłaściwie, w zależności jak się na to spojrzy, może zarejestrować promieniowanie ultrafioletowe. To bliski ultrafiolet, w zasadzie zaraz za promieniowaniem widzialnym, czyli tym, co rejestruje nasze oko. Niektóre zwierzęta widzą go naturalnie. Nawet ssaki. Nietoperze, torbacze, renifery. Wiedziałaś?

– Nie, zupełnie nie. Dla mnie to wszystko brzmi jak czarna magia.

– Ha. A to akurat najmniej magiczny element mojej pracy. Czysta technologia. Duchy emitują niewielkie ilości promieniowania ultrafioletowego, ale wystarczające, żeby zareagować z jodkiem srebra. – Poklepał delikatnie aparat, który zdążył zawiesić sobie na szyi.

– Obraz z polaroidu jest, niestety, niezbyt trwały, bo aparat był produkowany z myślą o innych materiałach. Mój wydruk powinien przejść kilka kąpiei chemicznych, żeby obraz się utrwalił. W tej maszynie, żeby dobrze operować jodkiem i tym co chcę osiągnąć, mogę mu zafundować skrócone wywoływanie, bez utrwalania, dlatego obraz będzie widoczny jedynie krótką chwilę. Potem wkład się całkiem zaczerni. Jeśli będziesz chciała zobaczyć zdjęcia, musisz stać blisko.

– I naprawdę będzie widać na nim ducha?

– Powinno być widać. O ile jakiś faktycznie tu jest. Zaraz to sprawdzimy.

Cofnął się do ściany, żeby złapać w kadrze jak największą część izby. Dom był niewielki. Składał się jedynie ze skromnego przedsionka i dwóch pokoi. Gdy dziwne niebieskie światło błysnęło z doczepianej lampy, przez krótką chwilę mogli zobaczyć wyraźnie piec kaflowy stojący między pokojami. Zgubił gdzieś fajerki i na płycie ziały teraz cztery czarne otwory.

Alicja zbliżyła się do Michała i spojrzała mu przez ramię. Po chwili dało się słyszeć cichy mechanizm i polaroid powoli zaczął wypływać zdjęcie. Mężczyzna sięgnął do kieszeni płaszcza i wyciągnął niewielką latareczkę. Ciemnoczerwone światło padło na błądliwy wkład.

– Czerwony nie zaświetla zdjęć czarno-białych. To luksus, którego nie mamy przy wywoływaniu zdjęć barwnych. Do pracy w zupełności wystarczą mi materiały czarno-białe – wyjaśnił, po czym sięgnął po zdjęcie.

Alicja wytężyła wzrok. Widziała blady papierek, ciemniejący powoli. Nic więcej.

– Coś tu jest? – zapytała po chwili, kiedy obraz zaczął się kompletnie zaczerniać.

– Nie, nic nie widzę.

Michał przesunął się, żeby zrobić zdjęcie z innego kąta pokoju. Kolejny błysk rozświetlił na chwilę pomieszczenie, ujawniając nowe szczegóły niewidoczne w ciemności. Fragment starego dywanu zawinięty na progu drugiego pokoju. Pusta rama po lustrze wisząca przy drzwiach. Alicja znów stanęła za nim, spoglądając na nową fotografię.

– Znow nic? – upewniła się.

– Na razie nic. Póki co robimy rozeznanie. Nie możemy, niestety, tak pstrykać w nieskończoność, a szkoda, bo to by znacząco ułatwiło pracę.

– Czemu nie?

– Bo na zdjęciach duch *może* być, ale słabo widoczny.

– To źle?

– To zależy czego chcemy, ale raczej nie najlepiej. Przyjmuje się, że dusza składa się z dwudziestu jeden części. Mówi się, że waży dwadzieścia jeden gramów, ale zupełnie nie o wagę tu chodzi. Bywają od tego odstępstwa, ale raczej w górę, a nie w dół. Dwadzieścia jeden to bezpieczne minimum. Srebro natomiast jest potężnym narzędziem w kontaktach ze wszystkimi tworam i strefy ezoterycznej.

– Tak, to akurat wiem.

– No, jak macie uboża w okolicy, to pewnie wiecie jak się z tym obchodzić.

– Ja nie mieszkam tu od dawna. Teraz, przez siostrę, tylko przyjechałam. Ale mówią, że po lesie bez srebrnego łańcuszka, to lepiej nie spacerować.

– Z miasta jesteście?

– Z miasta.

– To mniej problemów z lichami macie, co? Chyba tylko duchy czasami?

– Nie mam pojęcia. Zupełnie się nie znam i nie interesuję tematem.

– Ja się znam. Jasno jest, nawet nocą. Wszędzie latarnie. Nie ma tego złego. Ale srebro i tak robi swoje. Ze zdjęciami trzeba ostrożnie. Każde naświetlenie i złapanie ducha na emulsji ze srebrem, zabiera kawałek ze sobą.

– Kawałek duszy?

– Mhm. Dlatego denatów nie powinno się fotografować. Dawniej była na to moda. Robiono zdjęcia zmarłym. Wiesz, fotograf był poniekąd luksusem w dawnych czasach, ale śmierć była dobrym impulsem do tego, żeby sypnąć groszem i utrwalić wizerunek bliskiej osoby. I póki jest to jedno zdjęcie, to nie stanowi to problemu. My mamy zasadę, żeby podczas pracy pod żadnym pozorem nie przekraczać dwudziestu.

– Co się wtedy dzieje?

– Po dwudziestu jeden zostaje tutaj. Za dużo już ją trzyma na Ziemi.

– Naprawdę? To jak nam ktoś robi zdjęcia, to...

– Nie. O sobie się nie martw. Żywe ciało jest wystarczająco silnym ośrodkiem, żeby trzymać nas *w kupie*, że się tak wyrażę. – Minął Alicję i ruszył do drugiego pomieszczenia. – Problem się pojawia właśnie po śmierci. Najbardziej newralgiczne czterdzieści dni. Wiesz co było prawdziwą tragedią? Kryminalistyka. Patologia. Przez dziesiątki lat policja nie szczędziła rolek na sceny zbrodni. Cyfra pojawiła się stosunkowo niedawno, a stare archiwa pękają w szwach od akt pełnych całkiem analogowych zdjęć, w tym zdjęć denatów. Jeśli ktoś zapytałby mnie o zdanie, poradziłbym wszystkie spalić. Ale człowiek, żywy człowiek, jest jak magnes, znacznie silniejszy od srebra.

Błysk rozświetlił sąsiednie pomieszczenie. Alicja podeszła do progu, kiedy Michał zniknął w drugiej izbie. Kolejny niebieski flesz pokazał jej stare, zniszczone łóżko i rozpadającą się szafę.

– Tu też czysto. – Usłyszała po chwili. – Ale są ślady krwi, o ile mnie wzrok nie myli. Pewnie tutaj rodziła. Spróbujemy zaprosić maleństwo do tego pokoju.

Kobieta stanęła pod ścianą i opierając się o nią plecami, ponownie schowała dłonie w kieszeniach kurtki. Wzdrygnęła się, czując podmuch na policzku. Kolejny szept? Rozejrzała się w ciemności, ale niczego nie widziała.

– Jak to będzie wyglądać?

– Klasycznie – odparł, ponownie zaglądając do torby. – Zostawiamy poczęstunek, przepraszamy, że przeszkadzamy, palimy pokutę i powinno być po sprawie. To mały niewinny duch. Raczej nie będzie problemu.

Ceramiczna miseczka cicho stuknęła o posadzkę. Zaraz potem dało się słyszeć dźwięk przesypywanych do niej cukierków. Alicja wsłuchiwała się w krzątanie mężczyzny, wbijając w niego skupione spojrzenie. Przez okno do środka wpadało niewiele światła, ale miał rację – wzrok bardzo szybko się przyzwyczajał.

Poruszyła nerwowo nogą, czując muśnięcie na łydce. Spojrzała w dół, ale niczego tam nie było. Kolejny podmuch na karku sprawił, że odsunęła się od ściany i zaczęła nerwowo rozglądać.

– Mogę stanąć obok ciebie? – zapytała podchodząc do mężczyzny.

– Jasne, nie krępuj się.

Michał wyciągnął z torby niewielki metalowy talerzyk i położył na nim garść pakul.

– Jak będziemy mieć już pewność, że tutaj jest, zapalę ogień. Ogień oczyszcza. Dym uwalnia duszę. Nie trzeba będzie jej do niczego namawiać, bo póki próg jest zablokowany, nie będzie miała jak wyjść z domu. Powinna bardzo szybko ulec ogniewi. I ot, cała filozofia.

– To takie proste?

– I tak, i nie. Trzymanie nożyczek też nie jest skomplikowane, ale nie każdy nada się na fryzjera, prawda? Więc jakbyś chciała kiedyś próbować robić to samemu, to nie radzę. A teraz, będę potrzebował chwili ciszy, żeby się skupić, dobra?

– Mhm – przytaknęła bez przekonania, odwracając się zaraz za czymś, co jak jej się zdawało, znowu dotknęło jej ramienia. Nie zobaczyła nic.

Jego cichy głos zapraszający ducha rozbrzmiał w pustym pokoju. Wyuczonymi formułkami przeprosił, że niepokoi i zachęcił do poczęstunku. Powtórzył to kilka razy, powoli krążąc po pokoju. Alicja starała się bezgłośnie za nim podążać. Nic nie mówiła, tylko wyciągnęła dłonie z kieszeni i potarła nimi ramiona, jakby było zimno. Nie było.

Michał zatrzymał się w końcu i sięgnął po aparat. Błysk. Potem szum polaroidu, wypływającego zdjęcie. Słabe czerwone światło. Kobieta spojrzała na ciemniejący powoli obraz. Nadal niczego nie potrafiła na nim dojrzeć. Mężczyzna przeszedł na drugą stronę, gestem dając jej znak, żeby nie wchodziła w kadr. Kolejny błysk i chwila wyczekiwania. Chrząknęła za jego plecami i potarła nerwowo kark.

– I jest – powiedział, skupiając się na zdjęciu.

Odchylił się, żeby też mogła zobaczyć. Pokazał jej delikatny jasny punkt, nieco rozmyty i słabo widoczny, ale wyraźnie odznaczający się na fotografii. Oboje spojrzeli w tamtym kierunku. Dusza musiała być tuż obok miski, zaledwie kilka kroków od nich.

Mężczyzna kucnął ostrożnie i jeszcze raz uniósł obiektyw do kolejnego strzału.

– Siedem – odliczył. – Tak, jest tutaj – stwierdził, przyglądając się fotografii.

Zmarszczył brwi, dokładnie badając zdjęcie. Wbił wzrok w smugę widoczną za duchem. Niemal się z nim zlewała, ale nawet na słabej jakości zdjęciu widać było, że znajduje się na nieco innym planie.

Dziewczyna drgnęła gwałtownie.

– Coś się stało? – zapytał, oglądając się na nią.

– Nie jestem pewna. – Złapała go za ramię. – Mam wrażenie, że coś tu jest – dodała szeptem.

– Z tej strony?

– Tak. Koło mnie.

– Zobaczymy – odparł lekko.

Cofnęli się kilka kroków i kolejny błysk oświetlił ścianę graniczącą z drugim pokojem i prowadzące do niego drzwi.

To już nie była smuga. W okrągłych flarach można było dostrzec jasne, dziecięce twarze, znikające powoli na czarniejącym zdjęciu. Kilka stojących w progu drugiej izby, kilka uciekających z kadru. Kobieta bez skrupulów oplótła ręce wokół jego ramienia, przeskakując szeroko otwartymi źrenicami z fotografii na ciemną ścianę przed sobą.

– Twoje uboża – powiedział nieco rozbawiony.

Twoje powiedział. *Twoje*. Ale one wcale nie były jej.

– Krzywdy nie zrobią – zapewnił. – Mogły przyjść z ciekawości. Możemy im potem zostawić cukierki.

Kobieta westchnęła lekko, ale nie dało się w tym wyczuć ulgi.

– Dobra, miejmy to za sobą. – Michał obrócił się z powrotem w stronę misy i talerzyka z pakułami. – Muszę cię na chwilę przeprosić – powiedział, delikatnie uwalniając się z jej uścisku. – Jeśli chcesz, połóż mi dłoń na plecach.

Kucnął tyłem do niej, wziął głęboki wdech i wrócił do wypowiedzania formułek.

– Michał – przerwała mu cicho, kiedy sięgał do kieszeni po zapalniczkę.

– Za chwilę.

– Michał – powtórzyła, a jej palce zacisnęły się stanowczo na jego ramieniu.

Spojrzał na nią kątem oka. Musiał czuć jak drżała jej dłoń. Odwrócił się w przysiadzie, i złapał jej rękę z lekarską manierą. Nie protestowała.

Zdawało się, że nie może ustać na nogach o własnych siłach. Kucnęła obok, a kolejny dreszcz przebiegł przez jej ciało.

Przyglądał się jej uważnie w ciemności, jedną dłoń odruchowo kładąc na aparacie. Nic nie powiedział, kiedy niekontrolowanie mocno zacisnęła palce na jego nadgarstku. Pozwoliła mu się jednak odsunąć, kiedy zaczął się powoli podnosić. Oddychała ciężko, a łzy mimowolnie zaczęły napływać jej do oczu. Skuliła się, wędrując ręką do karku. Przejechała po nim nerwowo palcami, jakby chciała coś z siebie zrzucić.

Cofnął się kilka kroków. Uniósł obiektyw, po czym nacisnął spust migawki. Delikatnie złapał fotografię, kiedy zaczęła się wysuwać. Sekunda za sekundą. Milimetr za milimetrem. Powoli. Bez końca.

Zwlekał z zapaleniem czerwonego światełka. Przyglądał się jej uważnie, stojąc w rozkroku jakby nadal nie był pewien, czy podejść i próbować jej pomóc, czy jeszcze się cofnąć.

W końcu sięgnął do kieszeni, a czerwony punkt wykwitł tuż przy jego piersi. Przez moment widział ją na zdjęciu. Widział uboża w tle.

Widział mnie.

Wstrzymał oddech, nieruchomiejąc a czerwone światełko zadrżało lekko.

Nie czekałam, aż odzyska trzeźwość umysłu. Wcisnęłam się pod jej skórę i szarpnęłam dłonią, zanim zdążył zareagować. Dał mi dużo czasu, żeby się opleść wokół Alicji. Obwiesił się amuletami, ale nie pomyślał o niej, zanim pozwolił sobie towarzyszyć. Może i duchów trudno się bać, ale tutaj kończyły się ludzkie osady. Na skraju lasu, z dala od ulicznych świateł wkraczał na moje terytorium i nie tylko duchy i słodkie uboża biegały po okolicy. Naprawdę liczył na to, że pozwolę mu zabrać sobie dzieciątko?

Stawiała opór, ale udało mi się sięgnąć jej ręką po pakuły naszykowane do spalenia. Nie będzie ognia! Nie pozwolę! Dopadł do nas szybko i szarpnął za ramię, chcąc mnie powstrzymać, ale już zdążyłam wepchnąć jej przędzę do ust, popychając drżącymi palcami głęboko do gardła.

Jej uboża? Są moje! Wszystkie moje! I to jedno też chcieli mi zabrać? Mamuna nie pozwoli! Mamuna nie da!

Próbowała ze mną jeszcze walczyć, ale wsiąkałam w jej głowę wystarczająco długo, żeby móc nad nią zapanować. Chciała cofnąć dłoń, ale uparcie popychałam kłaki głębiej i głębiej do gardła. Niech się krztusi! Niech udławi się swoimi rzygami! To jej krew wydała na świat dzieciątko i zostawiła tu na pewną śmierć. Zostawiła dla mnie! Jakim prawem chce mi ją teraz odebrać? Mnie, która otoczyła ją opieką i troską. Mnie, która wszystkie niedole zabiera z domów niegodnych ich wychowania i daje im to, czego ich krew dać im nie potrafi, albo nie chce. Dzieciątko zostawiono mnie i ze mną miało zostać!

Szarpnął jej ręką, krzycząc coś, ale już go nie słuchałyśmy. Kucnął przed nią, próbując wyciągnąć dłoń z ust, ale trzymałam ją w żelaznym uścisku. Musiał zrozumieć, że nie jest w stanie w ten sposób ze mną wygrać. Mógł co najwyżej złamać jej rękę. Nie robiło mi to różnicy.

Czułam gęstą ślinę na dłoni mieszającą się ze łzami, lecącymi z rozszerzonych ze strachu oczu. Wstrząsnął nią spazm odruchu wymiotnego, ale powstrzymała go, próbując zacisnąć krtań. Przekręciła się, kiedy ją puścił, ale nie była w stanie cofnąć dłoni, którą głębiej i głębiej wpychałam przeklętego kłaka do przełyku, do tchawicy, nie miało to znaczenia. Niech to zre albo się zadusi! Dzieciątka nie oddam! Czułam ostre włókna drapiące jej gardło i język podejmujący próbę beznadziejnej walki. Próbowwała zacisnąć zęby, ale gryzła siebie. Siebie, głupia, nie mnie. To jej paznokcie drapały podniebienie do krwi. Nie na długo mogło jej wystarczyć tchu.

Nagle obok nas rozbłysło ostre światło latarki, płosząc moje uboża. Schowały się w sąsiedniej izbie, spoglądając za mną z przestachem. Niewinne. Nieskalane. Czyste i łagodne, zupełnie jakby to nie diabły wydały je na świat.

Niebieski błysk przebił się przez wiązkę ciepłego światła, wytrącając mnie z równowagi. Alicja wykorzystała okazję i cofnęła dłoń, ale nie na tyle, żeby się uwolnić. Zdażyła wziąć płytki wdech, zanim pchnęłam jej palce i pakuły z powrotem głęboko w gardło. Dusila w sobie narastający kaszel rozsadzający od środka obolałe płuca.

Co ci da żaloszny polaroid? Ile zdjęć zdązysz zrobić, zanim tlen przestanie dopływać do jej mózgu?

Zdało mi się, że mężczyzna słyszy moje pytania i zdążył zrozumieć, że nie ma szansy ze mną wygrać w ten sposób. Zaklął i sięgnął po torbę leżącą na podłodze. Alicja potoczyła za nim przerażonym wzrokiem i próbowała jeszcze wydać z siebie rozpaczliwy jęk, kiedy wybiegł na dwór, zostawiając nas same. Szarpnęła raz jeszcze, biorąc łąpczywie kolejny beznadziejny wdech i spróbowała się podnieść, aby ruszyć do wyjścia. Jeszcze dało się słyszeć trzaśnięcie drzwi samochodu. Jeszcze przez okna wpadły ostre światła reflektorów, a ubożeta jęły uciekać przez okna do lasu. Alicja upadła na progu pokoju, kiedy zaczęło jej ciemnieć przed oczami. Nie mogła dłużej wytrzymać. Była moja.

Ostry błysk tuż nad głową trochę mnie zaskoczył. Celny strzał zamroczył na chwilę, ale Alicja nie miała już siły walczyć. Wiedziała, że powinna zmusić wiotczejące mięśnie do pracy, ale nie wiedziała w jaki sposób. Kolejny ostry flesz szarpnął mną gwałtownie, wrywając brutalnie z jej głowy. Niemal widziałam jak oko migawki otwiera się, ukazując mi na ułamek sekundy, posrebrzany film schowany we wnętrzu polaroidu. Przy kolejnym rozbłysku czułam jak oddziela mnie bez litości od świata, zmuszając abym opuściła ją zupełnie. Cofałam się nerwowo, w panice szukając ucieczki, kiedy kolejne błyski szarpały mną, jak psy szmacianą lalką. Nie dawał wytchnienia starej lampie na niewielkim Zenicie.

Tsyk! Chciałam krzyknąć. Nie dałam rady.

Tsyk! Jakby rozdzierał mnie na pół.

Tsyk! Uciekać, albo zabić. Nie. Zabić nie mogłam.

Ile miał klatek? Trzydzieści? Nie byłabym w stanie znieść tylu naraz. Nie byłam lichym duchem, ale to i tak było dla mnie za dużo.

Już dawno zdążyłam się schować, kiedy przestał strzelać. Nachylił się wreszcie nad kobietą, żeby jej pomóc. Klnąc, wyjął jej pęk pakuł z gardła, poklepał po policzku i dmuchnął mocno w twarz, zmuszając do wzięcia wdechu. Ocknęła się, trzęsąc się i płacząc, a on zarzucił jej srebrny łańcuszek na szyję. Dźwignął ją z trudem i ponaglając, zaprowadził do wyjścia. Na dwór. Do auta.

Zostałam sama.

Bolało.

Sama w pustym pokoju.

Niebale rozrzucone zdjęcia z polaroidu leżały na zakurzonej podłodze. Kliszę z resztą fotografii zabrał ze sobą w Zenicie, a te które zostały... zdążyły już zniknąć. Czarne prostokąty w białych ramkach, nic więcej. Albo nie. Coś jeszcze, ale coś tak wątpliwego i przerażającego, że z rozpaczyci chciało mi się wyć. Zostawił tylko liche jej fragmenty. Strzępy duchowego mięsa po rzezi, jaką jej urządził. Robił zdjęcie za zdjęciem, bezlitośnie, nie dając jej szansy na ucieczkę z domu. Przyglądałam się kilku srebrnym pamiątkom, które mi po niej zostały, nie mogąc ich nawet przygarnąć do siebie.

Diabły.

Zabili ją już drugi raz.